

MARIAŃSCY BRACIA ZAKONNI

Świadectwa i wspomnienia 1917–2018



MARIAŃSCY BRACIA ZAKONNI

1917 - 2018

Świadectwa i wspomnienia

MARIAŃSCY BRACIA ZAKONNI

1917 – 2018

Świadectwa i wspomnienia

Zebrał, opracował i wstępem opatrzył
Waldemar Karpuk MIC

współpraca
Andrzej R. Mączyński MIC



MARIAN
HERITAGE
STOCKBRIDGE, MA, USA

2018

© 2018 Marian Heritage, Stockbridge, MA 01262, USA

Adiustacja polonistyczna
Jadwiga Kaliszuk

Korekta
Barbara de Jesus Tomaszewska MC

Projekt okładki
Curtis Bohner

Skład komputerowy
Marina Batiuk

Imprimi potest
ks. dr Andrzej Pakuła MIC
Przełożony Generalny Zgromadzenia Księży Marianów
Rzym, 27 stycznia 2017 r.
N. 17/2017

ISBN 978-15961-442-4

Druk i oprawa
www.foto-druk.pl

„Ważniejsza jest sama droga, niż miejsce,
w którym się na tej drodze jest”.

br. Marian Józefiak MIC

„Tym, co są i przyjdą – ku wiadomości i zbudowaniu”.

ks. Jan Karbasz MIC

WSTĘP

Zgromadzenia zakonne w świecie współczesnym, głównie na Zachodzie, potrzebują szybkiej zmiany mentalności. Są bowiem pogrążone w poważnym kryzysie, spowodowanym przez przyjęcie świeckiej mentalności i porzucenie tradycyjnych praktyk. Dlatego też, jeśli nie powrócą do pierwotnych charyzmatów, zakony obumrą – uważa kard. Rode (były prefekt Kongregacji ds. Instytutów Życia Konsekrowanego). Jego zdaniem dzisiejsi zakonnicy pogrążyli się w takim samym kryzysie, jaki przeżywają społeczeństwa ich krajów. „Wyschły źródła, które przez wieki ożywiały życie konsekrowane i misyjne w Kościele. Zsekularyzowana kultura przeniknęła również do umysłów i serc niektórych osób konsekrowanych. Pomyłono ją z otwarciem na nowoczesność i ze zbliżeniem do współczesnego świata, ze wszystkimi tego konsekwencjami, takimi jak: naśladowanie bez wyrzeczenia, modlitwa bez spotkania, braterstwo bez wspólnoty, posłuszeństwo bez zaufania, miłość bez transcendencji.

Epoka posoborowa obfitowała w eksperymenty, ale brakowało jej solidnych i przekonujących wizji. Konsekwencją tego był katastrofalny kryzys powołań.

Zakony powinny odczytać obecny kryzys jako prawdziwy znak czasu, i pilnie zmienić sposób myślenia, powrócić do charyzmatów założycieli i stać się alternatywą dla dominującej dziś mentalności. Szczególną uwagę należy poświęcić formacji nowych powołań, które przychodzą do nowicjatów z obciążeniami współczesnej kultury.

Coraz trudniej jest kandydatom do życia konsekrowanego przyjmować definitywne zobowiązania. Dziś „dominuje kultura neoindywidualizmu i kultura sugestywności. Jest to efektem także tzw. zmiany kulturowej” – tłumaczy abp Carballo z Kongregacji ds. Instytutów Życia Konsekrowanego.

To znak dzisiejszych czasów. Młodzi ludzie boją się podejmowania wiążących decyzji. Kultura, w której żyjemy jest często antychrześcijańska, na co zwrócił uwagę papież Pius XII: „Oczy, uszy są niczym

rozległe drogi, które prowadzą bezpośrednio do duszy człowieka. Czym jest to, co z ekranu wchodzi do najbardziej ukrytych zakątków umysłu, gdzie kształtuje się głębia postaw młodzieży i gdzie są formowane i wyostrzane normy i motywy działania, które kształtują ostateczny charakter?”

Chociaż, jak twierdzi hierarchia Kościoła, zakony wciąż należą do istoty życia Kościoła i nie są one jedynie dodatkiem czy problemem, to jednak zauważa się, że w posoborowym życiu zakonnym nastąpiło przełożenie akcentów: z posłuszeństwa i reguł na Ewangelię i wspólnotę. Jednocześnie podkreśla się, że Watykan nie domaga się od zakonów kroku wstecz, lecz lepszego rozważenia, jak iść naprzód.

Spadek liczebny naszych zgromadzeń jest faktem i trzeba o tym pamiętać. Nawet jeśli nasza przyszłość to nie tylko statystyki – podkreślił jeden z hierarchów.

Po Soborze Watykańskim II Kościół zaniedbał braci zakonnych i liturgiczną formację osób konsekrowanych. Stąd dwa dokumenty, które mają nadrobić te braki. Powstał dokument w całości poświęcony braciom zakonnym i odnowie ich misji w Kościele. Stolica Apostolska przygotowuje drugi. Dotyczyć ma życia konsekrowanego. Inny newralgiczny problem to modlitwa i liturgia.

W ocenie kard. Franca Rode wszystkie zgromadzenia przeżywają dzisiaj głęboki kryzys powołań na braci. W jego przekonaniu skala zjawiska jest ogromna. Dla przykładu w Zgromadzeniu Braci Szkolnych po Soborze liczba członków spadła z 16 do niespełna 5 tysięcy.

Zdaniem kardynała głównym powodem jest brak zainteresowania ze strony Kościoła. Ani Sobór, ani żaden dokument posoborowy nie zwrócił uwagi na znaczenie tego powołania. Pojawiają się tylko drobne aluzje, ale nic poza tym. Dlatego też zapomina się o własnej tożsamości brata. Traktuje się go jako kogoś, kto z różnych powodów nie mógł zostać księdzem. A przecież bracia mają swoją tożsamość i własną rolę do odegrania w Kościele. Świadczy o tym wielka rzesza braci, których Kościół wyniósł do chwały ołtarzy.

Zwykle ci, którzy czują się powołani do życia zakonnego, włączani są w czasie formacji do programów przewidzianych dla kandydatów do kapłaństwa. Oznacza to, że brata zakonnego pojmuje się jako wyjątek, a nie jako regułę. Nadal pozostaje silna tendencja do patrzenia na brata wychodząc od pełnionej przez niego funkcji lub od użyteczności jego pracy, a nie od tożsamości osoby konsekrowanej Bogu i powołanej do darowania życia. Życie zakonne w formacji początkowej i permanentnej trzeba koniecznie przedstawić jako pełnię i realizację ludzkiego istnienia. Zakonnik, zakorzeniony w tej świadomości, będzie mógł podjąć formację zawodową, która stanie się pewnym sposobem darowania własnych energii i własnych talentów, biorąc pod uwagę zarówno potrzeby wspólnoty lokalnej, jak i całego Zgromadzenia.

Słyszy się, że ludzie nie rozumieją powołania brata zakonnego. Czy stwierdzenie to nie brzmi w naszych uszach jako porażka, ponieważ zdradza naszą trudność w świadczeniu o darze i charyzmacie, które życie konsekrowane przedstawia dla Kościoła?

Być może życie zakonne, w tym powołanie na brata zakonnego ma dziś większe znaczenie niż kiedykolwiek, właśnie z powodu kryzysu, jakiego doświadcza współczesny człowiek i wobec coraz częściej stawianych pytań o sens życia. Czyż życie poświęcone Bogu nie jest i nie powinno być na te pytania odpowiedzią?

Publikacja niniejsza przybliży sylwetki niektórych zmarłych braci mariańskich w formie świadectw, wspomnień, krótkich biogramów, zebranych głównie z mariańskich periodyków. Są też świadectwa współczesne złożone przez księży, siostry zakonne oraz osoby świeckie. W niektórych przypadkach świadectwa te mogą wydawać się przekoloryzowane – i zapewne takie są. Ale wobec niewielu tego typu publikacji stanowią one cenne źródło informacji do poznania i lepszego zrozumienia specyfiki powołania na brata zakonnego, zarówno dla samych marianów jak i osób świeckich. Świadectwa wzbogaca załączony materiał fotograficzny, pochodzący głównie z mariańskich archiwów – Archiwum Głównego Marianów w Rzymie i Archiwum Polskiej Prowincji Marianów w Warszawie na Stegnach.

Żywię nadzieję, że lektura przedstawionych świadectw pozwoli na nowo odkryć wiele pięknych postaci z historii Zgromadzenia Księży Marianów; dla braci marianów może być inspiracją i źródłem pogłębienia własnego powołania; dla innych – przykładem życia całkowicie poświęconego Bogu na wzór Niepokalanej.

Dziękuję wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do powstania publikacji, czy to w formie złożonych świadectw, tłumaczeń tekstów i redakcji, czy też w publikacji całości.

br. Waldemar Karpuk MIC

Rzym, 27 stycznia 2018 r.,
w liturgiczne wspomnienie
bł. abpa Jerzego Matulaitis–Matulewicza,
Odnowiciela marianów.

BRAT NIKODEM ANCĀNS MIC
(1901 – 1989)

[...] Dziesięć Przykazań Bożych są jak drogowskazy w doczesnym życiu każdego człowieka. Wskazują potrzebny i prawdziwy kierunek. Wiernie trzymając się przykazań, każdy człowiek może osiągnąć główny cel swego doczesnego życia; nieustannie poszukując Boga, niekończące się szczęście w Królestwie Niebieskim. Oprócz tej koniecznej drogi Dziesięciu Przykazań są jeszcze inne – bardzo mocno jednak z nią związane. Jedną z tych dróg jest droga życia zakonnego, na której człowiek – czerpiąc z nadprzyrodzonej motywacji – wypełnia Dziesięć Przykazań Bożych. Jednocześnie przez szczególne śluby, które jako ofiarę Bożej miłości składa na ołtarzu Pańskim, dobrowolnie wiąże siebie.

Właśnie taką drogę wybrał sobie br. Nikodem. Gdy w roku 1930 w Viļāni po raz pierwszy jako kapłan stałem przy ołtarzu Pańskim, sprawując Ofiarę Pańską, br. Nikodem w tymże roku złożył pierwsze śluby zakonne. Trzy lata później złożył śluby wieczyste. W ten sposób został bratem zakonnym w Zgromadzeniu Księży Marianów. Był nim przez następne 58 lat swego życia. Swoją wolę całkowicie poddał woli Bożej. Szedł tam i wykonywał to, co mu przełożeni zlecali. W Viļāni podejmował prace, które wcześniej zwykł czynić w domu rodzinnym: orał, siał i robił wszelkie inne prace związane z rolnictwem, które potrzebowała już mariańska rodzina, do której należał.

Po kilku latach pobytu w Viļāni przeniósł się do Rēzekne, gdzie zajmował się produkcją cegieł do nowego kościoła, wznoszonego przez marianów. Gdyby mury wybudowanego kościoła mogły przemówić, na pewno potwierdziłyby, że wszystkie cegły od fundamentu aż po dach przeszły przez ręce br. Nikodema. W Rēzekne br. Nikodem przebywał do 1938 r.

Kolejne 26 lat swego życia (1938–1964) spędził w domu generalnym marianów w Rzymie. Do jego głównych obowiązków należało dbanie o porządek. Czynił też posługi na rzecz innych współbraci w miarę potrzeb i wskazań przełożonych.

W roku 1964 przeniósł się z Rzymu do domu w Chicago, który należał do marianów prowincji łotewskiej. Przebywał tam do roku 1989, czyli do końca swego życia. Pełnił różne powierzone mu obowiązki, zarówno w domu w Chicago, jak i w domu rekolekcyjnym w Wandawega. W Ameryce przebywał łącznie 25 lat. Ostatnie 5 lat spędził w ośrodku dla osób w podeszłym wieku [...].

ks. Stanislavs Škutāns MIC

Katōļu Dzeive 1989, nr 3, l. 46–47; tłumaczenie z języka łotewskiego ks. Imants Medveckis MIC.

BRAT CZESŁAW BANASZKIEWICZ MIC (1911 – 1998)

Brat Czesław Banaszkiwicz (vel Czesio) urodził się w Kaliszu 10 lipca 1913 (lub 1911 r.), syn Kazimierza i Władysławy z domu Kurzawskiej. Do szkoły uczęszczał w Kaliszu, gdzie ukończył dwie klasy gimnazjum. Następnie pracował jako czeladnik u kamasznika. Przed wojną rodzina opiekowała się starym, zabytkowym kościółkiem św. Wojciecha nad rzeką Prosną. Był fotografem. Należał też do chóru parafialnego.

A oto co piszą o jego dalszym życiu Karolina Grodziska i Andrzej Suchcitz w książce *Zostanie po nich nikły ślad*, „Secesja”, Kraków 2007, s. 79: „Zmobilizowany w sierpniu 1939 r. do 25. Pułku Artylerii Lekkiej, 25. Dywizji Piechoty, walczył w bitwie nad Bzurą. Ranny, wzięty do niewoli, lata wojny spędził w stalagach Lamsdorf i Trier; pracował w fabrykach włókienniczych. Po oswobodzeniu zgłosił się do PSZ (Polskich Sił Zbrojnych). W maju 1945 r. przydzielony został do 17. Pułku Artylerii Lekkiej, a następnie skierowany do Kursów Maturalnych nr 2 Bazy 2. Korpusu jako kucharz”.

W latach 1946–1948 przebywał w Wojskowym Ośrodku Wyzdrowieńców w Brighton w (Wielka Brytania), a w 1950 r. wstąpił do nowicjatu marianów w Hereford. O tej decyzji wspominał po latach: „Jak zobaczyłem ojca Józefa (Jarzębowskiego), to pomyślałem sobie – jeżeli

on tu zostanie, to i ja też. On uściskał mnie jak syna. Tak przyjacielsko przycisnął do serca – to i zostałem”.

W 1951 r. złożył pierwsze śluby zakonne, a następnie wieczyste. Zarówno w Hereford, a zwłaszcza w Fawley Court zajmował się całokształtem prac ogrodniczych, doprowadzając zabytkowy park do jego dawnej świetności i opiekując się nim przeszło 30 lat. Pełnił też funkcję zakrystiana.

Ze wspomnień A. Suchcitz (wychowanek Kolegium Miłosierdzia Bożego w Fawley Court): „Zawsze widzieliśmy br. Czesława to z taczką i narzędziami, to sadzącego i przycinającego. Uśmiechnięty i zadowolony, w obronie ukochanych krzewów i roślin nieraz musiał na nas krzyknąć – ale robił to bardzo rzadko i nigdy gniewnie”.

W roku 1953 marianie nabyli drugi dom w Anglii, w Fawley Court nad Tamizą, niedaleko Henley-on-Thames, z zamiarem utworzenia gimnazjum. Dlatego też ks. Józef Jarzębowski MIC zabrał ze sobą na tę nową placówkę większość braci z Hereford, w tym br. Czesława. Zadanie przed nimi ogromne. Ręce wszystkim opadały w poczuciu bezradności, patrząc na olbrzymi, zaniedbany dom usytuowany w dużym nie mniej zaniedbanym parku, który założony został przed ponad dwustu laty przez słynnego architekta zieleni Capability Browna: olbrzymie sekwoje, chińskie klony, platany różnego rodzaju i wiele innych egzotycznych drzew. Ponadto przeróżne krzewy, których na oczy nikt z nich w swoim życiu nie widział, mury okalające pałac z pnącą się po nich roślinnością, rabaty z kwiatami, no i słynne angielskie trawniki strzyżone systematycznie kosiarkami, ciągnionymi kiedyś przez konie, a potem przez traktor. Brat Czesio nie zdawał sobie wówczas sprawy, że utrzymanie tego wszystkiego już w niedługim czasie spadnie na jego głowę i na jego ręce, przygotowane raczej do robienia i naprawiania butów, do pracy w kuchni, do fotografowania i posługiwania się sprzętem wojskowym; a tu wielki, zaniedbany park, jakiego nigdy jeszcze nie widział z 300-letnim zabytkowym pałacem Krzysztofa Wrena pośrodku.

Adaptacja domu (pałacu – jak niektórzy nazywali), kuchni dla potrzeb życia zakonnego i powstającego gimnazjum – to sprawa trudna w decyzjach, tym bardziej w wykonaniu. Ksiądz Józef zdawał sobie

sprawę z tego, że większość tych prac spadnie na ramiona braci zupełnie do nich nie przygotowanych. Dlatego mimo wszystko nie zapomniał o rzeczy najważniejszej, mianowicie o dalszej formacji zakonnej i patriotycznej tychże braci. Po porannej Mszy św. i po śniadaniu zapraszał wszystkich braci do sali rekreacyjnej. Tam miał komentarz Słowa Bożego z dnia, potem dzielił się najważniejszymi wiadomościami z Polski, z Anglii i świata. Ukazywał zmagania się całej Europy z odbudową zniszczonych przez wojnę miast i różnych zakładów w Polsce i na Zachodzie. Chciał, by bracia byli świadomi, że wraz z całą Polską stają do odbudowy kawałka Polski tutaj, w Fawley Court, które nazwał „Bielanami nad Tamizą”. Uwrażliwiał braci na wielką zdradę Polski przez aliantów. To oni oddali Polskę pod panowanie Rosji radzieckiej, mimo tylu ofiar i przelanej krwi przez Polaków na wszystkich frontach. Dlatego często powtarzał braciom: „Taka jest Polska, jaką nakreślono na mapie Europy na żądanie Stalina w Teheranie, Jącie i Poczdamie”.

Wszyscy dowiedzieli się też w szczegółach o tym, że już w 1954 r. marianie zostali wywiezieni z Bielan warszawskich do Gietrzwałdu. Ksiądz Józef opowiadał o tym z wielkim smutkiem. Przez tak wiele lat przecież pracował tam przed wojną. Bracia byli wpatrzeni w ks. Jarzębowskiego i byli zauroczeni jego postacią. Był on dla nich żywym świadectwem innego, pełnego nadziei świata, do którego się zaprawiali. On im ukazywał na nowo te wielkie ideały: *Bóg, Honor i Ojczyzna*, za które walczyli i o które nadal walczą, ale w inny sposób. Będą nadal walczyć na obczyźnie, jako marianie na Bielanach nad Tamizą. Ksiądz Józef kochał braci-żołnierzy, a bracia – byli żołnierze – kochali swego duchowego dowódcę – ks. Józefa.

Brat Czesław szczególnie pokochał ks. Józefa. Zawierzył się mu całkowicie we wszystkim. Widać było, z jaką wielką uwagą słucał tego wszystkiego, co ks. Józef opowiadał. Z kolei ks. Józef szczególnie upodobał sobie br. Czesława. Powierzając mu funkcje zakrystiana i ogrodnika, nie pozostawił go samego, ale wprowadzał go w obowiązki z tym związane stopniowo, systematycznie, umiejętnie, z dużą wyrozumiałością i cierpliwością. Mówił mu często: „Czesiu, masz być artystą i poetą w ogrodzie, szczególnie w układaniu kwiatów przed ołtarzami, oraz w formowaniu różnych rabat i klombów kwiatowych na zewnątrz”.

Przed przyjazdem do Anglii ks. Józef poznał Stany Zjednoczone. Wiele lat przebywał w Meksyku. Nie były mu obce Włochy. Swoją artystyczną duszą notował w pamięci parki, ogrody, rabaty kwiatowe i klomby. Układanie kwiatów w różnych wazonach, donicach, stało się jego specjalnością. Umiejętność tę stopniowo przekazywał br. Czesiowi. Na początku bał się on szczególnie tego nowego sposobu tworzenia bukietów ołtarzowych. Ale po roku, pod ojcowskim okiem ks. Józefa, zaczął być postrzegany i podziwiany jako artysta w tej dziedzinie. Goście chodząc po domu, nawiedzając kaplice, spacerując po parku, nie mieli słów podziwu dla jego pracy. A gdy spotykali go i gratulowali mu, zawsze odpowiadał w sposób wykrętny, z właściwym sobie uśmieszkiem: „To wszystko stworzył Pan Bóg, nie ja. To jest Jego dzieło. Przecież cały świat jest jednym przepięknym bukietem, dopóki człowiek go nie zniszczy. Trzeba mieć tylko oczy szeroko otwarte i umieć patrzeć”.

Czesio był też zakrystianem. A na terenie Fawley Court było pięć kaplic i tyleż zakrystii stałych lub tymczasowych. Była kaplica zakonna, był hol głównego budynku używany do niedzielnych nabożeństw, była kaplica szkolna w tzw. barakach, była też kaplica dusz czyśćcowych. Potem doszedł kościół św. Anny. Oprócz tych pięciu miejsc, które br. Czesio w porę przygotowywał i przyozdabiał kwiatami w szczególności w sposób, były jeszcze inne miejsca, gdzie dokładał swojej ręki artystycznej: grotta Matki Bożej z Lourdes, figury świętych, krzyż przydrożny przy drodze z domu do szkoły. Ludzie robili zdjęcia, podziwiali, a br. Czesio Bogu dziękował w swojej skromności, że w ten sposób może się przyczynić do większej Jego chwały. Często powtarzał, że to zasługa ks. Józefa. Ten zaś żartobliwie kiedyś powiedział Czesiowi przy innych: „No cóż, już uczeń przerasta mistrza, z radością muszę się z tym pogodzić”.

Już dawno po śmierci ks. Józefa Jarzębowskiego († 13.IX.1964) br. Czesio wspominał te poranne spotkania braci zakonnych z nim. Gdy ks. Józef musiał gdzieś wyjechać na dłużej, któryś z księży starał się go wówczas zastąpić. Kiedyś przytoczył takie słowa ks. Józefa: „Bracia Drodzy, ja często wyjeżdżam w teren ze Słowem Bożym, z różnymi rekolleksjami, nabożeństwami, ale wy pozostajecie tu na miejscu, tu głosicie to samo Słowo Boże przez swoją piękną, zespołową pracę. Goście patrzą na was, bacznie was obserwują i myślą, jak ci bracia zakonnicy kochają

Pana Boga i ludzi, skoro tak pięknie, wydajnie pracują razem jako mariańska wspólnota zakonna. Na pewno budują się taką waszą zewnętrzną postawą, która, jeśli wypływać będzie z waszego ducha ukochania Boga i Ojczyzny, to pod błękitnym sztandarem Niepokalanej przyniesie odpowiednie owoce. Bracia kochani, mnie ludzie słuchają, a na was patrzą. A jest taki aforyzm, takie powiedzenie: *Słowa pouczają, a przykład pociąga*. I kto tu jest ważniejszy? Bóg to oceni, nie będziemy się targować. Razem dokonamy wiele”.

Słowa te spodobały się br. Czesiowi. Często je powtarzał.

Początki rozwoju placówki mariańskiej w Fawley Court to okres przedsoborowy, kiedy to każdy ksiądz odprawiał jeszcze Mszę św. indywidualnie, bo koncelebra nie była jeszcze znana i stosowana. Nieraz zakrystian przygotowywał w jednym czasie kilka bocznych ołtarzy dla kilku księży, by każdy z nich mógł o tej samej godzinie odprawić Mszę św. Nie było to łatwe. Ale księża wiedzieli, że br. Czesio przygotowuje w porę ołtarze i wszystko, co potrzebne do odprawienia Mszy św. Być w tamtych czasach zakrystianem w Fawley Court nie było łatwo.

Nie ma czasu na opisywanie pracy br. Czesia w ogrodzie i w parku. Trwała ona cały okrągły rok. W Anglii mówiło się powszechnie, że zimy nie ma. Nie było więc i przerwy w pracy ogrodowej. Pracował nie raz ponad swoje fizyczne możliwości. To, co robił, było dla niego zawsze ważne, konieczne i podejmowane z radością, z wielkim zapałem i jakąś silną wewnętrzną motywacją. Z ciągłego sadzenia nowych kwiatów, zakładania rabatek, pielienia, podcinania drzew, formowania krzewów stawał się coraz mniejszy, pochylony. Co najgorsze, na plecach zaczął pojawiać się coraz to większych rozmiarów garb, który utrudniał mu nie tylko codzienne życie, ale przeszkadzał w pracy. Widać było, że słabnie, brakuje mu sił. Ale nie skarżył się. Przy każdym spotkaniu był szczerze uśmiechnięty. Ujmował wszystkich pogodą ducha. Kiedyś ks. Aleksander Perz MIC, dawny prowincjał, powiedział te słowa: „Lubię, jak przy przyjeździe do domu w Fawley Court spotykam najpierw br. Czesia z jego rozbajającym uśmiechem. Czuję, że jestem jakby oczekiwany przez was w tym domu. Mam też wrażenie, że piękna jest atmosfera całego domu, skoro mieszkańcy umieją się tak szczerze śmiać”.

Mówiło się, że Czesio nigdy się nie denerwuje. To nieprawda. Denerwował się czasem, ale się nie złościł. Już powyżej Andrzej Suchcitz wspominał o tym. Ja sam byłem świadkiem, gdy kiedyś ktoś z gości, cofając samochodem, nieopatrznie wjechał w piękną rabatkę kwiatową. Nie będę powtarzał słów, jakie się dostały nieostrożnemu kierowcy od pogodnego i uśmiechniętego br. Czesia. Dopiero gdy usłyszał:

– *Sorry! Sorry! I am very sorry!* – zrozumiał, że ma do czynienia z Anglikiem. Mimo to odruchowo jeszcze dodał:

– Pan wybaczy, ale ja to musiałem powiedzieć w imieniu kwiatów, które same skarżyć się i bronić nie mogą”.

Z każdym rokiem w parku wszystko nabierało coraz piękniejszego wyglądu. Nadłamane gałęzie po huraganach były odcinane, krzewy odpowiednio przystrzyżone, nowe zasadzane. Ale nikt z nas nie znał się do końca na tym wszystkim jak należy. Dlatego ks. Józef zaprosił kiedyś pewnego Polaka, fachowca od architektury parkowej. Spędził on w parku cały dzień z br. Czesiem, z innymi braćmi i z księżmi. Chodzili tu i tam. On mówił, wszyscy słuchali, a Czesio szczególnie. W pewnym momencie wszyscy usiedli na ławce. Przysiadłem się i ja do nich. A gość zwrócił się do br. Czesława i bardzo poważnie zaczął mówić:

„To, co powiem teraz, jest bardzo ważne, a nie zawsze praktykowane. Jest taka ogólna zasada, że jeżeli chce się utrzymać park w jak najbardziej zdrowej kondycji, trzeba zadbać o to, by w parku było jak najwięcej ptaków śpiewających, ćwierkających, gwizdzących. Ważni są też szczególnie «perkusiści» – dzięcioły. Nie widziałem w tym parku zimorodków, świstunek, muchołówek, mazurków, ale na pewno gdzieś tam one są. Bracie Czesławie, obecność w parku tych wszystkich wymienionych i niewymienionych ptaków gwarantuje dobrą kondycję drzew i całego parku. Przecież jedna sikorka zjada dziennie różnych robaczków i poczwerek tyle, ile sama waży. A ile spożyje ich w ciągu roku?... A ile zjada tych niewidocznych nieraz przez nas szkodników, gdy trzeba karmić pisklęta, których bywa dziesięcioro i więcej?...”

„Ale to, co teraz powiem, może się wydać mało prawdopodobne – mówił dalej specjalista od parków”.

„Otóż, aby utrzymać w parku wystarczającą ilość tych pożytecznych ptaków, trzeba walczyć z największymi ich wrogami, jakimi są: bez-

pańskie, dziko żyjące koty, sroki, a w Anglii szare wiewiórki. Wyjadają one jajka z gniazd i wylęgte już pisklęta. Szare wiewiórki to nie nasze brązowe czy czarne żyjące w Polsce, które żywią się orzechami i różnymi pestkami. Szara wiewiórka jest wszystkożerna, nie gardzi mięsem, a więc niszczy pisklęta w gniazdach, a dostanie się wszędzie, jest przecież niesamowicie zwinna. Zniszczyła też prawie doszczętnie brązowe wiewiórki, których w Anglii było kiedyś tak wiele”.

W tej chwili szara wiewiórka niespodziewanie i cichutko spłynęła z pobliskiego drzewa i wskoczyła na poręcz ławki, potem na wyciągniętą przez Czesia rękę, a po niej szybko zagładnęła do jego kieszeni, skąd wydobyla skórę chleba. Szybko wyskoczyła i usadowiła się na pobliskim drzewie, konsumując cenną zdobycz. Trzeba wiedzieć, że br. Czesio uwielbiał ptaki i zwierzęta. Był bardzo dumny i zadowolony z tego, co w tej chwili się wydarzyło. Oczekiwał od gościa bodaj kilka słów uznania dla tej jego przyjaznej komitywy z tym pięknym zwierzątkiem. Nastąpiła jednak dłuższa chwila ciszy, którą przerwał gość: „Przykro mi bardzo bracie Czesławie, bardzo przykro; i z góry proszę brata o zrozumienie i wybaczenie. Przed chwilą gościliśmy właśnie jednego z największych wrogów małych ptaków parkowych, szarą wiewiórkę...”

Trudno opisać, co działo się wówczas we wnętrzu br. Czesława. Sposepniał, chciał coś powiedzieć, ale zaniemówił. Bratu Czesiowi, który szare wiewiórki traktował jak najlepszych parkowych przyjaciół, ktoś teraz stara się wmówić, że to największe szkodniki. Nie! Nigdy! Gość specjalista patrząc na br. Czesława wyczuł, że dalsza dyskusja czy jakies zalecenia nie będą mieć najmniejszego sensu. Przerwał wykład o szarych wiewiórkach. Potem, na osobności, bez udziału br. Czesława, omówił całą tę sprawę z przełożonym i br. Bronisławem, który miał dubeltówkę.

W *Albumie zmarłych* marianów napisano zwięźle, że br. Czesław był ogrodnikiem i zakrystianem. Zapis ten niewiele powie dzisiejszemu czytelnikowi. Za nim kryje się ogrom pracy, która poza modlitwami wspólnymi i osobistymi pochłaniała całkowicie jego wolny czas. A był przecież jeszcze do dyspozycji kuchni. Gdy z rzeźni przywożono tusze wołowe lub wieprzowe, tylko on potrafił się z nimi uporać, poświęcając całą noc, by porozcinać tę górę mięsa na odpowiednie porcje, owinąć

w plastik, podpisać, zważyć i włożyć do dużej zamrażalki. Nic dziwnego, że zasypiał na pacierzach czy rozmyślaniu po tak ciężko przepracowanej nocy. W początkach, gdy jeszcze nie było sióstr Imienia Jezus, był kucharzem, a gdy zachodziła potrzeba, umiał wyrabiać wędliny na sposób polski i wędzić je w zbudowanej przez siebie wędzarni. Pilnował też piecy naftowych do opalania klas szkolnych, tzw. *Aladynów*.

Wspomnę jeszcze, że br. Czesław nie tylko strzygł chłopców w internacie, ale był też naszym domowym fryzjerem. Obojętne co robił, gdy ktoś poprosił o usługę fryzjerską, szybko kończył robotę i pojawiał się w naszym domowym gabinecie fryzjerskim – oczywiście z uśmiechem. Tę swoją usługę traktował jako wyjątkowy dar, okazję do osobistego spotkania się z drugim współbratem czy studentem. Znany był z pełnej dyskrecji. Dlatego też w czasie strzyżenia dochodziło nieraz do bardziej szczerych, intymnych zwierzeń. Gdy rozmowa musiała przeciągnąć się kilka minut, nie wyłączał maszynki, by robić wrażenie że jeszcze strzyże. Tak kończyły się rozmowy. Był podwójnym „fryzjerem”, bo strzygł nie tylko włosy na głowie, ale niejednemu pomagał poukładać duchową fryzurę w sercu.

Ale jest jeszcze jeden przemiły gest br. Czesia, jaki okazywał względem swoich współbraci. Przed imieninami każdego z nich, późno w nocy, gdy wszyscy już spali, szedł do jadalni z koszem różnych kwiatów i zieleniny. Na stole, przy którym siedział solenizant, rozpościarał mały obrusik. Z listków drzew, krzewów i kwiatów układał na nim precudne makietki z inicjałami imienia i nazwiska solenizanta. Często znalazła się przy tym jakaś czekoladka, którą otrzymał od ludzi. Dla wszystkich na drugi dzień było to wielką niespodzianką. Niektórzy współbracia nawet nie pamiętali o czyichś imieninach, a Czesio uprzedzał i zaskakiwał wszystkich swoim pomysłem. To bardzo umacniało wspólnotę i dodawało jej jakiegoś specyficznego ciepła.

Brat Czesio odszedł do Pana 25 lutego 1998 r. W ostatnich chwilach jego życia br. Bronisław Świstak bardzo gorliwie zajął się nim. Kilka razy w nocy wstawał do niego, gdy słyszał, jak jęczał z bólu. Środki przeciwbólowe niewiele pomagały. A stale prosił, by mu pomógł zmienić pozycję leżenia. Jak po wielu innych, tak i po bracie Czesiu – jak mówi tytuł

wspomnianej książki – *Zostanie po nich nikły ślad*. Wierzymy jednak, że u Boga żyje każde dobro. Ślad po nim nigdy nie ginie.

Na ziemi został jeden wyraźny ślad po bracie Czesiu: unikalna fotografa ks. Józefa Jarzębowskiego MIC, zrobiona przez niego w Hereford. Można ją spotkać wszędzie w książkach, katalogach, albumach, na okładkach książek i – ku mej radości – tu, w Licheniu, w bazylice, jako część witraża Miłosierdzia Bożego w kaplicy Serca Pana Jezusa. Inne fotografie ks. Józefa, robione przez specjalistów najlepszym, nowoczesnym sprzętem: nie wytrzymały konkurencji, wygrała fotografia br. Czesia, robiona nie tylko że starym aparatem, ale chyba sercem i uśmiechem. Na fotografii tej bowiem ks. Józef odpłaca uśmiechniętemu zawsze br. Czesiowi swoją uśmiechniętą twarzą. Brawo, bracie Czesławie!

ks. Franciszek Bieniasz MIC

<><><>

[...] Wspominam Jego miejsce w tej wspólnoty z perspektywy ponad 30. lat bliskości z marianami i 20. sąsiedztwa. Brat Czesław zawsze był czynny – do chwili, gdy zmoęła go choroba – nawet wtedy, gdy było jasne, że cierpiał, choć tego nie pokazywał. Czynny zwłaszcza w parku i ogrodzie, który rozkwitał w jego troskliwych rękach. Uczył nas tym wytrwałości w pracy. Tak serdeczny, a przy tym oszczędny w słowach, pokazywał wartość i mowy, i milczenia. Słów i milczenia także w modlitwie, której – jak mi się wydaje – poświęcał tyleż czasu co pracy.

A każdym swym gestem pozwalał też zrozumieć nam, patrzącym na niego, czym jest pokora – cnota dziś niemal zapomniana. U niego łączyła się z mądrością życia, spokojem wśród niepewności i harmonią z całym stworzeniem. Myślę, że jego uczynki nie tylko były miłe Bogu, ale radowały też św. Franciszka [...].

Wojciech Płazak

Z listu do ks. Bogdana Zielińskiego MIC,
przełożonego marianów w Fawley Court, 11 marca 1998 r.
Archiwum Generalne Marianów w Rzymie.



[...] Brat Czesio (tak mówiliśmy o nim i do niego) był człowiekiem pracy. Przez pracę wyrażał miłość do Boga i do ludzi. Był już bardzo słaby. Poruszał się przy pomocy wózka, a jeszcze troszczył się o park. Jeszcze w nim pracował, radosny, że może być potrzebny. Jakże cierpiał, gdy owoce jego pracy ktoś zniszczył. A i to cierpienie potrafił ofiarować Panu Bogu. Umiał też ludziom przebaczyć.

Wreszcie przyszła największa próba. Brat Czesio z przerażeniem (tak, było to prawdziwe przerażenie) stwierdził, że pracować już więcej nie może. Udręczony chorobą, nie jedną zresztą, był teraz zdany na pomoc innych. Sam się nawet nie był w stanie ułożyć do snu. I wtedy ujawniły się dwie nowe cechy br. Czesława: umiał być wdzięczny. Z jakim wzruszeniem mówił o tych, którzy się nim opiekowali; z jaką radością witał nas, odwiedzających go; jak serdecznie trzymał każdego z nas za rękę, jakby chciał w ten sposób wyrazić swe przywiązanie i wdzięczność. Nie jest łatwo przyjmować od innych – on to umiał. I druga cecha: br. Czesio rozumiał, nie bez trudności, że od pracy w ogrodzie, od produkcji, od tego wszystkiego, co można przeliczyć na pieniądze – cenniejsza jest składana Bogu z miłością ofiara cierpienia. I rozumiał, że jego choroba, jego Kalwaria też jest ważną pracą. W pokoiku na pierwszym piętrze walczył z Bogiem, jak kiedyś walczył Jakub. Walczył o swoje ukochane Zgromadzenie, o swoją prowincję, którą chciał widzieć świętą i zakochaną w Bogu.

Wierzę, wiem, że br. Czesław dla prowincji angielskiej zrobił więcej aniżeli ktokolwiek z nas; wierzę, wiem, że gdyby nie on, gdyby nie jego ofiary i ofiary takich jak on, nic by z naszych starań nie wyszło. Podejrzewam, że i on to wiedział. Był zbyt skromny (jeśli można się tak wyrazić), by o tym mówić, ale z niektórych wypowiedzianych przez niego słów mogę wnosić, że swój los, swoją drogę krzyżową ostatnich miesięcy traktował jako czynny udział w naszym życiu [...].

ks. Adam Boniecki MIC

Z listu przełożonego generalnego marianów do ks. Władysława Dudy MIC, delegata dla prowincji angielskiej, Rzym, 10 marca 1998 r. Archiwum Generalne Marianów w Rzymie.

BRAT STANISŁAW BEDNARZ MIC (1962 – 2010)

Brat Stanisław zmarł nagle 8 kwietnia 2010 r., podczas wizyty w domu rodzinnym, ku powszechnemu zaskoczeniu i zasmuceniu współbraci.

Zgłosił się do Zgromadzenia po uzyskaniu świadectwa dojrzałości w Liceum Zawodowym w Sokołowie Małopolskim. Po maturze został powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej (1983–1985). Potem trzy lata pracował w Spółdzielni Rzemiosł Różnych w Stalowej Woli. Jednakże w swej duszy coraz mocniej odczuwał pragnienie oddania swego życia Bogu na wzór Niepokalanej.

W 1988 r. został przyjęty do Zgromadzenia Księży Marianów. Z pozycji prowincjała proponowałem mu podczas spotkania w nowicjacie studia seminaryjne i drogę posługi kapłańskiej. Świadomie i dobrowolnie wybrał styl życia brata zakonnego. Myślę, że z obawy przed odpowiedzialnością kapłana za zbawienie dusz, w czym ujawnił ducha autentycznej pokory i prawdy o sobie. Chciał być bratem na wzór pokornej Służebnicy Pańskiej i żyć w postawie dyspozycyjności Niepokalanej w służbie Chrystusa i Kościoła. Całe późniejsze jego życie było potwierdzeniem takiej właśnie postawy.

Po pierwszej profesji przez cztery lata (1989–1993) był kierowcą przełożonego prowincji w Warszawie na Stegnach. W tej posłudze, niełatwej – wymagającej ogromnej cierpliwości i umiejętności zagospodarowywania czasu podczas oczekiwania na załatwiającego sprawy prowincjała, był niezawodnym mistrzem, wzorem brata o dużej osobistej kulturze, o wybitnym wyczuciu taktu, dyskrecji, pogody ducha, braterskiej życzliwości i rozmodlenia. Służył pomocą domowi w robieniu zakupów i załatwianiu niektórych spraw w chwilach wolnych od wyjazdów z prowincjałem czy wiceprowincjałem. Z niezwykłą starannością troszczył się o czystość samochodu, o jego przeglądy, sprawność, przygotowanie do dalszych, zwłaszcza wizytacyjnych podróży, które dotyczyły odległych od siebie placówek: Głuchołazy, Stoczek, Zakopane, Elbląg, Lublin.

W roku 1990, po obaleniu komunizmu, wyruszyliśmy z pomocą duszpasterską na Białoruś, Ukrainę, do Kazachstanu, na Słowację i do Niemiec. W ciągu czterech lat jeżdżenia z prowincjałem br. Stanisław miał tylko jedną stłuczkę: przy wyjeździe z Warszawy w kierunku Stoczka Klasztornego. Najechał na przypadkowo zgubioną przez kogoś betonową bryłę. Poza tym nigdy nie był upominany czy karany mandatem przez policję za jazdę niezgodną z przepisami kodeksu drogowego. Dla br. Stanisława posługa kierowcy czy zaopatrzeniowca domu była radosną służbą Bogu w braciach na wzór Niepokalanej. Myślę, że tak można bez przesady odczytać ducha jego braterskiej pomocy innym.

Nie chciał nosić sutanny czy koloratki, by zewnętrznie ukazywać swoją przynależność do stanu duchownego czy zakonnego. Świadczy to chyba o jego umiłowaniu prawdy o sobie i postawie „nie udawania” kogoś innego. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek opuścił wspólne modlitwy w kaplicy. Często widziałem go przed Najświętszym Sakramentem w ciągu dnia i wieczorami. Nie obnosił się ze swoją pobożnością i wiarą, ale nią promieniował. Zdaje się, że w marcu, na miesiąc przed śmiercią, w telefonicznej rozmowie, gdy dziękowałem mu za współpracę, powiedział, że bardzo mile wspomina czas swego pobytu na Stegnach i podróżowanie z prowincjałem do wielu domów zakonnych w prowincji. Od 1995 r. był zaopatrzeniowcem Seminarium Księży Marianów w Lublinie.

Odszedł od nas do Domu Ojca, w 48 roku życia jeden z wielu naszych autentycznych braci zakonnych, prawdziwy *Homo Dei*, mąż Boży, współbrat, którego wszyscy szanowali, kochali; i przy którym i z którym czuli się dobrze. Został pochowany na cmentarzu w Lublinie jako pierwszy marianin.

ks. Stanisław Kurlandzki MIC



Brata Stanisława Bednarza poznałam w 1991 r., gdy przez moje władze zakonne zostałam skierowana do pracy w domu Księży Marianów na Stegnach. Brata spotykałam codziennie. Pełnił wówczas posługę ekonoma domu prowincjalnego.

W mojej pamięci pozostał jako zakonnik bardzo uduchowiony a zarazem niezmiernie skromny i usłużny oraz rozmodlony. Ponieważ pracowałam przy parafii jako zakrystianka, dość często korzystałam z jego posługi podczas zakupu kwiatów do kościoła. Choć na giełdę kwiatową trzeba było jechać bardzo wcześnie rano, br. Stanisław nigdy nie odmówił mi pomocy w zrobieniu zakupów i przywiezieniu kwiatów do kościoła.

Podczas jednej z rozmów zdradził mi swój życiowy sekret dotyczący sposobu realizacji mariańskiego powołania. Ponieważ miał średnie wykształcenie z maturą, był zachęcany przez swoich przełożonych do podjęcia studiów w seminarium i przygotowania się do przyjęcia sakramentu kapłaństwa. Odpowiedział jednak na tę propozycję, że chce służyć w Zgromadzeniu Bogu i ludziom jako brat zakonny. Jego wzorem był święty Józef z Nazaretu. Chciał tak jak On, pełnić w ukryciu i cichości zadania wobec tych, do których Bóg go posyła.

Jestem wdzięczna Bogu za to, że mogłam poznać br. Stanisława Bednarza i czasem osobiście z nim współpracować dla chwały Bożej.

Brat Stanisław odszedł do Domu Ojca Niebieskiego dość wcześnie i niespodziewanie, ale ufam i jestem mocno przekonana, że osiągnął wyznaczony mu przez Boga stopień wewnętrznej dojrzałości, by w chwale Królestwa Niebieskiego móc kontynuować posługę Jezusowi i Maryi rozpoczętą na ziemi w cichości i pokorze.

s. Bożena Szczepaniak CSNJ

BRAT STANISŁAW BOHOWICZ MIC
(1903 – 1980)

Urodził się 1 września 1903 r. na Białorusi. Do Zgromadzenia wstąpił w 1927 r. Już w 1932 r. przybył do Harbina z mariańskiego klasztoru w Dru. Ponieważ imię Stanisław było dla Rosjan kulturowo obce, przyjął imię Mikołaj. Był to zakonnik pobożny i człowiek pełen dobroci. W sprawach finansowych cieszył się dużym zaufaniem ks. Fabiana Abrantowicza MIC, a od 1939 r. również jego następcy, archimandryty ks. Andrzeja Cikoto MIC.

Brat Bohowicz pełnił funkcję ekonoma domu zakonnego i doradcy ks. Abrantowicza MIC w sprawach materialnych. Po likwidacji w 1948 r. misji harbińskiej pozostał w Harbinie i utrzymywał się z pracy własnych rąk. Był też stróżem i dysponentem pewnych dóbr oraz pozostałych nieruchomości. Chociażby przekazał polskiej kolonii i dla kościoła św. Stanisława bogate wyposażenie cerkwi. Po różnych perypetiach przybył w 1951 r. do Rzymu, a od 1952 r. zamieszkał na stałe w białoruskim domu w Londynie i zmarł tam w 1980 r. Po śmierci napisano o nim: „Przez całe swoje życie odznaczał się wyjątkowym ubóstwem i pracowitością”.

ks. Jan Kosmowski MIC

Mariańska misja obrządku bizantyjsko-słowiańskiego w Harbinie (1928–1948), Promic, Warszawa 2011, s. 121-122.

BRAT STANISŁAW BRUC MIC
(1927 – 2010)

Był jak mistrz

Brat Stanisław Bruc (Brucz) był ode mnie starszy wiekiem i powołaniem. On śluby wieczyste złożył 8 grudnia 1955 r. w Gietrzwałdzie na ręce ks. Aleksandra Perza MIC, rektora mariańskiego studium

filozofii. Od Matki Bożej Gietrzwałdzkiej br. Stanisław wrócił do Skórcza, aby dalej prowadzić gospodarstwo domu zakonnego. W tym domu mieścił się mariański nowicjat. Ja do nowicjatu zostałem przyjęty w połowie sierpnia tegoż roku. To tłumaczy moją znajomość z br. Brucem.

W życiu nowicjuszy wkrótce nasiliły się prace w ogrodzie, w polu i na łąkach. Trzeba było wspomagać br. Stanisława. Chętnie mu towarzyszyłem, sam wcześniej zaprawiony do takich robót i posług w minione wakacje w rodzinnym domu (po maturze). Nawet był taki moment, kiedy br. Stanisław z humorem zarządził konkurs, kto będzie lepszy w koszeniu trawy ręczną kosą. Oczywiście ledwie za nim podążałem. Ale były też chwile oddechu i pobożnej rozmowy. Dzielił się swą radością z mariańskiego powołania. Wtrącał czasem pytanie o to, jak przyjmujemy „lekcje” z magistrem nowicjatu, co z nich zapamiętaliśmy. Nie egzaminował, lecz zachęcał do przemyślenia materiału. Dzielił się własnym doświadczeniem – był jak mistrz. Nie wiem, czy świadomie, lecz na pewno faktycznie towarzyszyło mu tradycyjne zawołanie „módl się i pracuj”. Budujące było jego skupienie w kościele i cicha pobożność w domowej kaplicy. Ale w niedzielę umiał też odpocząć, poczytać i być z innymi domownikami. W dni świąteczne zwykle wkładał niebieski garnitur, w którym wspaniale prezentował się jako brat... zadbany, uprzejmy, miły i pogodny. Lubił ciasta. Ładnie śpiewał. Taka pozytywna i zrównoważona osobowość zakonnika udzielała się nam, nowicjuszom.

Brat Stanisław Bruc urodził się 31 marca 1927 r. w Jarocinie koło Płońska w diecezji płockiej. Jego rodzice Ludwik i Józefa z domu Gajewska w latach wojennych musieli się tułać w pobliskim terenie. Potem na dwa lata (1943–1945) schronili się w Płocku. Po ukończeniu szkoły powszechnej w Sarbiewie (1945 r.) pomagał rodzicom w gospodarstwie. Po pięciu latach, w marcu 1950 r., zgłosił się do Zgromadzenia Księży Marianów jako kandydat na brata zakonnego. Pięciomiesięczny postulat odbył na podwarszawskich Bielanach. W grudniu 1950 r. rozpoczął nowicjat w Skórcu pod kierunkiem ks. Feliksa Żurni MIC. Tam też, 8 grudnia 1951 r. złożył pierwsze śluby zakonne na ręce ks. Czesława Fajkowskiego MIC, przełożonego domu. Klasztor skórcecki posiadał obszerne gospodarstwo rolne; były to własne i dzierżawione pobliskie pola i łąki. Wszystko to zostało powierzone „w dobre ręce” br. Stanisława

na dziesięć lat (1951–1961). Podobne zadania spełniał w Górze Kalwarii (1961–1968), gdzie tereny uprawne były zlokalizowane we własnym dużym ogrodzie, a także w pobliżu cmentarza, niedaleko Wieczernika i na rozległych łąkach pod Czerskiem.

Stan zdrowia najpierw jego brata, a potem jego ojca (w Strachówku koło Płońska), sprawił, że za zgodą przełożonych w latach 1968–1983 przebywał prawie na stałe poza domem zakonnym. Utrzymywał jednak kontakt i pozostawał z nim w jedności duchowej, wierny powołaniu.

Przyszedł czas na powrót. Ponownie został skierowany do Skórcza (1984–1997). Stopniowo podupadał na zdrowiu. Od sierpnia 1997 r. przebywał w Puszczy Mariańskiej. W miarę swoich możliwości posługiwał tam w zakrystii miejscowego kościoła parafialnego, dbał o domowy ogród nad pobliską Korabiewką, pielęgnował całe otoczenie, sadił drzewa owocowe, siał warzywa i kwiaty. Jego staraniem w ogrodzie tym stanęła figura Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej.

W roku 2009 stan zdrowia br. Stanisława wymagał dłuższego pobytu w szpitalu w Żyrardowie. Choroba i niezdolność poruszania się narastała. Wymagał specjalnej opieki. Został przeniesiony do hospicjum w licheńskim sanktuarium św. Stanisława Papczyńskiego. Można by powiedzieć, że br. Stanisław jako jego syn duchowy, znalazł się pod opieką swego Ojca, Założyciela marianów. Zmarł 8 kwietnia 2010 r., ukończywszy 83 lata życia. Zaczął wtedy 59 rok profesji zakonnej.

W nekrologu napisano, że br. Stanisław Bruc odznaczał się duchem modlitwy i ogromnej pracowitości. Zostawił nam wzór gorliwości, pogodnego usposobienia i braterskiej życzliwości. Te cechy były zakonrzenione w miłości Boga i Niepokalanej. Przed skórzeckim krzyżem uczył się jak żyć w postawie konsekracji zakonnej.

ks. Marian Pisarzak MIC

Świadectwo spisane w Grzybowie 7 października 2016 r. w oparciu o wspomnienia własne i współbraci oraz na podstawie krótkiego biogramu zawartego w: *Immaculata*, 2010, nr 5–6, s. 174.



Pracowitego br. Stanisława poznałem już jako mały ministrant w Górze Kalwarii. Prowadził wtedy gospodarstwo klasztorne. Potem w Skórcu, ja wtedy byłem w nowicjacie. Zawsze zabiegany, czerwony na twarzy i ręce pełne roboty, tej zwykłej, prostej, na roli i w gospodarstwie. Pracy ciężkiej i bardzo ważnej dla egzystencji naszego Zgromadzenia w tamtych czasach. Pomagaliśmy mu przy świnkach, krowach, przy sianokosach, żniwach i młócce; bo wiedzieliśmy, że on się trudził dla nas. Przy całym nawale pracy nie zanieczywał modlitwy. Często w ubraniu roboczym przychodził do kaplicy, aby w wyznaczone godziny modlić się ze wspólnotą. Kiedy jego ojciec był już w podeszłym wieku i nie miał siły aby prowadzić gospodarstwo rolne w pobliżu Płońska, wówczas przełożeni pozwolili br. Stanisławowi pojechać do domu i zadbać o ojca i swego upośledzonego brata. Mądry gest, podkreślający jedność wspólnoty zakonno-rodzinnej! Aby br. Bruc nie czuł się wyobcowany i „opuszczony” przez wspólnotę zakonną, to ks. Antoni Łoś MIC, wysłał ks. Adama Kowala MIC i mnie, wówczas kleryków z Lublina, abyśmy spędzili Wielkanoc z br. Stanisławem, jego bratem rodzonym i ich ojcem. Widzieliśmy z bliska, jak niełatwe były te lata dla niego. Musiał prowadzić gospodarstwo, być pielęgniarzem dla ojca i dla brata, gotować, prać, sprzątać, etc. W wirze tych codziennych prac nie można było zaniedbać życia duchowego. Wyszedł z tej próby zwycięsko. Kiedy zmarł jego ojciec, wówczas – znów piękny gest przełożonych – pozwolono mu, aby wracając do wspólnoty zakonnej, zabrał ze sobą swego rodzimego brata. Ostatnie lata obaj spędzili w Puszczy Mariańskiej i tam odeszli do Pana. Pod koniec życia br. Stanisław styraną pracą fizyczną cierpiał na nogi, nie mógł chodzić. Kochał swoje Zgromadzenie i dla niego oddał wszystkie swoje siły. Dzięki ci za to bracie Stasiu!

ks. Marek Szczepaniak MIC

Góra Kalwaria, czerwiec 2016 r.

BRAT ADOLF BULOTAS MIC
(1903 – 1940)

Oto przychodzę Boże, pełnić Twoją wolę (Hbr 10, 9) – hasło br. Adolfa

Dnia 20 stycznia 1940 r. w klasztorze marianów w Mariampolu zmarł br. Adolf Bulotas, księgowy mariańskich instytucji i administrator prasy. Bliski rodzinie czytelników *Šaltinisa* nie tylko dlatego, że był odpowiedzialny za prenumeratę i wysyłkę ich pisma, ale że zasłużył sobie na zainteresowanie i szacunek jako człowiek, który potrafił wykształcić w sobie chrześcijańską osobowość i stał się wart tego, by być duchowym synem abpa Matulewicza.

Brat Adolf urodził się 8 maja 1903 r. we wsi Virbaliunai w parafii Vilkijs. Po Wielkiej Wojnie ukończył szkołę średnią w Vilkijs, a w 1930 r. Wyższą Szkołę Mleczarską w Belvederis. Później pracował w Mleczarni Żmudzkiej niedaleko Ariogały. W czasie nauki był aktywnym działaczem. Działał między innymi wśród młodzieży wiejskiej, szczególnie propagując trzeźwość i abstynencję. W roku 1935 wstąpił do marianów. W następnym roku w uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny złożył pierwsze śluby, a w roku 1939 – śluby wieczyste. Mając praktykę księgowego został wyznaczony do prowadzenia księgowości klasztoru i stolarni, a później również drukarni. Od lata 1939 r. do 16 stycznia 1940 r. pracował w administracji prasy. Tego dnia wieczorem zachorował. Lekarz najpierw myślał, że to grypa, później jednak okazało się, że zakażenie krwi: materia zebrała się pod gałką oczną – nie było ratunku. O północy z 19 na 20 stycznia chory sam powiedział, że jego godziny są już policzone. Poprosił ks. Totoraitisa i przyjął ostatnie sakramenty. Rano stracił przytomność. Odmówiono modlitwy za umierających. Chory był niespokojny, ciężko oddychał, ale później uspokoił się. O godzinie 8:10 zasnął w Panu.

Należałoby na chwilę zatrzymać się przy osobie br. Adolfa, aby go poznać i nim się rozradować. Największą trudnością przy poznaniu jego osoby była jego skromność. Przez nią nic o sobie innym nie opowiadał, nie pokazywał nikomu swoich dokonań. Trochę więcej mówią o nim osobiste zapiski, ale i one są krótkie. Nieraz spotyka się w nich takie

postanowienia: „Niżej, prościej, jeszcze bardziej w ukryciu, inaczej sami siebie będziemy oszukiwać. Będę ukrywał swoje dobre uczynki. Bo w oczach Bożych ludzi jakby nie ma” (30. VI. 1938). Rozmawiając z br. Adolfem można było usłyszeć: „Idąc drogą pokory, wiem, że idę drogą Chrystusa; inne drogi – nieprawdziwe”.

Zarówno na zewnątrz, jak i w zapiskach linia życia br. Adolfa wiodła bardzo prosto. Najpierw poważnie zastanawiał się, a dokonawszy wyboru, dążył do ideału, pokonując trudności. Bardzo poważnie przyjął życie zakonne, szanował je. Wcześniej się do niego przygotowywał i był w klasztorze przykładem dla wszystkich. Oto, co zapisał pod datą 1 września 1938: „Jeśli opuściłem wszystko i oddałem się służbie Bożej, to dlaczego coś jeszcze rezerwować dla siebie,... dlaczego pracy nad świętością nie wykonywać jeszcze doskonale, doskonale i najdoskonalej, na nic się nie oglądając”.

Kiedyś powiedział jednemu z braci, który dziwił się jego opanowaniu: „Walczyłem na śmierć i życie ze swoimi wadami”.

Było to zauważone przez wszystkich braci zakonnych, którzy szanowali tę jego wierność zasadom. Także jego bliscy zaświadczenia, że również w młodości br. Adolf żył tak prostolinijnie i miał taką silną wolę.

Nikt nie zdoła opisać pracowitości i dokładności w obowiązkach br. Adolfa. W końcówce roku w administracji zbierało się szczególnie dużo pracy, ale on starał się wszystko uporządkować i ze wszystkim zdążyć. Gdy niektórzy troszczyli się bardziej o swoje zdrowie, wtedy on uśmiechając się odpowiadał, że nie można inaczej: „Jest zbyt wiele rzeczy, których nie można odłożyć”.

Jak przystało na prawdziwego ucznia Chrystusa, również życie br. Adolfa było naznaczone krzyżem. W dzień swoich imienin (17. VI. 1938 r.) zapisał: „3. rocznica mojego życia w klasztorze i bolesnych doświadczeń, i cierpień bez przerwy; codziennie z powodu różnych pokus i co noc z powodu bezsenności, bez wyjątku, ani jednej nocy”. I dalej dwa razy przepisane i podkreślone słowa św. Tereski od Dzieciątka Jezus: „Jeślibym nie cierpiała co minutę, zabrakłoby mi cierpliwości”.

On naprawdę nie szukał żadnych szczególnych umartwień. Przyjął znój codziennych obowiązków i pracy, nieprzyjemności od innych osób, a w końcu wewnętrzne doświadczenia i troski. Zupełnie spokojnie i cicho przyjął ostatni ból głowy pochodzący z choroby.

W swoich zapiskach pisze o swych błędach i pokusach. Rozumie, że jest człowiekiem i ma ludzkie słabości. Ale dzięki nieustannemu wysiłkowi udaje mu się z Bożą łaską oczyścić i uszlachetnić to co ludzkie. Szlachetnie ludzki pozostawał na zewnątrz: w mowie okazywał się wykształcony, był kulturalny, przyjacielski, naturalnie radosny i zwykły.

Brat Adolf to człowiek naszych czasów. Zrozumiał współczesne rany i leczył je, rozwijając w sobie osobowość chrześcijańską, a oprócz tego oddając swoje modlitwy i trudy pracy za dusze innych. To jednocześnie zachęta i wsparcie dla tych, których miejsce pracy ogranicza się do biurka i pokoju. Nie będą oni błyszczeć w oczach innych ludzi. Brat Adolf pokazał, że i w takich okolicznościach można osiągnąć najszlachetniejsze cechy duszy i choć w ciszy, skutecznie apostołować.

ks. Vaclovas Aliulis MIC

Šaltinis 1940, nr 6, l. 95; tłumaczenie z języka litewskiego Paweł Chudzik.

BRAT ZYGMUNT CZERWIŃSKI MIC (1905 – 1985)

Brat Zygmunt Czerwiński urodził się 25 kwietnia 1905 r. w Żbikowie koło Pruszkowa. W młodym wieku otrzymał wykształcenie średnie ogólnokształcące, potem techniczne, głównie jako samouk.

Pierwsze śluby zakonne złożył w Skórcu 15 września 1923 r., wieczyste 15 września 1926 r. na Bielanach pod Warszawą. Złoty jubileusz życia zakonnego obchodził bez rozgłosu w Górze Kalwarii.

Przez całe swoje pracowite życie zakonne wykonywał zawód kierowcy, mechanika i konserwatora, głównie w Warszawie, Skórcu, Gietrzwałdzie, Stoczku Klasztornym i w Górze Kalwarii.

Zawsze pogodny, uczynny, systematyczny w modlitwie i w pracy, bogaty w pomysły techniczne, niezmordowany w prowadzeniu wykopów ziemnych. Góra Kalwaria zawdzięcza mu między innymi podpiwniczenie kościoła parafialnego i klasztoru.

Zmarł 24 maja 1985 r. w szpitalu w Otwocku po operacji na raka trzustki.



Bielany – Skórzec

Brat Zygmunt Czerwiński położył niespożyte zasługi dla całego gospodarstwa (Bielany) i budowy domu zakonnego, Zakładu oraz innych domów zakonnych, szczególnie w Skórcu. Wielce uzdolniony technik w wielu dziedzinach: elektrotechnik, mechanik, nawet konstruktor. Z usposobienia cichy, solidny, dokładny, sumienny, pracowity, zawsze pełen pomysłowości. Brał czynny, twórczy, wydatny udział przy wszystkich robotach remontowych, inwestycyjnych i budowlanych na Bielanach. Doprowadzenie i rozprowadzenie po całym naszym terenie wody z wodociągów miejskich, kanalizacja, budowa skrzydła zachodniego Zakładu, elektrowni, akumulatorni etc. Podobne zasługi położył w Skórcu dla domu zakonnego, juwenatu.

Wszystkie prace wykonywał sam i z pomocą braci lub najętych pracowników. W miarę potrzeby był ślusarzem, elektrotechnikiem, hydraulikiem, mechanikiem, opiekował się robotami kowalskimi. Dzięki niemu przy powstawaniu i rozbudowie wszystkich placówek prowincji, a zwłaszcza Bielan, Zgromadzenie mogło zaoszczędzić ogromne sumy na wszystkich inwestycjach, aby je skierować na ogólną rozbudowę.



Skórzec – Juwenat

Dzięki inicjatywie i umiejętnościom br. Czerwińskiego otrzymaliśmy oświetlenie elektryczne, otrzymywane wprost z dynamo. Dla uzyskania taniej siły napędowej wybudował on wieżę z grubych okrągłaków – bali sosnowych. Umieścił na niej wiatrak, który przez przekładnię poruszał prądnicę. W czasie pracy wiatraka strach było wejść na wieżę, bo cała „chodziła” pod naporem wiatru i wstrząsów obracających się skrzydeł. Przedsięwzięcie było niebezpieczne. Mimo to brat, mechanik – konstruktor, stale je udoskonalał. Oprócz wiatraka był też i motor.

Drugą konieczną inwestycją było urządzenie wodociągów lokalnych. Przy fachowej pomocy inż. W. Zielińskiego, który w tym celu parokrotnie przyjeżdżał z Warszawy do Skórcza, sporządzono projekt studni artezyjskiej. Inżynier ten wskazał swego kolegę – właściciela przedsiębiorstwa wiertniczego, który po minimalnych cenach zbudował 12. metrowej głębokości studnię pół-artezyską. Woda z niej była wysokiej jakości i nigdy jej nie zabrakło.

Brat Zygmunt rozprowadził rurociąg wodociągowy. Wyszukał w okolicy wielki kocioł pogorzelniany o pojemności kilku metrów sześciennych. Nie małym zadaniem było wywindowanie ogromnego kotła na wysokość kilku metrów nad korytarzem łączącym klasztor z kościołem. Jak najstaranniej opracowaliśmy z bratem sposób wciągnięcia z zachowaniem wszelkich ostrożności, ze względu na bezpieczeństwo wykonawców. W tym celu zbudowano pochylnię z belek, a na nich podkładano wałki drewniane pod dwie deski, na których był umieszczony kocioł. Wciągano ciężar przy pomocy wielokrążka, nieustannie asekurowując każdy centymetr podciąganego kotła, by zabezpieczyć się na wszelki wypadek przed jakimś nieoczekiwanym obsunięciem. Nikomu nie wolno było znajdować się na tej stronie, w którą mógłby stoczyć się kocioł. By go umieścić na dwu fundamentalnych ścianach korytarza, rozebrano odpowiednią część dachu. W ten sposób otrzymaliśmy „wieżę ciśnię”.



Bielany – budowa skrzydła

Przy budowie mieliśmy poważne trudności techniczne. Spod zamierzonego budynku należało usunąć duże ilości ziemi (kilkaset metrów sześciennych). Zadanie to znakomicie wykonał br. Czerwiński. Nabyliśmy używane szyny i parę wywrotek. We wschodniej, dolnej części ogrodu znajdował się płytki staw. Ponieważ coraz bardziej wysychał w miarę rozwijającego się budownictwa od strony Pól Bielańskich i Wawrzyszewa, zdecydowano staw ten całkowicie zasypać ziemią z wykopów pod budowę nowego skrzydła. Brat Czerwiński zbudował trasę dla kolejki o paru zwrotnicach na przestrzeni paruset metrów. Do miejsca budowy tor szedł stale ze spadkiem. Natomiast z placu budowy wywrotki trzeba było wyciągać. Było to bardzo ciężkie i niebezpieczne zadanie ze względu na duże obciążenie wywrotki ziemią. I tę trudność rozwiązała pomysłowość br. Zygmunta. Zbudował wyciąg elektryczny (z kołowrotem i liną żelazną). W ten sposób praca została zredukowana do ładowania wywrotki, czuwania nad pracą motoru wyciągowego i zachowania ostrożności przy zjeżdżaniu po pochyłości i zakrętach oraz rozplantowywaniu zwożonej ziemi.

Na podstawie: Ks. Stefan Sydry, *Wspomnienia wychowawcy*, z. 1-2, Warszawa 1972.



Brata Zygmunta Czerwińskiego poznałem bardzo dobrze. Przyglądałem się mu od czasu kiedy zostałem ministrantem w Górze Kalwarii. Były to początki lat sześćdziesiątych XX wieku. Podziwiałem jego talent inżynierski. Zaznaczam, że był inżynierem, architektem i mechanikiem samoukiem! Jako dorastający chłopak pomagałem mu w wywożeniu ziemi spod kościoła parafialnego, aby tam przygotować dużą salę katechetyczną. Pracami tymi kierował właśnie br. Zygmunt. On sam dokonał pomiarów i obliczeń. Zapewnił ks. przełożonego Antoniego Łosia, że te prace w niczym nie zaszkodzą strukturze kościoła. Przyjął na siebie odpowiedzialność za to odważne i ryzykowne przedsięwzięcie. I wszystko poszło jak było zaplanowane. Świątobliwe szczątki ojców

bernardynów zostały ze czcią przewiezione na cmentarz, a wszystkie ziemia posłużyła tak, aby usypać wały na zboczu przed kościołkiem św. Antoniego.

Brat Zygmunt zawsze był zabiegany, z plikiem papierów w ręce i ołówkiem kreślarskim w kieszeni koszuli. Projektował windy, podnośniki, dźwigi. Naprawiał wszelkie urządzenia, maszyny i motory. W tej dziedzinie nie było dla niego tajemnic. Prawdziwy talent i pokora w jednej osobie. Kiedy jako kleryk, a potem jako kapłan gościłem w re-fektarzu klasztornym w Górze Kalwarii, widziałem, że do stołu zawsze usługiwał tylko on, br. Zygmunt! Był „wieczystym portatorem” i nie pozwalał, aby mu ktoś w tym „przeszkadzał”. Do końca pełen wigoru i zawsze gotowy służyć innym bez zbędnych ceremonii.

ks. Marek Szczepaniak MIC

Góra Kalwaria, czerwiec 2016 r.

BRAT STANISŁAW DADŽĀNS MIC (1910 – 1971)

Do grona marianów, którzy okres świeckiego życia spędzili na rodzinnej ziemi, zalicza się i br. Stanisław Dadžāns. Z tą tylko różnicą, że miejsce jego spoczynku, jak i ks. Janisa Mendriksa MIC znajduje się w obcej ziemi.

Stanisław Dadžāns urodził się 18 lipca 1910 r. w miejscowości Braslova niedaleko Viļaka. „Pod obcym dachem” – jak on to określał, gdyż jego rodzice dzierżawili ziemię u pewnego gospodarza.

Ojciec Antons i matka Borbola byli bardzo pracowici. Nie wystarczało im swojej ziemi, dlatego starali się dodatkowo wynajmować ziemię u innych gospodarzy. Kiedy dzięki ich wysiłkom ziemia przynosiła większe plony niż wcześniej, gospodarze prosili o jej zwrot. Rodzice Stanisława musieli więc iść gdzie indziej. Również i rodzinie Dadžāns zdarzyło się kilkakrotnie zmieniać miejsce z tego powodu. Tak żyli aż do czasu uzyskania przez Łotwę niepodległości. Do ich dwu dziesięcin ziemi

w miejscowości Jauji, niedaleko Viļaka, dostali dodatkowo 13 hektarów ziemi. Był to kawał ziemi nie do uprawiania – było dużo piasku i pni. W oczach innych to było raczej odstrasżające. „W naszych oczach – mówił o tym br. Stanisław – to było szczęście. Z zapalem zabraliśmy się do karczowania pni i orania ziemi. Zrozumieć to może tylko ten, kto doświadczył życia w obcych gospodarstwach i w końcu dostał własny kawałek ziemi. Nasza praca przyniosła swój owoc: na miejscu jałowej ziemi zieleniały pola pszenicy, które z czasem były coraz bardziej owocne i szersze. Ja jako specjalista (Stanisław ukończył dwuletnią szkołę rolniczą w Skilbani) zająłem się sadzeniem jabłoni, aby stworzyć piękny sad, który od początku do końca byłby owocem pracy własnych rąk. Po pięciu latach pracy w ogrodzie znajdowały się 47 jabłonie i kilkadziesiąt krzaków jagodowych, które rosły wokół domu. One też były owocem pracy naszych rąk. Po drugiej stronie domu znajdował się żywopłot z różnego rodzaju drzew... Mieszkając w domu dane mi było kosztować owoców swojej pracy... Ogród jest pełniejszy, gdy są pszczoły. W moim ogrodzie również były pszczoły”.

Tak o latach spędzonych w rodzinnym domu pisał w swoim dzienniczku br. Stanisław. Jest to tylko jeden z wielu sympatycznych obrazów z życia rodziny Dadžāns. Pamięć o nich towarzyszyła br. Stanisławowi przez długi czas, kiedy z powodu wojny był zmuszony prowadzić życie uchodźcy na obcej ziemi. Nie z własnej woli musiał zostawić dom rodzinny. Po wojnie najpierw osiadł w Anglii a później w Rzymie, gdzie wstąpił do Zgromadzenia Marianów. Przeżył w nim 20 lat. Zachorował na nowotwór. Nie pomogła operacja. Cierpiąc z bólu, zmarł 23 października 1971 r. w jednym z londyńskich szpitali. Pochowany na cmentarzu św. Pankracego w kwaterze mariańskiej.

Brōļs Stanislavs Dadžāns (1910–1971), [w:] Stanislavs Škutāns, MIC, *Nu marijanu 300 gadu vēstures (1673 –1973)*, [s. l.] 1973, l. 93–96; tłumaczenie z łotewskiego ks. Dmitrijs Artjomovs MIC.

<><><>

[...] Brat Stanisław w czasie drugiej wojny światowej wraz z wieloma swoimi rodakami znalazł się w Niemczech. W roku 1947 wyjechał stamtąd do pracy w Wielkiej Brytanii.

Rozpoznając swoje powołanie do służby Bogu w stanie zakonnym, w 1948 r. nawiązał kontakt z marianami w Londynie. Po przyjęciu do Zgromadzenia wyjechał do Rzymu. Odbił tam nowicjat pod kierownictwem ks. St. Škutānsa. W roku 1953 złożył śluby wieczyste. W zakonie spędził 22 lata.

Z powodu złego zdrowia wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Zamieszkał w łotewskim, mariańskim domu zakonnym, skąd w 1969 r. został przeniesiony do białoruskiego domu w Londynie. Tam w krótkim czasie zdobył sobie dobrą opinię wszystkich którzy go znali. Odznaczał się solidnością w pracy, punktualnością oraz szczerą pobożnością. Przyczynił się wiele dla mariańskiego domu zakonnego oraz dla innych białoruskich instytucji, zwłaszcza dla biblioteki i muzeum. Niestety wkrótce poważnie zachorował. Dnia 30 września 1971 r. został przewieziony do szpitala, a 1 października przeszedł operację, która jednak go nie uratowała, gdyż nowotwór złośliwy od dawna niszczył jego zdrowie [...].

A. G. (ks. Józef Hermanowicz MIC)

Bożym Ślaham, 1971, nr 5, s. 7–8; tłumaczenie z języka białoruskiego Marina Batiuk.

BRAT JULIAN DUCHALSKI MIC (1903 – 1988)

Przebywanie z nim uczyło wszystkich sprawiedliwości i miłości. To była otwarta i chodząca księga Ewangelii oraz najgłębiej pojętego życia zakonnego po mariańsku. Zawsze można było odczytać z jego zachowania powiedzenie: *O quam bonum et iucundum habitare fratres in unum* (*O, jak dobrze i miło, gdy bracia w jedności trwają* – Psalm 13, 1). Jego oczy i dusza milcząco krzyczały: Jakże jestem szczęśliwy ze służby Niepokalanej w Jej świętym Zgromadzeniu! Ileż siły nadprzyrodzonej miał ten człowiek (mimo uciążliwej choroby) do realizowania niemalże w najdoskonalszy sposób ślubów zakonnych, najgłębiej pojętej miłości

Boga i bliźniego. Brat Julian wiele czasu spędzał na modlitwie, na rozmowie z Bogiem i Niepokalaną. Niemal do szaleństwa ukochał Matkę Zbawiciela i swoją Matkę. Ciągle wpatrywał się w te najświętsze postacie.

W domowej kaplicy w Sulejówku na godnym miejscu w jednym rogu stoi figura Niepokalanej, w drugim figura św. Józefa. Starał się zawsze klękać jak najbliżej Niepokalanej, zwłaszcza w czasie nabożeństw ku Jej czci (np. *Godzinki do Najświętszej Maryi Panny*, które bardzo kochał). Wpatrując się w Nią, nabierał mocy do pełnienia wielkiej ofiary. Na Mszę św. prznosił swoje zbolące kolana na stronę św. Józefa, aby móc wziąć w ramiona Dziecię Jezus. Adorował Je przez cały dzień w spotkaniach ze wszystkimi.

Chrystus ze swoją Niepokalaną Matką promieniował z jego oblicza. Promieniował zawsze, w każdym momencie szarej codzienności; zarówno w nieustannej modlitwie, pracy, czytaniu katolickich pism czy w spotkaniu z innymi. Każdą chwilę miał zajętą czynieniem dobra. Troszczył się o wszystko. Swoją pokorą, subtelnością i miłością przypominał każdemu spotkanemu o jego obowiązku. Czas to dar Boga i własność Zgromadzenia. W swoim osobistym notesie napisał: „Wszystko na większą chwałę Bożą. Wierność łasce Bożej, współpraca z łaską Bożą, opanowanie języka, miłość bliźniego, modlitwa. Stała pamięć na obecność Bożą, cierpliwość. Żyć ukrytym życiem miłości i ofiary, zgadzanie się z wolą Bożą. Wszystko czynić z miłością”. Dziś już możemy powiedzieć: pełnił to całym swoim 84-letnim życiem.

W ostatnim dniu przed szpitalem, na dwa dni przed śmiercią, 14 maja 1988 r., nie mógł przyjąć Komunii św. z powodu nasilających się torsji. Jakżeż ten człowiek bolał z tego powodu. W ostatnich dniach szczególnie spotęgowały się cierpienia. Jak zwykle, nie narzekał. Chciałby niemalże ukryć swoje cierpienie, żeby tym nie ranić przełożonego czy któregoś współbrata!

Kiedy wieziony przez przełożonego od lekarza zdobył się na wysiłek rozmowy, powiedział: „Nie chciałbym zrobić żadnej przykrości ojcu przełożonemu”. Za wszystko dziękował, nawet kiedy już w szpitalu siły go opuściły. Także personelowi lekarskiemu ostatnim tchnieniem dziękował za wszystko słowem „Bóg zapłać”.

Niech mnie ksiądz przełożony zwolni z pracy dzisiaj. Bóg zapłać. Jaki Ojciec dobry. Przepraszam. Całe Jego życie w rodzinie naturalnej i zakonnej to życie pełne miłości, delikatności, wiary i sprawiedliwości. Wierny Sługa Niepokalanej. Do końca szczęśliwy ze służby dla Niej. Pokorny, ubogi, pełen miłości Boga i bliźniego. Pełen wiary w Bożą wolę, której zwiastunem dla Niego był przełożony.

ks. Stanisław Chryc MIC

Wspomnienie o Bracie Julianie Duchalskim, [w:] Immaculata, 1988, nr 6, s. 100-102.

BRAT PIOTR DUNDER MIC (1921 – 1986)

Dnia 24 września 1986 r. około godz. 7:30 niespodziewanie na ulicy przy samochodzie, na drugi już zawał zmarł br. Piotr Dunder.

Urodził się 16 czerwca 1921 r. we wsi Kodarońce, parafia Druja, powiat Braśław, województwo wileńskie, w dobrej katolickiej rodzinie, gdzie sumiennie przestrzegano zasad wiary świętej. Jego ojciec – Waclaw, był w okresie międzywojennym długoletnim, powszechnie szanowanym sołtysiem. Od matki Bronisławy, z domu Paszkiewicz nauczył się gorącej miłości do Matki Najświętszej, pracowitości i uczciwości. Miał dwóch braci i siostrę. W roku 1931 przyjął w Druj Pierwszą Komunię Świętą. Dość wcześnie odkrył w sobie powołanie do służby Bożej, ale rodzice zatrzymali go na gospodarstwie. Mając dopiero 24 lata, 1 października 1945 r. zapukał do furty klasztornej marianów w Druj. W roku 1947 odbył tam nowicjat, a 15 sierpnia następnego roku złożył pierwsze śluby na ręce ks. Bolesława Zająca MIC. Profesję wieczystą złożył w dramatycznych czasach prześladowań Kościoła w ZSRR, na ręce ks. Józefa Borodziuli w Przydrujsku, 15 sierpnia 1954 r.

Od 1945 r. pracował w Drużynie przy odrestaurowaniu spalonego kościoła i w gospodarstwie klasztornym. W 1949 r., po aresztowaniu i zesłaniu na Sybir naszych księży, usunięto również braci z klasztoru. Wówczas br. Piotr zaczął pracować w gospodarstwie państwowym, prowadząc życie zakonne razem z dwoma innymi braćmi w domku, który własnym sumptem wybudował. W latach 1951–1952 ukończył w Dyneburgu na Łotwie kurs dla zawodowych kierowców i zdobył prawo jazdy. Na tej podstawie zaczął pracować w Dyrekcji Kolei Państwowych jako kierowca ciężarówki. W 1956 r. powołano go do radzieckiego wojska, w którym był kierowcą czołgu i dowódcą jednostki. Po zwolnieniu naszych księży z Syberii, od 30 sierpnia 1957 r. br. Piotr pomagał ks. Lucjanowi Pawlikowi MIC przy parafii w Zadorożu. Korzystając z prawa repatriacji, 22 października 1959 r. przyjechał do Polski i został przyjęty do domu prowincjalnego na Bielanach jako kierowca prowincjała i samochodu ciężarowego marki „Star”, którym rozwoził materiały budowlane do różnych placówek prowincji. Od 1961 do 1964 r. br. Piotr wybudował dom dwurodzinny w Ratajewie koło Sulejówka oraz dwa kurniki, w których założył hodowlę kur nośnych, w celu finansowego wspierania Mariańskiego Domu Studiów w Lublinie. Od 1 września 1975 r. do 3 listopada 1978 r. przebywał w Lublinie, gdzie swoim nieodstępnym „Starem” zwoził materiały budowlane na budowę Mariańskiego Domu Studiów – najpierw przy ul. Weteranów 18, a następnie (po odebraniu nam tej posesji przez władze miejskie), przy ul. Bazyliańcówka 54 B. W latach 1979–1981 był prowincjalnym moderatorem braci. Po wybudowaniu domu w Lublinie wrócił na Bielany. W 1980 r. na polecenie ks. kard. Stefana Wyszyńskiego razem z zarządem prowincji opuścił Bielany i przeniósł się do nowo wybudowanego domu na Marymoncie, gdzie nadal był kierowcą przełożonego prowincji. W 1984 r. nastąpiła kolejna przeprowadzka zarządu prowincji, tym razem do nowej siedziby w Warszawie na Stegnach. Latem 1985 r. przeżył w szpitalu pierwszy zawał serca. Po ponad półrocznej rekonwalescencji znów zaczął doraźnie służyć pomocą jako zastępczy kierowca. Czuł się coraz lepiej. Poddawany był okresowym badaniom kontrolnym. Dnia 24 września 1986 r. wyjechał samochodem do warsztatu, by zakonserwować podwozie na okres zimy. Kiedy oczekując na robotnika siedział w samochodzie przy ul. Sewastopolskiej, ciężarowy

samochód dostawczy uderzył otwartymi drzwiami w tył samochodu br. Piotra i stłukł tylną szybę. Nie zatrzymując się, odjechał. Brat Piotr szybko wybiegł ze swego samochodu i pobiegł za nim, chcąc go zatrzymać. Kiedy wrócił do samochodu, osunął się na kolana i oddał ducha Bogu.

Zmarł na posterunku jak prawdziwy sługa Niepokalanej.

Immaculata, 1986, nr 10, s. 97–98.

<><><>

Ojciec Leon Szelań MIC – jak mówił – chciał umrzeć „na posterunku”: w konfesjonale albo na ambonie. Umarł w szpitalu. Być może z woli Bożej łóżko szpitalne było właśnie jego „posterunkiem”. Natomiast jego brat, Piotr Dunder, rzeczywiście stał na posterunku, gdy Pan wezwał go do siebie.

Był zawodowym kierowcą. Umarł – niemal dosłownie – za kierownicą samochodu marki „Ford combi”, który uważał za jeden z najlepszych wozów, jakich dotąd używał. A ponieważ przez 34 lata kierował różnego rodzaju pojazdami: radzieckimi, polskimi, włoskimi, niemieckimi, ciężarowymi i osobowymi, znał wartość i sprawność każdego z nich. Gdy wsiadał do „Forda” promieniował radością i z zadowoleniem uderzał się dłonią w kolano, mówiąc: „Otóż to jest samochód!” Nawet samochód ojca prowincjała, „Audi 80”, – w jego ocenie – ustępował „Fordowi”.

Trzeba przyznać, że br. Piotr dbał o zlecony mu pod opiekę samochód nie gorzej niż porządny rolnik o swego konia. Znał wszystkie potrzeby danego pojazdu i natychmiast reagował na każde jego niedomaganie. Zawczasu wymieniał zużyte części, starannie konserwował każdy element, zabezpieczał na zimę podwozie przed korozją, w terminie przeprowadzał przeglądy. Nigdy nie wyruszył w drogę, nie upewniwszy się, czy samochód jest w pełni sprawny. Nic dziwnego, że nie miał w drodze awarii, z wyjątkiem przebiccia dętki (rzadko). Nigdy też nie spowodował wypadku. Jadąc z nim, człowiek czuł się spokojny, pewny i bezpieczny, że dojedzie na czas, nikogo nie narazi na jakiś kłopot. Za to br. Piotr powinien otrzymać od Polskiego Związku Samochodowego

złoty medal czy złotą kierownicę, gdyby takie odznaczenia przyznawano najlepszym kierowcom.

Myszę, że Pan Bóg dał mu już nagrodę o wiele cenniejszą od tych ludzkich świecełek. Przez ostatnie 16 lat miałem możliwość obserwować br. Piotra i korzystać od czasu do czasu z jego usług. Muszę stwierdzić, że jego samochód był zawsze czysty, gotowy do drogi. Wszyscy znali i cenili jego punktualność, sumiennność, dyskrecję, pogodę ducha i poczucie odpowiedzialności tego zakonnika. Podczas jazdy niechętnie rozmawiał. Chciał być skupiony na tym, co dzieje się na jezdni. Natomiast na dłuższych trasach z radością śpiewał *Godzinki* i inne pieśni maryjne lub wspólnie z pasażerami odmawiał różaniec. Modlitwa go nie dekoncentrowała. Nie miał też żadnych trudności z prowadzeniem samochodu wieczorem czy w nocy. Jechał zgodnie z zasadami ruchu i – na ogół – przestrzegał przepisów kodeksu drogowego. Przed dłuższą podróżą musiał coś zjeść i dobrze się wyspać. Była to żelazna zasada, której konsekwentnie się trzymał. Jako klasyczny flegmatyk nie lubił pośpiechu i sytuacji nieprzewidzianych, nagłych. W takich chwilach denerwował się i okazywał swoje niezadowolenie. Z natury był dla wszystkich ludzi życzliwy i przyjazny. Na stacjach benzynowych czy w warsztatach samochodowych potrafił szybko i łatwo nawiązać kontakty z pracownikami. Ludzie prości i wykształceni darzyli go sympatią i szacunkiem za jego dobroć, pogodę ducha, uśmiech, zainteresowanie się ich sprawami, za świadczoną dyskretnie pomoc i pamięć. Najbardziej cenili go rodzice i rodzeństwo naszych współbraci pracujących na misjach lub na Wschodzie. Odwiedzał ich przy okazji, pisał listy i wysyłał życzenia imieninowe czy świąteczne. Ostatnim listem, jaki napisał przed śmiercią, były życzenia imieninowe wysłane do mego ojca.

Godną szczególnego podkreślenia cechą br. Piotra była jego radość z mariańskiego powołania. Nigdy nie ukrywał, że jest bratem zakonnym. Czasami ubierał się jak księży na Zachodzie: w białą koszulę z czarnym pektorałem. Czyżby tęsknota za strojem duchownym? Być może. Raz tylko zwierzył mi się, że w dość wczesnej młodości chciał uczyć się i zostać księdzem, ale rodzice zatrzymali go na gospodarstwie. Tym niemniej, bardzo chętnie służył do Mszy św., a przez ostatnie dwa lata był zakrystianem w naszej kaplicy na Stegnach. Obowiązek ten spełniał

sumiennie. Wcześniej wstawał i wszystko przygotowywał. W sprawowaniu liturgii brał czynny udział jako lektor i kantor. Śpiewał z całego serca. Z powodu postępującej w ostatnich latach głuchoty śpiewał nieco za głośno.

W latach 1980–1984, gdy mieszkał na Marymoncie, chętnie śpiewał w kościele *Godzinki*, w Wielkim Poście – *Gorzkie żale*, a w maju – *Litanie do Matki Bożej*. Odnosiło się wrażenie, że oddawanie czci Bogu w ten właśnie sposób jest jego umiłowaną formą modlitwy. W kościele i w kaplicy czuł się jak u siebie w domu. To był jego świat. Należy jednak wyraźnie podkreślić, że nie był pobożny sentymentalnie czy dewocyjnie. Jego pobożność była męska, prosta, tradycyjna, oparta na zdrowej religijności.

Religijność w jego życiu znacznie się pogłębiła, gdy w październiku 1978 r. przebywał w Rzymie. Z całym Kościołem przeżył tam smutek z powodu śmierci Ojca Świętego Jana Pawła I, a także wielką radość związaną z wyborem na papieża pierwszego w dziejach Polaka, ks. kardynała Karola Wojtyły. Opowiadał o tych wydarzeniach z iskrą w oczach. Powrócił do Polski podniesiony na duchu, rozradowany, szczęśliwy. Zdaje się, że te właśnie fakty: pobyt w Rzymie i przeżycie tak niezwykłego dla Polaków konklawe – umocniły jego miłość do Namiestnika Chrystusowego i Kościoła. Głęboko przeżył również obie pielgrzymki Jana Pawła II do Ojczyzny. Podczas drugiej pielgrzymki uczestniczył wraz z ojcem prowincjałem w uroczystościach z udziałem papieża w Warszawie, Krakowie i Częstochowie (na zakończenie Jubileuszu 600-lecia Obrazu Jasnogórskiej Pani). Papież koronował wówczas, między innymi, obraz Matki Pokoju ze Stoczka. Brat Piotr siedział na wałach wpatrzony w obraz Tej, której kult – dzięki marianom – na nowo ożył na Warmii i Mazurach. W skupieniu słuchał przemówienia. Chłonał każde słowo. Wracając wieczorem z Częstochowy w pewnym miejscu pokazał nam w oddali dom, na którego ścianie wisiał oświetlony obraz Matki Bożej Królowej Polski. Powiedział: „Ci ludzie Ją kochają”. Słowa te wyrażały to, co działo się w jego sercu, w jego prostej, szlachetnej duszy.

Tych kilka wspomnień o bracie Piotrze jako prowincjalnym kierowcy „Stara”, „Warszawy”, „Moskwicza”, „Fiata 125 p”, „Wołgi”, „Volkswagena”

(garbusa), „Fiata 132”, „Forda”, „Trabanta”, i „Audi 80” nie mogą nawet w części ukazać, ile pracy i serca włożył on w życie naszej prowincji.

Niech te nieporadne słowa będą zarazem wyrazem braterskiej wdzięczności wobec niego a także duchowej z nim jedności w Chrystusie Zmartwychwstałym.

ks. Stanisław Kurlandzki MIC

Brat Piotr Dunder, kierowca, [w:] Immaculata, 1986, nr 11, s. 61–68.

<><><>

Nastawała już wiosna. Słońce zaczynało dość mocno przygrzewać, lody ruszać na rzece, a ty stałeś nad brzegiem i przyglądałeś się. Kry jedna po drugiej wśród wzburzonych fal przesuwały się naprzód. Oczy twoje zatrzymały się na jednej z nich. Ujrzałeś, jak poszczególne części odpadały i gdzieś ginęły w przepaściach toni rzeki, a ich powierzchnia coraz bardziej się zmniejszała.

Przytoczony obraz jest odbiciem innej rzeczywistości. Tak się dzieje z każdym pokoleniem ludzi. Był czas, kiedy to my wypłynęliśmy na drogę życia pełni młodości, planów i nadziei. Było nas wielu, a potem nadszedł czas, kiedy z naszego grona zaczęli odchodzić do wieczności. Początkowo w większych odstępach, potem coraz mniejszych, ktoś umierał. Nasze grono jest jak ta kra – zaczęło się coraz bardziej umniejszać.

Z odejściem br. Piotra jeszcze raz doświadczyliśmy tego dziwnego zjawiska. Dobrze, że dzięki wierze wiemy, że odszedł do domu Ojca. Odszedł tam, gdzie wszyscy się spotkamy. Szkoda tylko, że odszedł tak nagle i niespodziewanie. Ale przecież także w tym znaku Bóg chce nam powiedzieć coś ważnego.

Jeszcze we wtorek wieczorem opowiadał o pewnym bracie od Księży Pallotynów, o jego pracy w Kościele. Wspomniął, że ten brat wygłasza konferencje, pogadanki i w tej formie służy Chrystusowi. Wspomniął, że lubi z nim rozmawiać o roli brata zakonnego w świecie. Tego wieczora spotkaliśmy go w kościele górnym. Razem debatowaliśmy tam nad oświetleniem wnętrza. I to było już ostatnie spotkanie. Następnego dnia

z samego rana otrzymał polecenie od przełożonych, ale już nie było mu dane go wypełnić...

A kiedy było nasze pierwsze spotkanie?

Bardzo dawno. W 1956 r. i dość daleko stąd. Spotkaliśmy się na ziemi wieleńskiej, w Drui nad Dźwiną. Miało to miejsce w małym domku, który w owym czasie – po wyrzuceniu z klasztoru – pełnił rolę domu zakonnego. Były to czasy wyjątkowe. Życie zakonne prowadzono w ukryciu, księża siedzieli w więzieniu, a bracia mariańscy organizowali się sami. Mieli na miejscu ukrytą kaplicę, w której gromadzili się na wspólną modlitwę. Kiedy się tam zjawiłem, zapanowała wielka radość. Mogłem odprawić Mszę św., posilić ich Najświętszym Sakramentem, podzielić się wiadomościami od braci z Polski.

Kim był br. Piotr?

Był człowiekiem przez duże „C”. Nosił w sobie wiele wartości ludzkich. Kochał prawdę i sprawiedliwość. Miłował drugiego człowieka. Starał się każdemu usłużyć, o ile to nie kolidowało z jego obowiązkami. Lubił porządek i ład, i systematyczność. Czas dzielił między powierzonymi mu obowiązkami a sprawami, o które prosili go współbracia. Potrafił wczuć się w potrzeby drugiego człowieka. Miał prawy i szlachetny charakter, oparty na zdrowych zasadach moralnych. Lubił obserwować życie i wyciągać odpowiednie wnioski. Wartości te wyniósł z domu rodzinnego. Miał dom moralnie i religijnie zdrowy. Taki styl życia nadawali sami rodzice. Ojciec – dobry gospodarz – cieszył się wielkim autorytetem w całej wiosce. Jako sołtys przez wiele, wiele lat starał się kierować w swoim postępowaniu sprawiedliwością i każdemu pomóc. Wartości te przekazywał swoim dzieciom.

A czym jeszcze się odznaczał br. Piotr?

Zanim jeszcze wstąpił do marianów, odznaczał się żywą wiarą i pobożnością. Był chrześcijaninem w pełnym znaczeniu tego słowa.

Kochał Chrystusa i Matkę Bożą. Już jako chłopiec należał do Krucjaty Eucharystycznej. Później był członkiem Koła Młodzieży Katolickiej. Zawsze był więc blisko Kościoła. Ileż to czasu poświęcił przy odbudowie kościoła drujskiego, który spłonął w czasie działań wojennych. Angażował się w życie Kościoła. Będąc w domu, przy swej matce, nauczył się na pamięć śpiewać *Godzinki o Niepokalanej*, i wielu pieśni kościelnych. Jeszcze niedawno w kaplicy mariańskiej śpiewał z innymi wychowankami gimnazjum drujskiego gregoriankę po łacinie. A ci z nas, którzy z br. Piotrem podróżowali, pamiętają, jak siedząc przy kierownicy śpiewał *Godzinki*, jak z głowy recytował *Litanie do Matki Bożej*.

Wartości czysto ludzkie wzbogacił wartościami ewangelicznymi. Był naprawdę uczniem Chrystusa, prawdziwym chrześcijaninem.

Na tym fundamencie wartości ludzkich i chrześcijańskich wznosił gmach życia zakonnego. Dlatego mogło się ono coraz bardziej rozwijać i umacniać. Miało solidne oparcie. Pokochał Zgromadzenie Marianów. Był mu oddany ponad 40 lat. Właśnie we wtorek, siedząc przy stole, wyliczaliśmy prace, jakie w ostatnim czasie podejmował. On na to odpowiedział: marianie wymodlili dla mnie powołanie, więc chcę służyć.

Życie zakonne rozpoczął w ukryciu przed władzami. Wówczas, kiedy tę formę życia rozpoczynał, było ono na tamtych terenach zakazane. Kilku młodych ludzi, pomimo tak groźnej sytuacji, podjęło taką formę życia: życia według rad ewangelicznych we wspólnocie. Jaką ci chłopcy mieli perspektywę? Jaka przyszłość była przed nimi? Oni jednak jakby tego nie dostrzegali. Wiedzieli jedno, że Bóg ich woła do pójścia za Chrystusem. Ten głos musiał potężnie rozbrzmiewać w ich duszy, skoro tak straszna sytuacja nie mogła ich powstrzymać. To jest wielki cud. Innego wytłumaczenia nie można znaleźć. Kapłanów nie ma. Zostali uwięzieni lub ukrywają się. Jest tylko jeden starszy br. Józef i oni, młodzi bracia. Zbierają się na wspólne modlitwy, odbywają spotkania zakonne, omawiają sprawy, opiekują się kościołem. Są ostoją dla osieroconych wiernych.

Nadszedł moment odnowienia ślubów zakonnych. Oni przecież wiedzą, że musi prawowita władza duchowna dopuścić do odnowienia, zaś samo złożenie ślubów powinno się dokonać przed przełożonym. Co mają robić? Wysyłają br. Piotra na Łotwę, do tamtejszego prowincjała,

aby wszystko załatwić. Ale to był już ostatni dzień. Akt odnowienia ma się dokonać przed godziną 24. Droga daleka. Brat Piotr jest już w drodze. Szczęśliwie dociera do celu. Otrzymuje pozwolenie na złożenie ślubów i z powrotem udaje się do Drui. Jest już w Przydrujsku. Trzeba jeszcze przeprawić się przez Dźwinę, a tu pozostało zaledwie kilkanaście minut do północy. Nie ma żadnej szansy w nocy pokonać taki odcinek drogi. Decyduje się zejść do proboszcza w Przydrujsku. Budzi go i prosi o przyjęcie od niego ślubów zakonnych. Przy bardzo nikłym świetle w kościele, aby się nie zdradzić, br. Piotr składa swe śluby. Czyż nie była to specjalna pomoc Niepokalanej, która chciała, aby on służył Jej przez wiele następnych lat. Dopomogła więc pokonać wszystkie trudności. W ostatniej chwili odnowił swe śluby.

Przez cały czas pobytu w Zgromadzeniu był wierny Niepokalanej. Kochał zawsze wspólną modlitwę. Chętnie brał w niej udział. Kochał Mszę św. W ostatnich latach troszczył się o ołtarz. Przygotowywał paramenta do Mszy św. i do wszystkich nabożeństw paraliturgicznych.

Rozkochany był w śpiewie. W ten sposób starał się wyśpiewać swą wdzięczność Bogu i Matce Bożej za wszystko, czym go darzyli. A śpiewał całą duszą.

Kochał każdą służbę. Był otwarty na potrzeby bliźnich. Jeszcze w tym tygodniu jeden z kapłanów martwił się, że wybiera się w drogę, a tu mu sutanna nie chce się zapiąć. Wkrótce ujrzałem br. Piotra wracającego z sutanną na rękę. Radował się, że potrafił zaradzić potrzebie.

A jakie było jego główne zajęcie?

Prawie 40 lat służył jako kierowca. Wciąż był w samochodzie, wciąż przy kierownicy. Ale nigdy nie używał samochodu do swojej dyspozycji. Jeżeli siadał do samochodu, to dla kogoś drugiego, dla załatwienia spraw Zgromadzenia. Czy jest ktoś w Zgromadzeniu Marianów w Polsce i za granicą, komu by nie usłużył, odwożąc go lub przywożąc? Myślę, że z tych 40 lat, jakieś 30 lat był kierowcą samochodu ciężarowego „Star 20”. Jakże on go pielęgnował, jak się o niego troszczył, jak się starał sam usuwać najmniejszą usterkę, aby tylko mógł jak najdłużej służyć

Zgromadzeniu. „Star 20” to był jego przyjaciel. Tak się z nim zaprzyjaźnił. Mieszkańcy domu lubelskiego niech będą zawsze świadomi, że br. Piotr i jego przyjaciel „Star 20” przewiózł cały dom w tej pierwotnej kubaturze: cegłę, żwir i inne materiały. Znał dobrze swoją maszynę. Jeździł bardzo ostrożnie. Nie miał żadnego wypadku. Nikomu nie zrobił krzywdy na drodze.

„Nie bądźcie przeciętnymi” – mówił biskup Camara na zjeździe przyjaciół trędowatych. Jeżeli będziecie przeciętnymi, to i świat będzie przeciętny. Brat Piotr był człowiekiem niezwykłym, o pogłębionym życiu chrześcijańskim, wytrawnym i wielkiej klasy kierowcą. Był wreszcie marianinem o bezgranicznym wręcz zaangażowaniu w życie Zgromadzenia.

Przez długi czas będzie nam ciebie, br. Piotrze, brakowało na każdym miejscu. Zwłaszcza w kaplicy, w przygotowaniu ołtarza, w czasie liturgii Mszy św. Już nie usłyszymy twojej modlitwy wyrażanej w śpiewie. Tak jak służyłeś nam za życia na ziemi, prosimy, abyś stamtąd – od Królowej i Patronki naszej – dalej otaczał troską całe Zgromadzenie, a zwłaszcza zastęp młodych braci, aby szli w Twoje ślady w służbie Kościołowi i Zgromadzeniu.

Z ostatnich dni życia br. Piotra

Z wielką radością i nadzieją oczekiwali br. Piotr tegorocznej uroczystości Narodzenia Najświętszej Maryi Panny (8. IX. 1986), tego dnia bowiem jego siostrzeniec Zbyszek Grygorcewicz wraz z innymi nowicjuszami miał złożyć pierwsze śluby zakonne w Zgromadzeniu Marianów. Widocznie musiał zbyt mocno zaangażować się emocjonalnie w to niezwykle wydarzenie rodzinne i Zgromadzenia, gdyż wieczorem 7 września poczuł się źle. Współbracia byli zmuszeni wezwać pogotowie ratunkowe. Lekarz zdecydował o przewiezieniu go do szpitala. Szczęśliwie jednak po kilku godzinach br. Piotr wrócił do domu. Z udziału w uroczystości musiał jednak zrezygnować.

Po uroczystościach w Skórcu rodzina Dunderów przyjechała do Warszawy, aby odwiedzić br. Piotra. Zatrzymali się opatrnościowo

jeszcze przez kilka dni i gościli u marianów. Cieszyli się w swoim gronie rodzinnym, dzieląc się relacjami z przebiegu pierwszych ślubów zakonnych Zbyszka. Na pewno to powołanie wymodlił br. Piotr. Zbyszek z wyróżnieniem złożył maturę w technikum i miał zapewnione studia bez egzaminów na politechnice (Wydział Budowy Okrętów). Zrezygnował z tej możliwości i zgłosił się do marianów.

Bóg pozwolił rodzinie Dunderów na tak miłe, rodzinne spotkanie jeszcze za życia br. Piotra. Na pewno powspominali sobie dawne czasy drujskie, swój dom rodzinny w Kodarońcach, kościół parafialny w Drui, ojców marianów, z którymi ich rodzice byli w bardzo przyjaznych stosunkach. Więż ta przetrwała dzięki br. Piotrowi, a dziś ta rola spoczęła na Zbyszku. Jak pięknie, że br. Piotr ma swego następcę. Pamięć o nim tym bardziej będzie żywa i mocna w rodzinie mariańskiej.

Przez następne dni po rodzinnym spotkaniu br. Piotr – pełen humoru i w dobrym nastroju – spełniał wszystkie swoje obowiązki. Jak potwierdzają zgodnie domownicy, był w najlepszym nastroju zwłaszcza 23 września. Nazajutrz 24 września, w godzinach rannych spotkał się z naszymi siostrami i mówił do nich, że pojedzie do przychodni po zdrowie. Ale wcześniej miał spełnić polecenie przełożonych. Wraz z jednym pracownikiem pojechał samochodem do warsztatu. Po drodze zatrzymał się na poboczu, bo pasażer miał wstąpić do swego domu. W międzyczasie nadjechał ciężarowy samochód. Kiedy mijał samochód br. Piotra, który w nim siedział, otworzyły się drzwi ciężarówki. Uderzyły w tylną szybę samochodu br. Piotra. Brat Piotr wyskoczył natychmiast z samochodu, ale widocznie tak dalece przejął się tym wydarzeniem i nieuwagą kierowcy ciężarówki, że na miejscu zakończył życie. Wstrząs był zbyt wielki dla br. Piotra, który przez 40 lat nie wyrządził najmniejszej krzywdy żadnemu kierowcy. Tymczasem jakiś nieostrożny kierowca niszczy jego samochód stojący na poboczu. Wrażliwe i delikatne serce br. Piotra, osłabione ostatnią chorobą, nie było już zdolne przeżyć tego wypadku. Wkrótce na miejscu tragicznego zdarzenia przybył ksiądz przełożony Tadeusz Mierzwiński MIC z olejami świętymi, a ciało zostało przeniesione do kościoła na Stegnach.

Pogrzeb śp. br. Piotra odbył się 26 września 1986 r. o godz. 14:30. Pochowany został na cmentarzu mariańskim na Wawrzyszewie wśród grobów ojców i braci mariańskich.

ks. Antoni Łoś MIC

Brat Piotr, [w:] Immaculata, 1986, nr 11, s. 69-75.

<><><>

Przeżył 38 lat życia zakonnego. Od 1959 r. był kierowcą księdza prowincjała. Zmarł nagle obok swego auta na zawał serca spowodowany uderzeniem w jego samochód przejeżdżającą ciężarówką.

Dzień wcześniej przed śmiercią br. Piotra miałam pewne widzenie. Wieczorem do naszego pokoju stołowego przyszedł ks. Zambrzycki MIC, aby nam pokazać, jak daleko poszły prace wewnątrz nowego kościoła. Szybko zebraliśmy się wszystkie, ale ja szłam na końcu, trochę się ociągając. W kościele był półmrok. Ksiądz z siostrami poszedł prawie do końca kościoła, a ja spjrzałam w jedną ciemną wnękę. Ujrzałam tam stojącego w sutannie br. Piotra. Byłam tym bardzo zdziwiona, bo wówczas jeszcze bracia mariańscy nie chodzili w habicie, tzn. w sutannie. Nawet się tym zatrwożyłam, czy to rzeczywiście stoi on. Chciałam nawet go poszukać i ostrzec, że będzie miał jakieś czarne przeżycie. Ale zostawiłam to na jutro. Jutro było już za późno, bo w rannych godzinach br. Piotr odszedł do Pana jako Jego odpowiedzialny pracownik.

s. Beata

Był odpowiedzialnym pracownikiem P. Boga, [w:] H. Chołyk CSNJ, Nasze Kalendarium Sióstr Najświętszego Imienia Jezus [CSNJ]. Dotyczy: zmarłych sióstr, kapłanów szczególnie współpracujących z nami i dobrodziejów, Warszawa 2010, s. 96.

<><><>

Następny, super pogodny brat mariański, „brat słońce!” Superkierowca ciężarówki „Star!” Spotykałem br. Piotra, kiedy byłem jeszcze

ministrantem w Górze Kalwarii, a potem, kiedy przyjeżdżałem na Bielany na spotkania powołaniowe na Gwiazdździstą. Zawsze kręcący się przy swojej ciężarówce, którą „pieścił” jak zabawkę. Ile razy jechaliśmy razem z Warszawy do Lublina (maximum 60 km/godz.!), lub przewożąc cegły na Bazylianówkę w Lublinie. Lubiłem słuchać tonu jego mowy. „Zaciągał” tak charakterystycznie, że od razu zdradzało to jego wschodnie pochodzenie. Brat Dunder miał zawsze pod ręką mnóstwo powiedzeń i przysłów ludowych zawierających wiele mądrości – szkoda, że ich nie spisano. Zawsze mawiał nam, klerykom „pośpiesznym”: „jedź powoli, a dalej pojedziesz!”

Bracie Piotrze, dzięki za dobre rady i przykład życia. Chcemy powoli, powoli, ale skutecznie dojechać tam, dokąd ty już dojechałeś.

ks. Marek Szczepaniak MIC

Góra Kalwaria, czerwiec 2016 r.

BRAT ANTONI ERDMAN MIC (1859 – 1944)

Urodzony 10 października 1859 r. we wsi Żezlaseki, parafia Rosica (potem Przydrujsk) na Łotwie, z rodziców Piotra i Rozalii Ruseckiej.

Gdy tylko w Welonach (Viļāni) na Łotwie został otwarty pierwszy klasztor mariański, Antoni, mając 64 lata, zdecydował się do niego wstąpić. Dnia 8 grudnia 1924 r. rozpoczął nowicjat pod kierownictwem ks. Benedykta Skrindy MIC. Również za rok, 8 grudnia 1925 r., złożył pierwsze śluby zakonne, a 9 grudnia 1928 r. profesję wieczystą.

Przez cały okres życia w klasztorze zajmował się leczeniem licznie zgłaszających się chorych. Przypuszczałnie studiował medycynę lub farmaceutykę, nie miał jednak dyplomu. Umiał trafnie postawić diagnozę i przepisać odpowiednie lekarstwa. Wielu chorych powracało do zdrowia. Był Polakiem, mówił po polsku i po rosyjsku; języka

łotewskiego nie znał. Kochał modlitwę. Rozpoczął ją wcześniej rano od *Drogi Krzyżowej*.

Dnia 27 lipca 1944 r. wycofujące się wojska niemieckie niszczyły miasto. Marianie schronili się w podziemiach kościoła. Po północy br. Antoni wyszedł ze schronu, aby pójść do klasztoru. W tym momencie Niemcy zapalili podłożone wcześniej miny. Niemal cały klasztor został wysadzony w powietrze. Od wybuchu min zginął znajdujący się tam wówczas br. Antoni Erdman. Został pochowany na cmentarzu kościelnym w Welonach.

ks. Jan Bukowicz MIC

Erdman Antoni (Antons) (1859–1944), brat, [w:] Świadkowie wiary. Marianie prześladowani przez hitlerizm i komunizm, Wydawnictwo Księży Marianów, Warszawa 2001, s. 81.

BRAT ANTÓNIO DOS REIS FERNANDES MIC (1930 – 2018)

Urodził się 24 grudnia 1930 r. w Vale de Pena – Vimioso na północnym wschodzie Portugalii.

Od najmłodszych lat odczuwał powołanie do życia konsekrowanego, i z takim pragnieniem w sercu podjął pracę jako służący w Domu Biskupa Bragança, Dom Abílio Vaz das Neves. W sierpniu 1956 r. ks. biskup przedstawił António ks. Marianowi Wiśniewskiemu MIC, który przybył jako wykładowca do seminarium duchownego diecezji Bragança 10 maja 1949 r., w celu stworzenia możliwości powrotu marianów do Portugalii. Pod duchowym kierownictwem ks. Mariana, młody António poprosił o przyjęcie do Zgromadzenia Księży Marianów. Po przybyciu do Portugalii ks. Jana Szurka MIC w sierpniu 1953 r., António został członkiem pierwszej wspólnoty odnowionych marianów w Portugalii, mieszkając przez kilka miesięcy w seminarium diecezjalnym w Bragança.

Dnia 2 lutego 1954 r. António przybył do Chacim wraz z dwoma wyżej wspomnianymi polskimi kapłanami, aby współuczestniczyć w pracach przy odbudowie klasztoru w Balsamão. Dnia 1 maja 1954 r. młoda wspólnota zakonna zamieszkała w pobliżu grobu czcigodnego Sługi Bożego o. Kazimierza Wyszyńskiego. Dnia 7 grudnia 1954 r. António wstąpił do utworzonego w Balsamão nowicjatu Księża Marianów wraz ze swoim kuzynem. Podczas nowicjatu w październiku 1955 r., br. António był świadkiem „cudownego” bicia dzwonów kościoła Matki Bożej z Balsamão podczas odbywania ekshumacji szczątków czcigodnego o. Kazimierza.

Po krótkiej przerwie w sierpniu 1956 r. br. António powrócił do Balsamão i został ponownie przyjęty do nowicjatu 30 maja 1957 r. Pierwsze śluby złożył 31 maja 1958 r., a trzy lata później – 31 maja 1961 r., złożył śluby wieczyste, jako pierwszy Portugalczyk w odnowionym Zgromadzeniu Księża Marianów.

W pierwszych latach swego zakonnego powołania br. António pracował jako ogrodnik i asystent ekonoma klasztoru oraz pomagał w prowadzeniu gospodarstwa przy Małym Seminarium Księża Marianów w Balsamão, które zostało erygowane 24 października 1960 r.

Latem 1966 r. br. António został przeniesiony do Kurytyby w Brazylii, aby pomóc ks. Bolesławowi Jakimowiczowi MIC w pracy duszpasterskiej w parafii św. Jerzego, stając się jednym z pionierów zaszczepienia marianów w Brazylii. Kilka lat później powrócił do Portugalii i podjął funkcję ogrodnika i gospodarza klasztoru w Balsamão. W 1983 r. został wyznaczony do pomocy ks. Jerzemu Predko MIC w organizowaniu Domu Studiów w Telheiras na terenie parafii Lumiar w Lizbonie, służąc jako asystent ekonoma i pomocnik w pracy duszpasterskiej w kościele Matki Bożej Bramy Niebios w Telheiras. Następnie powrócił do Balsamão, gdzie mieszkał do końca życia, wyróżniając się duchem służby i modlitwy oraz świadectwem braterskiej miłości w czasie odwiedzania chorych i więźniów, a także w gościnności wobec licznych pielgrzymów i gości klasztoru Balsamão. Zmarł 16 stycznia 2018 r. w szpitalu w Bragança. Niech odpoczywa w pokoju.

BRAT ALPHIE GAGNE MIC (1909 – 1998)

Brat Alphie Gagne MIC wniósł dobry nastrój i radość do Prowincji św. Stanisława Kostki.

„Brat Alphie Gagne MIC był obdarzony radością Pana” – powiedział przełożony prowincji ks. Walter M. Dziordz MIC. „Posiadał nadzwyczajną miłość życia, którą ukazywał w sposobie życia i pracy. Wnosił dużo radości i żartu do życia ludzi. Zawsze umiał wydobyć uśmiech z każdego”.

Urodził się 2 lutego 1909 r. w Ludlow, MA. Został ochrzczony w parafii św. Jana Chrzciciela w Ludlow. Był jej parafianinem.

Po odbyciu 12-letniej służby wojskowej w armii USA, podczas której brał udział w drugiej wojnie światowej, był kierownikiem zespołu linii produkcyjnej firmy „Westinghouse Electric” w Springfield, MA.

We wczesnych latach pięćdziesiątych XX w., nadal pracując w tej firmie, zaczął myśleć o powołaniu zakonnym. W tym czasie pracownicy firmy poszli na strajk. Dowiedziawszy się z *Biuletynu* Centrum Stowarzyszenia Pomocników Mariańskich o marianach, Alphie nawiązał z nimi kontakt.

Stając się marianinem

W 1956 r. odwiedził Eden Hill (Rajskie Wzgórze) mając już 47 lat, zdecydował się prosić o przyjęcie. W następnym roku rozpoczął postulat, a w roku 1958 został nowicjuszem. Pierwsze śluby złożył w 1959 r. W 1964 r. został wieczystym profesem we wspólnocie. W trakcie swego życia zakonnego nabył wiele umiejętności. Pracował jako kucharz i zakrystian oraz robił zakupy dla wspólnoty.

Przyjmując nowe zadanie

Prawie przez całe lata sześćdziesiąte XX w. br. Alphie pracował jako kierownik działu wysyłkowego CSPM. Po przejściu na emeryturę w

1974 r. w wieku 65 lat podjął nową formę posługi. Dla wielu ludzi stał się znanym dzięki swej pracy w „pokoju znaczków”. Prawie 25 lat zbierał książeczki znaczków handlowych nadsyłanych przez Pomocników Mariańskich. „Pokój znaczków” został niedawno przeniesiony do Narodowego Sanktuarium Miłosierdzia Bożego. Oto niektóre z dzieł, w których realizacji dopomogła praca br. Alfreda: zakup windy dla sanktuarium, ram do obrazu Miłosierdzia Bożego, organów, posągu św. Franciszka oraz samochodu dla sióstr oblatek.

Bardzo kochał swoje powołanie zakonne. W roku 1986 powiedział dziennikarzowi z *Berkshire Eagle*: „Potrzeba nam więcej ludzi wybierających życie zakonne i pracę dla Pana. Nieważne, czy są młodzi, czy starzy. Życie zakonne daje możliwość służenia sobie nawzajem oraz Ewangelii. Wierzę w mariańskie motto: *Za Chrystusa i Kościół*. Ono w pełni określa moje życie”.

Służąc wspólnocie

„Prawdziwie kochał to, co robił” – powiedział ks. Walter. – „Posługa była dla niego prawdziwą radością. Obserwując go, wszyscy nauczyliśmy się prawdziwej pokory i wiedzieliśmy, iż nasze życie – tak jak i jego – przyczynia się do budowania królestwa Bożego”.

Provincial Newsletter, December 1998, p. 4; tłumaczenie z języka angielskiego Marina Batiuk.



[...] W roku 1956 br. Alphie przyjechał do Eden Hill w czasie obchodów tygodnia maryjnego. Był tak przejęty tym, co wtedy dla siebie odkrył, że ponownie przyjechał kilka miesięcy później i poprosił o przyjęcie do wspólnoty. Miał wtedy 48 lat i czuł się powołany do życia zakonnego przez Opatrzność Bożą.

„Zrzekłem się życia w świecie i przyszedłem do mariańskiej wspólnoty na Eden Hill. Od tej chwili zajmowałem rozmaite urzędy i wykonywałem wiele prac, począwszy od dojenia krów po kierowanie działem wysyłkowym w Apostolacie Miłosierdzia Bożego. Z biegiem

czasu rzeczy się zmieniały. Nazwa tego biura też zmieniła się na Centrum Pomocników Mariańskich. Centrum też się rozrosło: od kilku pracowników na początku do prawie 70 obecnie”.

Pomocnicy mariańscy znają br. Alphie szczególnie z jego pracy, która polegała na zbieraniu „zielonych znaczków” (S & H Green Stamp Redemption Project). Zielone Znaczkę były wymiennikiem handlowym popularnym w Stanach Zjednoczonych od 1930 r. aż do końca 1980 r. Stanowiły część programu prowadzonego przez firmę Sperry i Hutchinson (S & H). Klienci podczas zakupów w supermarketach, sklepach i stacjach benzynowych otrzymywali znaczki, które można było wymienić na towary z katalogu tej firmy.

Zbieranie znaczków nie było bynajmniej pracą mało znaczącą. „Czasem muszę sortować tysiące takich znaczków w ciągu jednego dnia. Dostaję znaczki w kolorze zielonym, granatowym, żółtym, czerwonym, pomarańczowym, i to nie mówiąc już o kuponach! Marianie zbierają znaczki handlowe od lat. Wymieniamy je na rzeczy niezbędne dla wspólnoty. Kilka lat temu zakupiliśmy „Jeepa” dla ks. Glicy MIC, naszego misjonarza w Brazylii. Zanim to zrobiliśmy, musiał podróżować po dżungli starym volkswagenem, który bez przerwy się psuł. Uzbieraliśmy także dostateczną ilość znaczków, aby nabyć dla sióstr oblatkę samochód kombi. Siostry spędzają czas na nieustającej adoracji Najświętszego Sakramentu, modląc się za księży, zakonników oraz w szczególnych intencjach. Obecnie kupiliśmy organy, by uświetić wielbienie Boga w naszej kaplicy w nowicjacie w Brookeville, MD, oraz drugie do naszej kaplicy prowincjalnej, tu, w Stockbridge, gdzie znajduje się Sanktuarium Bożego Miłosierdzia. Najnowszym projektem jest zbieranie znaczków na odbudowę kaplicy plenerowej św. Józefa, patrona robotników. Wykończona kaplica będzie pięknym hołdem dla niego”.

BRAT JAKUB GŁĄBIKOWSKI MIC
(1875 – 1954)

Co ci się braciszku tak ten olej szybko wylał?

Któż to nie znał br. Jakuba Głąbikowskiego. Na nogę lekko utykał, bródkę w „szpic” nosił, nos miał jak pomidor, wąsem jak „pan Michał” ruszał.

Czcziciel Matki Bożej zawołany. Pierwszy ze wszystkich braci w stalle się wtaczał i już przed „prymarią” w niedziele (a było to w Skórcu 1939–1940) *Godzinki do Matki Bożej* zaczynał i im najgłośniej przewodził. Trzeba było widzieć, jak br. Jakub w „trans” wpadał, głowę, ze szpiczastą bródką do góry podnosił, usta szeroko otwierał, głośno zaciągał... *Nowa gwiazdo z Jakuba, Tyś nad aniołami*. Wszak to o nim była mowa, o Jakubie. Niechaj wszyscy wiedzą, jaki ten Jakub jest wspaniały.

A gdy w *Godzinkach* hymn: *Witaj Matko szlachetna* kończył, nikt br. Jakuba wyprzedzić nie potrafił, by werset: *Jako olej wylany, o Maryjo, imię Twoje* z modlitwą odśpiewać. A mocno i długo ten „olej” ciągnął. Widocznie do smaku mu przypadł.

Aliści kiedyś jeden z braci ubiegł naszego br. Jakuba z tym „olejem”. Skoro tylko *Godzinki* skończono a brać zakonna do refektarza ruszyła, dopadł br. Jakub do „winowajcy” i ruszając wąsem, taką dał mu reprimendę: „Co ci się, braciszku, tak ten olej szybko wylał?”

Czyśmy to gorsi od Izraela?

Gdy br. Jakub *Nieszpory* w kościele śpiewał, to choć wszyscy wierni śpiewali słowa Psalmu 110: „Moc swą okazał, gdy wygnał poganę, a ten kraj synom Izraela dany”, nad wszystkimi jego głos górował br. Jakuba i słychać było wyraźnie: „A ten kraj synom Polaków dany”. „Bo czyśmy to gorsi od Izraela?” mawiał. „I czy nam się też już nic nie należy?”

Buty nie do zdarcia

Brat Jakub szewcem był nie byle jakim. Dziury w butach łątał, podeszwy zelował, obcasy podbijał. Buty od br. Jakuba były nie do zdarcia, bo jak z opony samochodowej podeszwy i obcasy przybił, na całe lata starczały. Tu sekret ujawnię: gwoździe włożyły ci w piętę, więc buty szły do lamusa bądź do kuźni, by gwoździe pozaginać czy też „wyraszplować”.

Plaster na wszystkie choroby

Choć Magister w Nowicjacie w Skórcu był jeden, dla nas nowicjuszy, br. Jakub to magister nr 2. Wiele doradzał, sekrety młodych w sobie jak w studni topił. A potem przykładał plaster „Matką Bożą” zwany: „Weź sobie, braciszku” – poradził mi kiedyś – „różaniec i na nim codziennie odmawiaj *Koronkę 10 cnót Matki Niepokalanej*”. I tej mnie nauczył. Przez tę koronkę wygrałem wielki los na loterii mego życia. Od 1940 r. do dziś „plaster” br. Jakuba – *Koronka 10 cnót N.M.P. Niepokalanej* stale i skutecznie działa.

A to się jeszcze na starość przyda

Gdy staruszka br. Jakuba (lat 75) z Bielana do Lichenia przywieziono, połowę jego rzeczy stanowiła wielka, żelazem okuta, na kłódkę zamknięta skrzynia. Połowę swego życia ukrył w niej br. Jakub. Czegóż tam nie było? Kopyta duże, małe, bukowe, stalowe, miękkie i twarde, raszple, raszpelki, igły, dratwy, tekturki, brandzelki... Słowem cenne i zabytkowe przybory rzemiosła szewskiego.

Przy łóżku tę skrzynię postawić brat kazał zamkniętą na kłódkę, by nawet przełożony do tych skarbów dostępu nie miał. Wszystko bowiem można porozciągać, a przecież kiedyś może to się przydać. „Na starość jak znalazł” – mówi przysłowie.

Nie lubił br. Jakub, gdy go szewcem zwano. Cieszył się, gdy go bardziej „naukowo” nazywano: „Proszę brata butologa”.

Zmarł w 1952 r. w Licheniu, w wieku 77 lat.

ks. Jan Karbasz MIC

**BRAT PIOTR GRAD MIC
(1908 – 1985)**

Do Zgromadzenia wstąpił w Drui podczas wojny. Po przesiedleniu do Polski w jej powojennych granicach pracował jako gospodarz w różnych klasztorach. Zmarł w Stoczku w 1985 r., w wieku 77 lat.

<><><>

*Bracie Piotrze, Gospodarzu!
Witaj w Stoczku!
Czy pamiętasz mnie, kleryka?
Pomagałem Ci przy świnkach.
Mieszkaliśmy w biednym Licheniu
We czterech w jednym mieszkaniu...*

O jak trudne były powojenne lata! Gospodarzyłeś pracowicie, mieszkaliśmy na strychu licheńskiej plebanii we czterech. Z tobą był organista, br. Izydor Piech, który nosił także do kuchni wodę z podwórzowej studni. Wodę codziennie się ręcznie pompowało. Ja ci pomagałem przy krowach i dużym stadku świnek, kleryk Władysław Korzekwa „zakrystianował”. Od wojny mieliśmy widok na kościół z wieżą bez zadaszenia. Uczyłem się też gry na fisharmonii. Brat Idzi prosił nieraz o zastępstwo. Wolałem fisharmonię, którą nieraz remontowałem, niż sfatygowane organy. We czwórkę prowadziliśmy wiele ciekawych rozmów. Świadczyliśmy sobie różne posługi w tym trudnym czasie. Proboszcz, przełożony ks. Józef Glinka MIC starał się osładzać nam życie miodem zawsze dostępnym na stole organizując kościelne święta. Zasponsorował wyjazd do Poznania na Targi Międzynarodowe. Zwiedziliśmy Ogród, Palmiarnię, byliśmy na operze *Holender tułacz* Wagnera. Drugą wyprawę braci z ks. Glinką zapamiętaliśmy na całe życie: Zakopane, wejście na Giewont, z którego zabrałem zziębniętą na krzyżu pszczołę; Kraków – a jakże, z przeżyciem w teatrze *Wesela* Wyspiańskiego. Wreszcie Częstochowa. Zachowały się fotografie, które zrobił ks. Glinka a nadto mam do dziś czerwony album, do którego potem je wkleiłem.

Cały ten rok w Licheniu bardzo nas ze sobą związał. Co więcej, umocnił naszą więź ze Zgromadzeniem. Jak rodzina stanowi odbicie

Trójcy Świętej, tak więc braterska może owocować miłością codzienną! A choć następują zmiany personalne w kolejnych domach, więź ta rośnie z roku na rok. Bracia, których spotkałem w pierwszych latach życia zakonnego, pomogli mi tak właśnie patrzeć na nie i na kolejno spotykanych współbraci w innych domach. A choć troskę o wspólnoty mają szczególnie zleconą przełożeni, to jednak wszyscy współbracia w domach tworzą tę braterską więź – oby coraz bardziej świadomie! Dlatego dziękuję wam, bracia: Piotrze, Izydorze, Władysławie. Staliście się dla mnie niezwykłym łącznikiem z dawnymi marianami. Dlatego tak drogie są mi wasze fotografie, zapamiętane twarze i zapamiętane czyny, sposób bycia razem! Dlatego mile wspominam te proste zajęcia w Licheniu: gotowanie ziemniaków w parniku, nieraz przypilnowanie nocą macior, karmienie chyba 20 świń, wyrzucanie z kójców nawozu, pompowanie ręcznie wody z niedalekiej studni, pomoc przy krówkach (konie miałeś sam w szczególnej opiece).

Po latach Licheń się rozwinął. Pole zabrano na place nabożeństw, na liczne budowle, kaplice oraz dróżki pielgrzymie. Budynki gospodarcze znikły. Studnia otrzymała pompę, a po latach poszukano większej ilości wody dla tysięcy pielgrzymów. A ty br. Piotrze, bez roli, koni i trzody...

Gdy po uzdrowieniu w Stoczku, wyjechałem na cztery lata do Siedlec, najpierw do Stoczka przybył br. Izydor. Grał w Stoczku dwa lata, a że rozmiłowany był w Licheniu, tam powrócił. Potem ty przybyłeś do Stoczka, bo było tu jeszcze trochę gospodarstwa i ogród, krowy, pszczoły, świnki. Podziwiałem twą zręczność przy zrywaniu owoców. Gdy myśmy zbierali po pół koszyka ty miałeś już pełny! Ale w Stoczku dopadła ciebie choroba żołądkowa, którą cierpliwie znosiłeś ku naszemu zbudowaniu. Mieszkałeś w dawnej więziennej prymasowskiej kaplicy. Z Komunią św. codzienną miałeś siłę i pogodę ducha. Często wspominałeś Druję, dawnych współbraci, lata wojennych utrapień, prześladowanie wiary, zniszczenie wspólnot zakonnych. Cicho zasnąłeś, aby spocząć w Stoczku jako pierwszy na kwaterze marianów. Nawiedzam, póki mogę, mariańskie cztery mogiły. Odczytuję na płytach słowa, jakimi je pobożni marianie opatrzyli. Na twojej mogile jest napisane: „Chrystus Zmartwychwstał”. Kolejne mogiły: ks. Henryka Suleja MIC, ks. Kazimierza Oksiutowicza MIC, ks. Bonifacego Sarula MIC, któremu parafianie oka-

zują najwięcej troski. Często widzę tu lampki i kwiaty – to zapewne od wdzięcznych „małgorzatek”, które obdarzał cukierkami i umiał rozweselić swą pogodą. Przy tych kapłanach dojrzewałeś do nieba. Odwiedzam was. Zawsze obdarowany powracam do klasztoru, w którym nas Bóg postawił. Tu też w 1939 r. był jako więzień kleryk marianin Stefan Magnuszewski, rodem ze Stawiszyna, a wraz z nim kapłani diecezji łomżyńskiej, płockiej i włocławskiej (razem dziesięciu kapłanów). W grudniu tego roku zostali przewiezieni do obozu Hohenbruck koło Królewca. Trafili 17 marca 1940 r. do karnego obozu Soldau (Działdowo), gdzie w strasznych warunkach i przemysłnych udrękach zostali zamordowani do końca maja. Tyle nazwisk znamy. Może było tu ich więcej. Badania trwają. A więc już w 1939 r. marianin był w klasztorze w Springborn – w Stoczku! Mamy tu mocny fundament! Bracie Piotrze, pomóż mi, upamiętnić ten fakt jakimś znakiem (tablicą, krzyżem, mogiłą?).

Pisząc do ciebie, dziękuję całej wspólnotcie marianów za świadectwo bratniej miłości. Ale zapytam ciebie i tych, co w Bogu żyją: czemuż to obecnie często od nas odchodzą współbracia? Czyż mogą być szczęśliwi w świecie, gdy łamią śluby i przysięgę? Proszę, módlcie się o trwałą więź dla nas i łaskę wytrwania w powołaniu! Pozdrawiam ciebie i marianów w Domu Ojca, przeżywając radość z bliskiej kanonizacji Ojca Założyciela. Siły moje słabną, ale dziś – w 80. roku życia – śpiewam *Magnificat*. Proszę, śpiewaj ze mną. Śpiewajcie ze mną, marianie w Domu Ojca, i módlcie się o wzrost i świętość marianów.

ks. Kazimierz Chrostowski MIC

Stoczek, 25 marca 2016 r.

BRAT AUGUSTYN GRUNDĀNS MIC (1845 – 1928)

Był on jednym z pierwszych spośród braci, którzy dołączyli się do wspólnoty mariańskiej w Welonach (Viļāni). W młodszych latach był na służbie u hrabiego Eugeniusza Platera w Krasławiu (Krāslavā – Krōslovā). Za swoje oszczędności kupił dom w tymże Krasławiu. Mieszkał w nim sam a także ci, którym wynajmował niektóre pokoje. Szczególnie troszczył się o uczniów. Poznałem go w 1913 r. Niejednokrotnie spotykałem go u swego przyjaciela szewca Adama Wonogsa (Odums Vonogs), w Kalwareice (Kaļvareika). Mieszkałem u niego w czasie, kiedy chodziłem do szkoły w Krasławiu. Trzydzieści lat później, w roku 1927, już w Welonach, spotkałem go ponownie. Był już po ślubach. Do jego obowiązków należało między innymi dbanie o porządek w szatni i w refektarzu.

Dopóki mu zdrowie i siły pozwalały, dużo się modlił w kościele. Ostatnie chwile swego pobożnego życia spędził w ciszy klasztornej. Śmierć spowodował wypadek podczas pracy, gdy sięgając po coś z wysoka, spadł i mocno się pobił. Był zmuszony położyć się w łóżku, z którego już nie wstał. Swoje oczy zamknął na wieki akurat na Zesłanie Ducha Świętego (27 maja 1928 r.). Było to podczas mojego nowicjatu. Byłem świadkiem jego odejścia. Gdy stałem przy łóżku i widziałem że ciężko oddycha, dotknąłem go w czoło. Otworzył na chwilę oczy i spojrział na mnie. Były to ostatnie chwile jego życia [...].

Brat Augustyn Grundāns był pierwszym marianinem na Łotwie, który odszedł do Pana. Pochowany został w Welonach.

Brōļs Augusts Grundāns (1845-1928), [w:] St. Škutāns, MIC, Nu marijanu 300 godu vēstures (1673 – 1973), [s.l.] 1973, l. 90–91; tłumaczenie z języka łotewskiego ks. Imants Medveckis MIC.

BRAT PIUS GUDELEVIČIUS MIC (1912 – 1984)

Dnia 17 lipca 1984 r. w Ameryce Południowej, w Argentynie zmarł br. Pius Gudelevičius, członek Zgromadzenia Księży Marianów w mieście Avelaneda. Pochowano go następnego dnia na cmentarzu Sarandi.

Brat Pius Gudelevičius urodził się 15 października 1912 r. we wsi Szaltininkai, w parafii Krosna w powiecie mariampolskim. Do szkoły powszechnej uczęszczał w Krośnie. Mając 16 lat, w 1928 r. wstąpił do klasztoru marianów w Mariampolu, a 8 grudnia 1929 r. złożył śluby zakonne. Należąc do klasztoru mariampolskiego, blisko trzy lata przebywał na gospodarstwie w Pataszine.

W 1934 r. generał zakonu ks. Andrzej Cikoto MIC zabrał br. Piusa Gudelevičiusa do Rzymu. Zamieszkał w domu generalnym marianów i przez 16 lat pełnił tam różne obowiązki. W Rzymie uczęszczał do szkoły muzycznej *Musica sacra*.

Pod koniec października 1950 r. przybył do Argentyny. Zamieszkał w litewskiej parafii ostrobramskiej, gdzie włączył się do prac administracyjnych pisma *Laikas*. Następnie, po zakupie własnych maszyn drukarskich, aż do śmierci był administratorem drukarni.

Działalność br. Piusa nie ograniczała się jedynie do prac w administracji. Gdzie tylko mógł, działał wśród Litwinów. Po śmierci muzyka, śp. Vaclovasa Rymavičiausa był stałym organistą i prowadził chór. Jako administrator *Sali litewskiej*, organizował różne uroczystości, wycieczki. Działał w organizacji Litwinów w Argentynie, w radzie prasowej, zarządzie Seneliu Židinis i wielu innych instytucjach.

Osobowość br. Piusa wyróżniała się niesieniem pomocy. Pomagał chorym, przyjmował gości, woził młodzież na spotkania i święta.

Odbył wiele podróży po świecie. Biorąc udział w kongresach, różnych uroczystościach i odwiedzając czytelników *Laikasa*, zwiedził Europę, Kanadę, Amerykę Północną, Kolumbię, Wenezuelę, Brazylię, Chile, Urugwaj. Wydał słownik *Laikasa*. Wrażenia z podróży opisał w *Laikas*. Był

stałym korespondentem tego czasopisma. Wzbogacił je różnymi wiadomościami.

Pogrzeb br. Piusa Gudelevičiusa odbył się obok szkoły ostrobramskiej. Przybyło tam wiele osób chcących pożegnać Zmarłego. W uroczystej Mszy św., która odbyła się w parafii ostrobramskiej, uczestniczyło wielu duchownych: bp Avelanedy Ruben Dimonte, proboszcz Rosario ks. Juozas Margis, przełożony klasztoru ostrobramskiego ks. Augustyn Steigvilas, księża marianie: Miguel Jodka i Antony Lubickas, dwaj mariańscy klerycy z Rosario: Ramon Brandelero i Acides Villon, kleryk z Sarandi Daniel Aquilera, ks. Alberto Sasso i cały kościół wiernych.

Obrzędy pogrzebowe na cmentarzu odprawił ks. Juozas Margis. Odczytał modlitwy zakonne za zmarłego. Słowo pożegnalne powiedział sąsiad i chórzysta Pius Sakalauskas. Pochowany został w centralnym miejscu cmentarza Sarandi.

Draugas 1984, rugpiučio 9 d., l – 2; tłumaczenie z języka litewskiego Paweł Chudzik.

BRAT FELIKS HOLI MIC (1894 – 1977)

Brat Feliks urodził się 25 lutego 1894 r., w Łodzi na terenie parafii św. Krzyża. Był synem Franciszka i Marii z domu Szythenhelm. W rodzinie miał Czechów i Niemców, sam jednak uważał się za Polaka. Zarobki ojca, z zawodu rymarza, musiały być niewielkie, skoro po trzech latach szkoły podstawowej Feliks musiał przerwać naukę i zabrać się do pracy. Jak sam napisał w kwestionariuszu zakonnym, w latach 1909 – 1917 pracował w zawodzie fryzjerskim. Opowiada się, że właśnie jako fryzjer w Warszawie poznał wśród swoich klientów ks. Aleksandra Sękowskiego MIC. To on młodego i pobożnego człowieka skierował na nową drogę

życia. Za jego radą Feliks Holi zgłosił się do przebywającego w Warszawie ks. Jerzego Matulewicza, Odnowiciela marianów, i pod jego kierunkiem odbył postulat w dniach od 5 sierpnia do końca grudnia 1917 r. W następnym roku także przez Ojca Odnowiciela, został przyjęty do nowicjatu. Ukończył go już pod przewodnictwem ks. Mariana Wiśniewskiego. Pierwszą profesję zakonną złożył 2 lutego 1919 r. na Bielanych na ręce ks. Kazimierza Bronikowskiego MIC. On to jako ówczesny wikariusz generalny na Polskę – przyjął od br. Feliksa śluby wieczyste w Skórcu, dnia 2 lutego 1924 r.

Jako miejsca swej pracy we wspomnianym kwestionariuszu br. Feliks podał (zaznaczając także dokładne daty): Bielany (2. II. 1919 – 7. XII. 1922), Raśnę (7. XII. 1922 – 31. X. 1923), Skórzec (1923 r. – 1 III. 1924), Bielany (1. III. 1924 – 31. X. 1931), znów Raśnę (31. X. 1931 – 23. IV. 1945). A więc przez cały okres wojny; Bielany (23. IV. 1945 – 23. XII. 1955 r. Tu pozostał przez pewien czas nawet po wywiezieniu marianów w 1954 r., następnie Głuchołazy (23. XII. 1955 – 1964). Potem kilka lat przebywał w Warszawie na Wileńskiej (1964 – 1968). Wreszcie decyzją Rady Prowincji z dnia 11 października 1968 r. został przeniesiony do domu w Puszczy Mariańskiej. Był jego członkiem aż do śmierci.

Wiadomo, że wykonywał wiele prac i znał dobrze co najmniej kilka zawodów. Przełożony domu raśniańskiego stwierdził w swym sprawozdaniu rocznym z 1938 r., że br. Feliks jest „zdolny do wszelkiej pracy”, ale jako główny obowiązek odnotował *cultor apum* – pszczelarz. W kwestionariuszu wypełnionym w 1956 r. br. Feliks spośród zawodów wyuczonych wymienił jedynie fryzjerstwo. Chyba przez całe swe życie zakonne – przy wielu innych zajęciach – był przede wszystkim zakrystianem. Do wykonywania tego obowiązku usposobiło go wiele cech podkreślanych w przełożenijskich relacjach, zwłaszcza pobożność, pracowitość, obowiązkowość i dokładność.

A oto ostatnia relacja, jaką po śmierci br. Feliksa nadesłał do kurii prowincjalnej ks. Stefan Ciechomski, przełożony domu zakonnego w Puszczy Mariańskiej:

„Brat Feliks Holi do Puszczy Mariańskiej przybył w 1968 r. z Wileńskiej. Przez cały czas pełnił obowiązki zakrystiana przy kościele

parafialnym. Z powierzonego sobie obowiązku wywiązywał się sumiennie. W swojej posłudze był wprost uprzedzający. Do wszystkich prac podchodził z całym sercem. Ani razu nie było widać zdenerwowania i tego, co nazywamy obstawaniem przy swoim zdaniu. Był ogromnie przydatny mimo podeszłego wieku. Niezwykle oszczędny – aż do przesady. Kierował się w tym duchem ubóstwa”.

Duch modlitwy był u niego stałą cechą. Oprócz modlitw zakonnych odmawiał wiele innych. Do końca życia czytał Pismo Święte.

Ciągle był w ruchu – aby być przydatnym dla innych. Zyskał sobie sympatię całej parafii.

W grudniu 1975 r. wpadł pod samochód osobowy. Potłuczony cierpiał cicho i pełen nadziei. Wrócił jeszcze do zdrowia, choć sprawność fizyczna zanikała dość wyraźnie. Nie pozwolił sobie w niczym pomagać. Sam się golił i strzygł. Używał rzeczy najbardziej zniszczonych, aby i te się nie zmarnowały. Niezwykle punktualny we wstawaniu, dzwonieniu i posłudze przy ołtarzu.

Wiele rzeczy zbierał, lecz pieniędzy – nigdy. Największą sumę, jaką miał przy sobie, była kwota na zakup 32 egzemplarzy *Gościa Niedzielnego*, które kupował co tydzień.

Do kapłanów zwracał się w formie uroczystej: „Proszę ojca”. Za wszystko dziękował zwrotem: „Bóg zapłać”. Spowiadał się dwa razy w miesiącu. Komunia św. stanowiła wielkie przeżycie religijne. Przyjmował Ją zawsze na pierwszej Mszy św. Był bardzo widocznym znakiem Boga obecnego na ziemi. Jego piękne życie zakonne jest godne zazdrości i oczywiście naśladowania.

Na dwa tygodnie przed śmiercią został poddany operacji na raka odbytnicy. O tej jego chorobie nikt właściwie nie wiedział. Zmarł w nocy 6 grudnia 1977 r. po krótkich cierpieniach w Szpitalu Wojewódzkim w Skierniewicach.



Non omnis moria. Każdy to o sobie może za poetą powtórzyć. Trzeba, bardzo trzeba zdawać sobie z tego sprawę, że po śmierci zostawimy po sobie spadek dodatni albo ujemny, majątek albo długi. Błogosławić nas będą, wspominać, korzystać z tego, co zostało po nas, albo krótko powiedzą: umarł, bo żył – i koniec.

Tym, co zostaje po nieboszczyku, dzieli się zwykle najbliższa rodzina, respektując testament, jeżeli był. Drobiazgi po drogiej osobie rozbierają między sobą w charakterze pamiątek. Im droższa osoba, tym droższa po niej pamiątka. Pozostają jednak często jeszcze po tych, co odeszli za próg wieczności, wartości, których się nie dzieli, nie rozbiera. Ale każdy może dziedziczyć, brać, przywłaszczać sobie do woli albo robić to wspólnie, społecznie z wielkim pożytkiem. Nawet nie tylko rodzina najbliższa. To piękne życie osoby zmarłej, piękne czyny, dobry przykład, radość życia, dorobek moralny, duchowa wielkość, piękno, które trwa, promieniuje jeszcze jaśniej właśnie po śmierci. Bo dopiero wtedy dotkliwie czuje się ubytek, brak tej osoby. Jak to o zdrowiu poeta nasz pisze: „Szlachetne zdrowie – nikt się nie dowie, jako smakujesz – aż się zepsujesz”. Wartość, wielkość, piękno, wspaniałość odeszłej osoby ocenia się dopiero, gdy jej zabraknie wśród nas.

Tak się rzecz ma z tymi, co już odeszli. Ale świętych obcowanie trwa. Choć są w niebie, trwają z nami nadal, jeżeli piękny przykład ich życia mamy w pamięci, przed naszymi oczyma; jeżeli z pomnażania ich dorobku w łasce Bożej korzystamy, naśladujemy, próbujemy postępować tak jak oni. Robić to za życia, byłoby może trochę krępujące, ale po ich odejściu... nie. Łączność nasza z nimi będzie wtedy nie tylko trwać, ale okaże się jeszcze żywsza, pełniejsza niż za ich życia. W świętych obcowaniu o to właśnie chodzi. Oni tam są w pełni świadomi. Zdają sobie z tego sprawę, że ich dorobek to dar Boży, to działanie Bożej łaski. Jeżeli ono trwa, rozwija się w nas dalej. To przysparza im radości wielkiej i umożliwia przebywanie duchowe z nami oraz oddziaływanie stamtąd na umiłowane przez nich Zgromadzenie nie tak z trudem, opornie jak za życia, ale tak po niebiańsku.

Brata Feliksa zawsze, nawet w jego starczym już wieku, niedomagającego, wszędzie mile widziano. Każdy nasz dom rad by go mieć. Nie tylko, że miał wiele specjalności, fachów: fryzjer, malarz, zakrystian, kościelny, pszczelarz, szklarz, ale też śpiewał pięknie, grał. Sprawy gospodarcze, rolnictwo nie były mu obce. W tym wszystkim zawsze usłużność była jakby jego pasją. Zawsze gotów do usług. Jakby czekał na taką okazję, czyhał na nią, baczył, czatował. Nie było to jednak narzucanie się, tylko gotowość bogata w inicjatywę. Jakby instynktownie wysoko cenił wartość takiej postawy. Było to u niego takie proste, naturalne, ale też bezinteresowne, nie obliczane na wzajemność. Świadom był, że tak trzeba, że to podoba się Bogu, bo Pan Jezus tak czynił. On tak po swojemu uważał to za swój prosty obowiązek, że inaczej nie można. Zdaje się, że źle się czuł, gdy nie miał ku temu okazji. Toteż takich okazji szukał.

Niewiele już mógł faktycznie w ostatnich latach robić, bo słuch miał już przytępiony i wzrok również. Czytać mógł tylko przez lupę. Okulary już nie wystarczały.

Pogodny zawsze. To owoc szczerzej usłużności. Żył nie dla siebie. Nie szukał swego, ale tego żeby każdemu z nim było dobrze. Miły uśmiech miał zawsze dla kogoś, którego pierwszy raz widział. Stąd powszechnie był lubiany, mile widziany, ceniony. Wywoływał wzajemny uśmiech.

Wielki miłośnik ubóstwa. Lubił ubrać się pięknie, świątecznie. Według mody swojej młodości wkładał – jak pamiętam – czarny dłuższy frak, prawie do kolan i muszkę pod szyję w sztywnym kołnierzyku. Do pracy na co dzień miał większy zestaw ubrań, różnego pochodzenia, niekiedy dziwne. Nakrycie głowy też różne, niektóre już dawno wyszło z mody. Były to najczęściej ubrania pozostawione przez właścicieli, podniszczone trochę, ale do używania jeszcze dobre. Podobnie było z obuwem. Potrafił sam je nareperować, uzupełnić. Nie było to sknerstwo, skąpstwo, jakby to mogło się na pierwszy rzut oka wydawać, ale poszanowanie każdej wartości i troska o dobro ogólne. Wszystko, co mogłoby się przydać, co można było użyć, zachować, wykorzystał. Nie pozwalał, żeby się zniszczyło.

W każdym domu, do którego przybywał, w niedługim czasie robił składzik i zachowywał w nim to, co miało jakąś użytkową wartość. Rychło dowiadywała się o tym cała wspólnota i co komu było potrzebne

do br. Feliksa szło się jak w dym. Zaopatrywał też dom w drobiazgi codziennej potrzeby przezornie. Hojnie służył. A przecież nie dla własnej korzyści, tylko *pro publico bono*. Każdemu zawsze użyczył, co miał w swoich zbiorach. Papier do pakowania, również sznurek, kartony rozmaitych rozmiarów, pudełka – a jakże!

W swoim magazynie na Bielanych, w wielkim wyborze, miał br. Feliks mnóstwo pomocy szkolnych. W ostatnie dni roku szkolnego swawolna młodzież uczniowska wyzbywała się zeszytów, podręczników, piór, ołówków i innych szkolnych pomocy. Do kosza, do śmietnika szło wszystko. W porozumieniu z woźnym br. Feliks zabierał to do siebie. Nieraz trafiały się przedmioty dużej wartości. Następne roczniki po wakacjach często korzystały z tego, bo nieraz nie było nowych podręczników w sprzedaży. Czasem na szkolnym placu urządzano wrzaskliwe „auto da Fe” ze starych podniszczonych egzemplarzy. Nie miało to powszechnego uznania, bo jednak przeważał szacunek dla podniszczonego nawet podręcznika, jak dla przyjaciela. Bracia scholastycy, juweniści, klerycy często chętnie i z wdzięcznością zaopatrywali się w szkolne pomoce u br. Feliksa. Zaoszczędzano w ten sposób trochę grosza, bo przecież my sami nie rekrutowaliśmy się ze zbyt zamożnych rodzin, również cała instytucja, dom zakonny naprawdę nigdy nie był zamożny.

Brat Feliks kochał ubóstwo. Bardzo je sobie cenił. Czuł się z nim dobrze. Nie był żadnym panem, właścicielem czegoś. Wszystko, co posiadał, czym dysponował, co znalazł, zdobył, było Bożym darem co miało jakąś wartość, co można było użyć, należało zachować, zabezpieczyć, bo to Bóg dał; bo pochodziło od Boga. Sam chętnie używał tego co gorsze, pośledniejsze, aby lepsze zostało na później, dla kogoś innego. Bo to wszystko nasze wspólne, bo „lepiej dawać, niż brać”, a więcej się daje, gdy daje się lepsze. Ubóstwo ewangeliczne właśnie na tej prawdzie stoi, że wszystko mamy od Boga. Wszystko jest Boże, a człowiek to tylko użytkownik z łaski, z miłości Bożej. Jak to poeta modli się do Boga: „jest to wszystko Twoje, cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje”. Większe prawo do każdej rzeczy ma ten, kto bardziej potrzebuje; prawo do używania, do korzystania.

Ubóstwo zapewnia nam Królestwo Niebieskie, przez to więc jest ono jeszcze cenniejsze, piękniejsze, miłsze, wspanialsze, godniejsze. Więcej:

ubóstwo już w nas buduje to Królestwo. Wprowadza do niego, gruntuje, umacnia. Daje sercu przedziwną swobodę, wolność ducha, pogodę, zadowolenie, sprawność w działaniu, jasność widzenia, trafność w ocenie różnych sytuacji. Ubogi duchem po Bożemu wszystko widzi, ocenia, traktuje; rzeczy i ludzi. Dla kogo wszystko jest Boże, wszystko jest dobre.

Tak wielkie wartości duchowe przynosi szczerze, przez Pana Jezusa ukochane ubóstwo, wyeksponowane na czoło w sławnym Kazaniu na Górze. Poleca nam je Pan Jezus wszystkim, nie tylko tym którzy są ślubem do niego zobowiązani. Jest ono jednak naszą zakonną specjalnością. Ubóstwo dopełnia nasze oddanie się Bogu, ułatwia je nam. Świadomi głęboko, że nic nie mamy, że wszystko jest Boże, jasno widzimy i zdajemy sobie z tego sprawę, żeśmy sami Bożą własnością, żeśmy całkowicie w Jego rękach. Nie tylko teraz, po ślubach, ale od początku. Dziwimy się, że dotąd nie spostrzeżliśmy jakoś tego. Jakoś nie wiedzieliśmy o tym. A przecież to takie ważne, wielkie, wspaniałe, radosne. My Boży, a Bóg to nasz Ojciec. Więc wszystko jest nasze. Słusznie wołał św. Franciszek: „Bóg mój i wszystko moje”.

Brat Feliks miał wiele umiejętności, wiele fachów dzięki niewątpliwie swym rozległym zainteresowaniom i zamiłowaniu do pracy. Był nieustrudzony. Nie uchylał się od żadnej roboty. W kłopotcie był, gdy dostał urlop wczasowy. Nie wiedział co z tym fantem zrobić. Sam wtedy kombinował sobie pożyteczne zajęcia. Brał wtedy ze sobą do cięcia szkła diament, bo tam pewnie będą uszkodzone szyby w oknach. Może są okitowane więc można je będzie uzupełnić. Nie umiał się wczasować. Nie czuł takiej potrzeby. Nie był zdolny do ciężkiej pracy. Unikał nawet pieszych wędrówek. Wołał w Raśnie pół dnia reperować swój stary rower, żeby zrobić nim 3 km do Wysokiego, niż iść pieszo. Miał wielką łatwość obcowania z ludźmi. Usłużnością zdobywał sobie wiele przyjaznych, wdzięcznych serc. Służył od zaraz, nic nie odkładał na później. Według przysłowia: *dwa razy daje, kto prędko daje*.

Kuchnia nigdy nie miała z nim kłopotu. Pańskie wskazanie głosi: „Jedźcie, co przed wami położą”. Gdy wypadło posilić się indywidualnie poza czasem, jadł, co było do zjedzenia. Zwykle nie czekał, aż będzie podane. Sam sobie usłużył i to jak najprościej przycupnąwszy gdzieś, żeby swoją osobą nikomu nie zawadzać. Mieszkanie jego było naturalnie małym magazynem. W młodości sportowcem chyba był, bo wspaniale

jeździł na łyżwach i pływał. Przy skoku do wody młynek robił w powietrzu. Wyczyniał różne fikania i podciągania na drążku. Gdy wypadło poprawić coś na dachu, bo ciekło, znalazł sposób wejścia i swobodnie radził sobie tam niczym wiewiórka. Nie znosił nierobów, kanciarzy, łobuzerii. Przykre przejścia miał na Bielanach, kiedy polecono mu opiekować się włoskimi orzechami a swawolni gimnazjaliści objęli mu przed czasem kijami. Nie tyle chodziło tu o owoc, ale o niszczenie gałęzi i drzew. Gromił ostro, bo był porywczy w takim wypadku, popędliwy. Nie tolerował nadużyć. Inną miał szkołę życia. Takiej swawoli młodości nie znosił, nie uznawał.

Gdzie br. Feliks, od kogo przejął taką szkołę ubóstwa? Prawdopodobnie wyniósł je już z domu rodzinnego. Zbyt mocno miał tę cnotę w sobie zakotwiczoną, żeby mogło być inaczej. W młodości przeżył pierwszą wojnę światową i okupację. Dotkliwie ciężkie warunki, szczególnie w dużych miastach. Po wojnie cały kraj podnosił się z ruin. Trudne były lata wojenne, międzywojenne i powojenne. Księża nasi wyprawiali się na kwestę z kapłańską posługą do Ameryki. Również w kraju do parafii życzliwych, znajomych dobrze proboszczów. Oszczędzać, obywać się trzeba było wszędzie. Zdarzały się nadużycia. Ze zgrozą opowiadano sobie na wsi, że tam gdzieś w miastach, w Warszawie, w śmietnikach znajdowano czerstwe bułeczki, albo podniszczone ubranie tylko, dobre jeszcze, ale już niemodne. Spodziewano się kary Bożej. Przyszła wojna. Wieś przeważnie musiała być samowystarczalna, a to wymagało ciężkiej, żmudnej pracy oraz oszczędzania. Tylko w ten sposób osiągnano względny dostatek i możliwość zdobycia drogiej nauki.

Powie może ktoś: stary kawaler, wiadomo, ciuła, składa. To przychodzi z wiekiem. Bywa tak. Prawda. Ale stary kawaler ciuchy swoje zamyka, skrywa w obawie, że go okradną. Chciałby, żeby nie widziano i nie wiedziano co ma. A br. Feliks szczęśliwy był, gdy użyczał. Chętniej dawał niż zbierał. Każdy to wie, kto go znał, bliżej z nim obcował. Nie szukał swego, nie domagał się. Nie słyszało się z ust jego narzekania. Świadom był mocno, że Pańscy wszyscy jesteście, bo na służbie Bożej, w rękę Boga. Nie myśmy oddali się Bogu. To On pierwej nas obrał, powołał i przyjął. Pociągnął ku sobie, abyśmy wzajemnie sobie służyli jak On nam służy swoimi łaskami i miłosierdziem.

Jak to wspaniale br. Feliks rozumiał, jak pięknie realizował Chrystusowe wskazanie! Uważał, że to takie proste, jasne, oczywiste i że inaczej nie można. Bóg uczynił mu wielkie rzeczy, a on to pięknie przekazywał. Chyba teraz, zza progu wieczności w świętym obcowaniu z nami, czyni to dalej i może nawet owocniej.

Był sprytny. Miał bardzo szybki refleks. Przy budowie bocznego skrzydła Zakładu na Bielanych robiło się dość głęboki wykop. Wysoka ściana ziemi nie wytrzymała z boku i obsunęła się. Przy wózku z ziemią byliśmy obaj: ja i br. Feliks. On szybko się zorientował i jednym susem go przeskoczył. Mnie przysypał zwał ziemi aż do piersi, przycisnął do wózka. Szczęście, że stałem. Byłoby gorzej, gdybym się nachylił. Nic mi się nie stało, ale musiałem czekać na odkopanie. Każdy ocenił wtedy: br. Feliks to spryciarz, to zuch. A ten drugi... hm... fujara.

Szybko, sprawnie, zręcznie robił br. Feliks zastrzyki. Chętnie korzystano z jego usług. W Raśnie to było. Starszy już, w sile wieku gospodarz z pobliskiej wioski przyszedł z prośbą o tę przysługę do br. Feliksa. Całą serię miał przepisaną przez lekarza. Do ośrodka zdrowia w Wysokiem było 3 km, a tu prawie na miejscu. Następną serię dostał do wstrzyknięcia w żyłę. Brat Feliks zrobił pierwszy zastrzyk. Dowiedziała się o tym felczerka. Spotyka przy okazji księdza przełożonego i z pretensją, a jednocześnie życzliwie uświadamiając, oświadcza, że do takich zastrzyków trzeba mieć upoważnienie lekarskie. Czyżby w klasztorze nie miał na chleb? – kończy swe uwagi pani doktor. W razie komplikacji albo śmierci pacjenta br. Feliks może trafić do więzienia. Naturalnie ksiądz przełożony nie pozwolił br. Feliksowi na dalsze usługi. Z panią doktor byliśmy w przyjaźni. Poszedł więc pacjent na zabieg do niej, a wracając wstąpił do br. Feliksa i skarży się: Pan zrobił to raz, dwa. Nawet nie poczułem kiedy. Ona męczyła mnie pół godziny. Nie mogła znaleźć żyły, trafić. Zamęczę mnie. Nie pójde chyba więcej do niej [...].

ks. Czesław Fajkowski MIC



[...] Brat Feliks, jak wiemy, był w pełnym znaczeniu słowa „totumfacki”. Według słów wieszczki zawsze siły mierzył na zamiary. Jeszcze kiedyś przed wojną ksiądz przełożony w sezonie żniwnym zachęcał go bodaj do kosy. Ta dziedzina była mu wtedy obca. Nieśmiało, skonfundowany odpowiedział: „Proszę ojca, ja już mam tyle fachów.” A teraz w Raśnie br. Feliks urzędowo i faktycznie był rolnikiem, gospodarzem całą gębą. Na jego nazwisko i jego staraniem gospodarstwo rolne klasztoru figurowało jako dzierżawa od państwa. Po wielu latach pobytu w Raśnie br. Feliks miał wielu znajomych i przyjaciół. Przez niego byli przyjaciółmi klasztoru i Zgromadzenia. Zawsze tym, co mógł i jak mógł, służył jako malarz, fryzjer, pszczelarz, szklarz, felczer, weterynarz, dekarz, organista i znający inne specjalności. Znany był w okolicy ze swej uprzejmości i uczynności dla każdego. A znajomość języka niemieckiego w latach okupacji miała wielką wartość [...].

Brat Feliks opuścił Raśnę znacznie wcześniej, jeszcze wiosną. Przedstawił księdzu prowincjałowi, co się stało w Raśnie i jaki jest jej aktualny stan. A było tak: Pewnego razu zgłasza się obywatel z wioski do br. Feliksa i powiada: Pan pamięta, miałem krówkę, z klasztoru dostałem. A gdy Niemcy przyszli, pan przyszedł i tę krowę kazał mi oddać. Ja oddałem. A teraz chciałbym ją mieć z powrotem. No tak, mówi br. Feliks, ale to była krowa klasztorna. Jeżeli pan mi tej krowy nie da, to ja ją inaczej dostanę. Tak się rozeszli. Chyba jeszcze tego dnia krowę temu człowiekowi br. Feliks odprowadził, a sam dokument repatriacyjny piorunem wyrobił i wyjechał za granicę z walizką w ręku. Trzeba wiedzieć, że br. Feliks po powrocie do Raśny w 1941 r. szukał własności klasztornej i rewindykował, co się dało od tych, którzy w prezencje dostali coś od zajmującej klasztor władzy [...].

Na podstawie: Ks. Czesław Fajkowski, *Było to w Raśnie*, Warszawa 1968.



[...] Brat Feliks Holi, z pochodzenia Czech, z zawodu fryzjer. Zawsze uśmiechnięty, życzliwy, gotów ochotnie służyć każdemu. Nigdy się nie

denerwował, nie spieszył. Był dla wszystkich członków Zgromadzenia i pracowników fryzjerem. Strzygł i golił po mistrzowsku. Pracownicy golili się zazwyczaj raz w tygodniu. Chwalili sobie jego golenie tak delikatne. Dla wszystkich miał zawsze czas. Bynajmniej golenie i strzyżenie nie było jego wyłącznym zajęciem. Spełniał z gotowością każdą potrzebną usługę. A więc także był lampiarzem. Funkcja ta nie była ani błaha, ani łatwa. Duże zastosowanie miały lampy karbidowe, własnej produkcji. Pewnego razu przy otwieraniu żelaznego pudła z karbidem nastąpił wybuch acetylenu, który uszkodził bratu oko. Lamp było potrzeba wiele dla domu zakonnego, gdyż dla każdego z księży i braci, także do refektarza. Kościół korzystał po staroświecku ze świec, a br. Feliks bywał też długimi okresami zakrystianem. Wówczas należało do niego dzwonienie na Anioł Pański, na nabożeństwa, sprzątanie całego kościoła, zakrystii, kapitułarza; utrzymanie w porządku szat liturgicznych, przygotowanie ich do nabożeństw, a Mszy św. było zwykle tyle, ilu było księży na Bielanych. Był też br. Feliks w miarę potrzeby i szklarzem; szczególnie w tej dziedzinie było wzmożone zapotrzebowanie jego pomocy w okresie jesiennym [...].

Na podstawie: Ks. Stefan Sydry, *Wspomnienia wychowawcy*, z. 1-2, Warszawa 1972.



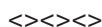
Marianin, „który trzymał papieża za ucho”

Było to około czterdzieści lat temu. Na Stolicy Piotrowej zasiadał pełen pogody ducha i humoru świątobliwy papież Jan XXIII. Na rekreacyjnym, mariańskim spotkaniu zjawił się „ważny” marianin, który powrócił z pielgrzymki do Rzymu. Przechwalał się, że udało mu się dotrzeć bardzo blisko papieża, otrzymać błogosławieństwo i ucałować go w pierścień. Na co w swej pokorze br. Holi odpowiedział: „To nic takiego. Ja papieża trzymałem za ucho”. I była to prawda [...].

W latach 1909–1917 Feliks Holi rozpoczął praktykę w zakładzie fryzjerskim. Najpierw jako uczeń i praktykant, a następnie jako samodzielny fryzjer w Warszawie. Tu wśród swoich klientów poznał młodego, gorliwego kapłana Aleksandra Sękowskiego, który w tajemnicy przed

władzą rosyjską wstąpił do Zgromadzenia Marianów. Ksiądz Sękowski rozpoznał powołanie w tej młodszej i szlachetnej duszy. Skontaktował z o. Jerzym Matulewiczem. Na początku 1918 r. Ojciec Matulewicz przyjął Feliksa do mariańskiego nowicjatu na Bielanach w Warszawie. Tak zaczęła się jego zakonna przygoda z marianami. Gościem marianów na Bielanach bywał ówczesny nuncjusz papieski Achille Ratti, który także tu odprawiał swoje kapłańskie rekolekcje. Przy okazji korzystał z usług dobrego fryzjera, br. Feliksa. Dawano to br. okazję przytrzymywać w czasie strzyżenia przyszłego papieża za ucho [...].

ks. Jan Kosmowski MIC



[...] Wszyscy my kapłani, zwłaszcza w wieku średnim i młodszy, mamy powody do wdzięczności wobec br. Feliksa. Bo dzięki niemu my doszliśmy do ołtarza. Naszym dłoniom powierzono święte naczynia i Najświętszą Eucharystię oraz dano władzę głoszenia słowa Bożego. On cichą pracą i posługą pomagał nam w dojściu do celu.

Jako przełożony br. Feliksa czułem się wobec tego człowieka upokorzony i mały, bo on był dla mnie wzorem i mistrzem życia chrześcijańskiego i zakonnego. My, miejscowi kapłani, po odprawieniu modlitw i liturgii szliśmy do pracy i rozlicznych zajęć, które dyktowały nam codzienne obowiązki. On natomiast całymi godzinami przebywał w świątyni i modlił się za nas i w naszej sprawie. I jeżeli w tej Puszczy jakoś szło dotychczas, to zawdzięczamy to jego modlitwom. On nigdy nie uległ chorobie XX wieku: „Nie mam czasu”. Z ust jego to zdanie nigdy nie wyszło. On zawsze miał czas na modlitwę. Widzieliśmy go od jakiegoś czasu mocno pochylonego, pozbawionego zdrowego wzroku i słuchu, ale to mu nie przeszkadzało w czytaniu świętych tekstów, bo czynił to przy pomocy dużego okularu na rączce, takiej lupy – by lepiej rozumieć Boże plany wobec człowieka. Kiedy inni swój zdrowy wzrok i słuch obracali na oglądanie rozmaitych programów atrakcyjnych, on klęczał u stóp Pana słuchając Jego świętych natchnień. A już w szczególności gorąco się modlił w sobotę wieczorem. Zwłaszcza w te soboty, kiedy były zabawy w terenie. Nawet nie uwierzycie, ale zsuwał sobie w zakrystii dwa klęczniki razem i wchodził na nie, aby być bliżej światła i modlił się, odmawiając z książeczki akty pokutne za tych, którzy się bawili tej nocy albo uprawiali

złodziejstwo, pijaństwo, rozpustę, czy włóczęgostwo nocne. Chciał wynagrodzić za zniewagi, jakie ludzie wyrządzali Bogu [...].

Nigdy na nic się nie żalił i nie uskarżał. Czasami było tylko słyszeć jakieś głębokie westchnienie: „Ach, mój Boże kochany!”, „Ach, mój Boże kochany!” Zapytany, czy br. coś boli?, odpowiadał, że nie, że nic go nie boli. Ale ja wiem, że go bolało, bo taki jęk słyszałem tylko w szpitalu i w domu dla starców. A gdy już pięć dni nic nie jadł, zgodził się na wyjazd do szpitala, gdzie dokonano natychmiast operacji. Znowu trzy dni nic nie jadł. Ani słowa skargi. W szpitalu orzekli, że tak cierpliwego pacjenta jeszcze nie mieli. Dla niego wszystko było dobrze.

A gdy przyjmował święte namaszczenie, to był to akt głębokiej wiary, który wprawiał wielu w zdumienie. To brat się tego nie wstydzi i nie boi? Przecież to znak zbliżającej się śmierci?! Ale on inaczej to przeżywał. Wiedział, że właśnie w godzinie męki jest mu Pan potrzebny [...].

ks. Stefan Ciechomski MIC

Immaculata, 1978, nr 1, s. 13–16.

BRAT TADEUSZ BONAVENTURA JANUSZAJTIS MIC (1906 – 1987)

Urodzony 14 lipca 1906 r. w Częstochowie. Do Zgromadzenia Księża Marianów wstąpił w 1956 r. w Lower Bullingham, Hereford. Po odbyciu rocznego nowicjatu pierwsze śluby zakonne złożył 8 września 1957 r. Przyjmował śluby ks. Józef Jarzębowski MIC. Prowincjałem był ks. Józef Sielski MIC, magistrem nowicjatu ks. Jan Przybysz MIC. Wieczyste śluby zakonne br. Tadeusz złożył 15 sierpnia 1963 r.

Ukończył szkołę podstawową w Częstochowie, a następnie w 1923 r. cztery klasy gimnazjum starego typu w Zakładzie Księża Salezjanów w Oświęcimiu. Dalsze dwie klasy ukończył w II Państwowym Gimnazjum w Tarnopolu. Świadectwo dojrzałości otrzymał w 1931 r. w

Państwowej Średniej Szkole Rolniczej, Wydział Leśny Liceum Krzemienieckiego w Białokrynicy. Potem pracował cztery lata w leśnictwie na Wołyniu w powiecie Dubno.

W roku 1935 r. wstąpił do Papieskiego Seminarium Wschodniego obrządku bizantyjsko-słowiańskiego w Dubnie, gdzie ukończył dwa lata filozofii. Do seminarium był przyjęty warunkowo z powodu choroby. Po dwóch latach na skutek tej choroby musiał przerwać studia, mając zapewnienie rektora ks. A. Dąbrowskiego, że o ile będzie zdrowy – zawsze, bez względu na wiek, będzie mógł kontynuować studia.

W roku 1939 zaczął się leczyć według wskazań ks. Kaweckiego, znanego lekarza z Grębkowa koło Węgrowa, ale kuracji o dobrym wyniku nie ukończył, ponieważ w 1940 r. został aresztowany przez bolszewików. Przesiedział w więzieniu 17 miesięcy.

Po tzw. „amnestii” w sierpniu 1941 r. został zwolniony z więzienia moskiewskiego na Łubiance. Przez pewien czas był buchalterem w Ambasadzie Polskiej w Moskwie.

Po uformowaniu Wojska Polskiego na terenie Rosji z więźniów i łagierników, wstąpił do polskiej armii jako żołnierz 11 czerwca 1942 r. Po przyjeździe do Anglii, został zwolniony z wojska w 1943 r., jako niezdolny do służby wojskowej. Aż do wstąpienia do Zgromadzenia Księży Marianów był stale na zasiłku państwowym i bez pracy. Przebywał w Szkocji i w Londynie.

Będąc już członkiem Zgromadzenia, pełnił różne obowiązki. Był wychowawcą polskiej młodzieży w Zakładzie w Lower Bullingham, Hereford. Bibliotekarzem, zakrystianem w domu rzymskim. Przebywał tam kilka lat. Potem mieszkał w Lower Bullingham przy pięknym naszym kościele.

Odnaczał się gorliwością w wypełnianiu obowiązków zakrystiana i zarazem ceremoniarza. Zawsze skrupulatnie przestrzegał i innych zachęcał do przestrzegania przepisów liturgicznych.

Z charakteru był porywczy, szczególnie w dyskusjach w sprawach liturgicznych, bo nie znosił dowolności w służbie ołtarza. Spory wynikłe naprawiał z pokorą, jeśli komuś zrobił przykrość, zawsze przeprosił.

Ubolewał bardzo, że będąc już w podeszłym wieku i przy zapadaniu na zdrowiu fizycznie i umysłowo nie może posługiwać przy ołtarzu i przygotowywać do Mszy św.

On i br. Jan Stefanowicz, zmarły o rok wcześniej, zawsze pierwsi przychodzili rano do kościoła na prywatne modlitwy i adorację, a wychodzili ostatni po Mszy św. i innych ćwiczeniach zakonnych.

Przez kilka ostatnich lat na skutek osłabionego zdrowia nie był zatrudniany do żadnych zajęć i obowiązków domowych.

Cierpliwie znosił swoje choroby. Nieprzytomny przez wiele dni był pod troskliwą opieką br. Wojciecha i pielęgniarek. Zaopatrzony świętymi sakramentami, zmarł spokojnie w Panu, w środę 8 kwietnia 1987 r. w Lower Bullingham, Hereford, w domu zakonnym Księży Marianów.

ks. Jan Przybysz MIC

Zwiastun Miłosierdzia 1987, nr 7–8, s. 22–23.

BRAT MARIAN JÓZEFIAK MIC (1930 – 1973)

Chcąc napisać parę słów o br. Marianie Józefiaku, zaglądam do jego teczek w kurii prowincjalnej. Bardzo cienka. Znajdują się w niej papiery związane z przyjęciem do Zgromadzenia, podania o złożenie i odnowienie ślubów, parę listów w różnych sprawach, kilka odpisów dokumentów zlecających mu nowe obowiązki. To wszystko. Również w jego biurku poza oficjalnymi dokumentami nic osobistego, żadnej korespondencji, żadnego pamiętnika. O informacje dotyczące jego pracy trzeba więc pytać bezpośrednich przełożonych, współpracowników i parafian, a zwłaszcza członków chóru i orkiestry ze Skórca i Góry Kalwarii. Ale nawet tylko to, co znajduje się w jego teczce, rzuca interesujące światło na całą działalność br. Mariana.

Urodził się 25 maja 1930 r. w Poznaniu. Jego ojciec był stolarzem. Marian miał trzech braci. Przed wojną ukończył zaledwie dwie klasy szkoły podstawowej, a w czasie okupacji chodził tylko przez pół roku do niemieckiej szkoły. Od 12 roku życia był zmuszany do pracy na poczcie kolejowej. Zajęcie to polegało na wyładowywaniu paczek z wagonów. Trzy razy w tygodniu praca wypadała mu w nocy. Po wojnie uzupełnił szkołę podstawową na kursach dokształcających, a następnie uczęszczał do Gimnazjum św. Marii Magdaleny. W trybie przyspieszonym w 1948 r. uzyskał małą maturę z ogólnym wynikiem dobrym.

W okresie nauki w gimnazjum wstąpił do Sodalicji Mariańskiej. Jego życie religijne się ożywiło. W tym okresie zrodziła się w nim myśl o kapłaństwie. Z nieznanых jednak przyczyn przerwał naukę i przez dwa lata pracował zarobkowo najpierw w składnicy papieru, a następnie w urzędzie skarbowym. Cały wolny czas od pracy poświęcał lekturze religijnej. Zwracał też na siebie uwagę proboszcza swym codziennym uczestnictwem we Mszy św. i przystępowaniem do Komunii św.

Owoce tak intensywnego życia religijnego była decyzja wstąpienia do marianów. Nie wiadomo, skąd znał nasze Zgromadzenie. W uzasadnieniu, dlaczego wybrał właśnie ten zakon, napisał, że pociąga go kult Matki Najświętszej.

Spotkałem br. Mariana w nowicjacie skórreckim, do którego zostaliśmy przyjęci 14 sierpnia 1950 r. W naszej gromadzie liczącej ok. 30 kandydatów do życia zakonnego, br. Marian był jednym z najstarszych. Wyróżniał się wśród nas swoją pogodną powagą i dojrzałością. Powierzono mu obowiązki opiekuna chorych. Natychmiast przylgnął do niego tytuł „Pan doktor”. Był bardzo subtelny, nieco nerwowy (zapewne skutki trudnego okresu okupacyjnego) i z tego powodu nieco się jękał. Mówiono nawet, że ze względu na trudności w wymowie ma zamiar zrezygnować z dążenia do kapłaństwa. Uważaliśmy, że nieco przesadza w ocenie swoich braków.

Prosząc o dopuszczenie go do pierwszych ślubów, pisał: „Dziesięć miesięcy spędzonych w Zgromadzeniu dało mi dużo zadowolenia. Wzbudziło pragnienie pozostania w nim na zawsze. Życie i obowiązki w

Zgromadzeniu podobają mi się. Pragnę, by za łaską Bożą, upodobanie to nigdy się nie zmieniło”.

Dnia 15 sierpnia 1951 r. złożyliśmy pierwsze śluby. Wkrótce prawie wszyscy rozpoczęliśmy rok szkolny, a br. Marian nie. Zamieszkał w domu bielańskim, gdzie przez trzy lata pracował w sekretariacie. Ostatecznie w 1954 r. zdecydował, że pozostanie w Zgromadzeniu jako brat. W kilka miesięcy po wywiezieniu nas z Bielan wyjechał do Grudziądza z zamiarem studiowania muzyki i objęcia obowiązków organisty. W 1958 r. został przeniesiony do Skórcza, gdzie również był organistą. Prowadził też chór kościelny i orkiestrę. Jednocześnie w latach 1962/63 – 1965/66 studiował w Instytucie Muzyczno-Liturgicznym *Musica Sacra* im. św. Piusa X w Warszawie. Zachowany dyplom i indeks błyszczą niemal samymi piątkami. Gdy po latach nauki ponownie go spotkałem, zauważyłem, że dawne trudności wymowy prawie całkowicie opanował i wyrobił sobie doskonałą dykcję. Z wielką przyjemnością można było słuchać recytacji i śpiewów kościelnych w jego wykonaniu.

W 1968 r. został przeniesiony do Góry Kalwarii, gdzie zorganizował od podstaw orkiestrę i chór.

W Zgromadzeniu był bardzo ceniony za swą szlachetność, wysokie kwalifikacje fachowe i duże doświadczenie. Dlatego w 1971 r. powierzono mu obowiązki drugiego zastępcy przełożonego, które spełniał do ostatnich dni. Chcąc wykorzystać jego wartości na szerszym polu, zarząd prowincjalny powołał go na członka Komisji do Spraw Apostolatu. Został również zaproszony na zbliżający się konwent prowincjalny. Nie zdążył już wziąć w nim udziału. Brat Marian miał jakieś opory, aby pracować na szerszym polu. Pragnąc wykonywać wszystko możliwie doskonale, być może czuł się jeszcze niedostatecznie przygotowany do takiej pracy. Przemawia za tym jego pragnienie studiowania w Instytucie Wyższej Kultury Religijnej przy Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, którego nie zdążył zrealizować.

Śmierć jego nastąpiła nieoczekiwanie. Będąc w pełni sił, 27 września zachorował na trzustkę. Przewieziono go do szpitala w Piasecznie. Po operacji zmarł tam 4 października 1973 r.

W uroczystym pogrzebie oprócz najbliższej rodziny wzięło udział ok. 50 marianów niemal ze wszystkich domów prowincji, podobna liczba sióstr zakonnych i tysiące parafian z Góry Kalwarii z chórem i orkiestrą na czele. Mszy św. koncelebrowanej przewodniczył ks. generał Józef Sielski MIC. Wygłosił też homilię. Kondukt żałobny na cmentarz prowadził ks. prowincjał Witold Nieciecki MIC. Przemówił nad grobem. Długie przemówienie wygłosił ks. Antoni Łoś MIC, wieloletni przełożony w Górze Kalwarii.

Prosząc o przyjęcie do marianów br. Marian pisał: „Ufam, że praca w szeregach sług Maryi da mi pełnię życia i przyniesie szczęście. Jestem Niepokalanej wdzięczny bez granic za opiekę nade mną i za wskazanie tego prawdziwego ideału, jakim jest służba dla Nieskończonego Dobra. Proszę Wielebnych Ojców, aby pomogli mi wytrwać w postanowieniu”.

Wszyscy przemawiający stwierdzali – a wydaje mi się, że wyrażali myśli i uczucia każdego z obecnych – że br. Marian nie zawiódł się w swej nadziei. Spełniły się jego pragnienia. Od tej chwili będzie jeszcze doskonale służył Nieskończonemu Dobru i cieszył się Jego szczęściem.

Tadeusz Górski MIC

Immaculata, 1973, nr 10, s. 11a–14.



To była jedna z tych chwil w czasie prowadzenia rekolekcji, w których przychodzi ochota zobaczenia wiernych w realiach ich miasta, ulicy, domu. Wracając ze spaceru – widziałem grupę dzieci czekających na swoją Mszę św. Potem w niej uczestniczyłem. Była poprzedzona nauką śpiewu pieśni religijnych. Wtedy widziałem br. Mariana pierwszy raz. Dziwiłem się temu organiście, który nie był znudzony ani ckliwymi tekstami, ani powtarzaną melodią, ani stałym zachęcaniem dzieci do śpiewu.

Przy obiedzie ksiądz przełożony przedstawił mi br. Mariana – nazywając go „naszym profesorem”.

Wiem, że któregoś przedpołudnia poprosiłem, by profesor zagrał pieśń, którą ludzie chętnie śpiewali w Górze. Była doskonałym wprowadzeniem tematycznym do konferencji. Odtąd śpiewał ją z wiernymi prawie na każdej Mszy, na której wypadało mi mówić. Zaczęliśmy ją nazywać po prostu „pieśnią rekolekcyjną”.

Nie pamiętam, jak się to stało, że dotarło do mnie wreszcie, kim jest *profesor*, o którym wcześniej nie myślałem jako o zakonniku. To „odkrycie” było okazją do długiej rozmowy.

Wychodzi na to, że wszystkie ciekawe i dobre rozmowy bywają w nocy. Ale w tym przypadku to nie literatura, to fakt. W pokoju gościnnym domu w Górze Kalwarii siedzieliśmy bardzo długo. Ucichły kroki miłośników telewizji, z refektarza przestały dochodzić odgłosy sprzątanania i przygotowywania nakryć na dzień następny.

Gdyby choć przez moment nasunęła się myśl o niepowtarzalności odkryć takich ludzi jak br. Marian i o niemożliwości przedłużenia rozmowy, po jej skończeniu byłbym porobił notatki. Dziś wydobywam ze wspomnień raczej jej klimat niż treść.

Wiem, że z żarliwością człowieka, którego żarliwość nie jest krzykliwa, mówił o formacji młodych marianów.

Pamiętam, że mówił o sensie bycia bratem. To była dojrzała i w pełni akceptowana droga. Padło chyba nawet zdanie, że ważniejsza jest sama droga niż miejsce, w którym się jest na tej drodze.

Poginęły słowa tej rozmowy. Zapamiętałem natomiast wiosenny ranek po niej. Widziałem, jak br. Marian odmawiał różaniec na ścieżkach ogrodu zakonnego. Myślałem o nim wtedy jak o człowieku, w którego życiu dopełniają się spotkania z Bogiem i z ludźmi.

Kiedy po kilku tygodniach od rekolekcji przyjechałem z przyjaciółmi do Góry Kalwarii, pokazywałem im br. Mariana tak samo spacerującego rano po ogrodzie i mówiłem, że to jeden z tych ludzi, o których warto mówić tytułem nie wydanych wspomnień Zawieyskiego: *Dobrze, że byli*.

Dlatego, gdy w październikowy wieczór usłyszałem w kościele „Na Górze” od ks. Zygmunta, że br. Marian nie żyje, poczułem się biedniejszy o kogoś bliskiego, z kim rozmowa urwała się naprawdę w pół zdania.

A rankiem wypatrywałem śladów na ścieżkach ogrodu, tarasowato schodzącego ku Wiśle.

ks. Jerzy Banaśkiewicz

Immaculata, 1974, nr 3, s. 40–41.

<><><>

Brat Marian zajmuje szczególne miejsce w historii mojego życia i powołania. Pojawił się w Górze Kalwarii w drugiej połowie lat 60-tych jako nowy organista. Spokojny, układny, cichy. Bardzo ładnie grał na organach i pociągał ludzi do wspólnego śpiewu. Wówczas, w parafii górnokalwaryjskiej rządziła tzw. „trójca” – tzn. ks. Antoni Łoś MIC jako przełożony, ks. Edward Florczyk MIC jako ekonom i ks. Piotr Grochowski MIC jako proboszcz. Wśród wielu śmiałych wyzwań i decyzji podjęli także tę: założyć dętą orkiestrę parafialną! Dzieło to powierzyli br. Józefiakowi. Ja i moi koledzy, wśród nich ks. Jan Krajewski MIC i ks. Jan Wójcik MIC, byliśmy ministrantami i początkującymi licealistami. Mieliśmy już pewien „staż muzyczny” w scholii założonej przez ks. Jana Sucharzewskiego i ćwiczonej przez poprzedniego organistę. Dlatego zostaliśmy zaproszeni, aby śpiewać w chórze parafialnym i rozpocząć naukę gry na instrumentach. Zaczęliśmy od fanfar, grając podczas Podniesienia. Potem przysłała kolej na trąbki (ks. Jan Wójcik i ja) i ks. Jan Krajewski na klarnecie. Tak się to zaczęło.

Brat Marian wszedł w bardzo ciężki wir pracy! Nieustanne próby z poszczególnymi instrumentami i zbiorowe, wymagające wiele cierpliwości. Wiele razy nas uciszał. Gdy ktoś nie przyszedł na próbę, brał rower i jechał do tej osoby. Przypominał i zachęcał do wytrwałości. Powoli orkiestra rosła. W pełni rozwoju liczyła ok. 40 członków. Były werble, klarnety, trąbki, alty, saksofony, rogi, puzony, wielkie tuby, wielki bęben i talerze, czyli kompletna orkiestra dęta. Kiedy w Boże Ciało, odświętnie ubrani i w białych rękawiczkach, wyszliśmy na ulice i zagraliśmy, ludzie i żołnierze z koszar patrzyli na nas z niedowierzaniem. Na przedzie szedł nasz „maestro” z pałeczką dyrygenta w ręku. To były piękne chwile. Orkiestra i chór upiększały większe uroczystości. Kiedy ks. Piotr Grochowski MIC słuchał orkiestry, to się wzruszał, często do

łez. Hucznie obchodziliśmy św. Cecylię i Nowy Rok z balem sylwestrowym włącznie. Było przyjęcie, a potem tańce w salce klasztornej. Oczywiście „z przerwą” na Mszę św. Siostry eucharystki robiły wspaniałe bigosy, a oprócz płyt ks. Florczyka do zabawy przygrywał na harmonii br. Marian. Z dużą łysinką, zawsze pełen kultury, ale także zdrowego humoru i pogody ducha. To były czasy!

W 1972 r. z orkiestry do Seminarium Mariańskiego poszło nas czterech (ja, Janek Krajewski, Janek Wójcik i Ryszard Mortka). Z pewnością, po pierwszym roku filozofii klimat w jakim żyliśmy w parafii, w chórze i orkiestrze, sprzyjał tej decyzji. Na obchody 300-lecia Zgromadzenia, aby ją wzmocnić, dołączyliśmy do orkiestry. Jeszcze pod dyktando br. Józefiaka zagraliśmy w maju na głównych uroczystościach na Mariankach. Zakończenie Jubileuszu miało się odbyć 24 września 1973 r. w Puszczy Mariańskiej. Pamiętam jak dziś. Na kilka dni przed tą uroczystością, ja i Janek Wójcik, razem z br. Marianem wyjechaliśmy z Góry Kalwarii do Puszczy, aby tam przygotować miejsce dla chóru i orkiestry. Raniutko pojawiliśmy się na stacji „kolei szerokotorowej” i wsiedliśmy do pociągu. Już podczas podróży br. Marian poczuł się źle. Szukał toalety, bo go mdliło. Nie było toalety w wagonie. Jak tylko pociąg stanął i otworzyły się drzwi, od razu wymiotował. W drodze do klasztoru jeszcze wiele razy zostawał w tyle, aby wymiotować.

Myśleliśmy, że to nic poważnego, że to tylko jakaś niedyspozycja żołądkowa z powodu podróży; ale jak tylko br. Marian się pojawił w klasztorze w Puszczy, od razu księża zawieźli go do szpitala w Skierńewicach. Kiedy w południe wrócił ze szpitala, był bardzo słaby i błądliwy. Widać było, że to coś poważniejszego. Dał nam ostatnie instrukcje, gdzie umieścić na placu przed kościołem orkiestrę, a gdzie chór; i pojechał do szpitala do Warszawy. Dnia 24 września graliśmy bez naszego „maestro”. Zastąpił go pan Kazimierz Zduńczyk, jego „prawa ręka”. Już w Lublinie, w seminarium, dowiedzieliśmy się, że choroba jest bardzo poważna. Rak trzustki. Ksiądz Antoni Łoś, który odwiedzał go w szpitalu, opowiadał, że br. Marian cierpiał wiele i w majakach agonii dyrygował orkiestrą.

Czwartego października otrzymaliśmy wiadomość, że br. Marian Józefiak zmarł w szpitalu. Na pogrzebie za trumną „maestro” szła jego orkiestra, grając marsze żałobne, których zdążył nas jeszcze przed swą

śmiercią nauczyć. Takiego pogrzebu Góra Kalwaria nigdy nie oglądała. Widziałem młodszych kolegów z orkiestry płaczących jak dzieci za ojcem, bo rzeczywiście był dla nas nie tylko starszym bratem, ale i ojcem. To była ogromna strata dla Zgromadzenia, całej parafii, a szczególnie dla członków orkiestry i chóru, bardzo ściśle z nim związanych przez wiele lat! Przedwcześnie straciliśmy utalentowanego organistę i autentycznego zakonnika, spalającego się dla *Chrystusa i Kościoła*. Zmarł, gdy miał zaledwie 43 lata. Niektórzy twierdzą, że ważne rocznice i jubileusze są „opłacane” wielkim „sacrificium”, „oblatio” ofiarowanym Bogu w dowód wdzięczności i dziękczynienia. Śmierć br. Mariana Józefiaka była wielkim „oblatio” Zgromadzenia za Jubileusz trzech wieków naszego istnienia.

Niech Pan przyjmie tę ofiarę i nam pobłogosławi, wzbudzając nowe powołania na braci zakonnych pokroju br. Mariana, „Bożego Trubadura”, który w dzień Świętego Trubadura z Asyżu poszedł tam, gdzie – jak często śpiewał – „Tak, ja mam pałac, tam poza górami...”

Bracie Marianie, dziękujemy, że nas nauczyłeś grać, śpiewać, żyć i umierać dla Boga!

ks. Marek Szczepaniak MIC

Góra Kalwaria, czerwiec 2016 r.

BRAT KLEMENS KIESTRZYŃ MIC (1903 – 2002)

Klemens Kiestrzyń (ur. w miejscowości Orle, w powiecie Wyrzysk na Pomorzu, 12. XI. 1903 – 6. I. 2002), brat marianin, rolnik, strzelec WP. Syn Michała i Katarzyny z domu Barczyńskiej. Do szkoły uczęszczał w pow. Blankwit w Niemczech. Przed 1939 r. pracował jako robotnik rolny w Sypniewie Pomorskim, pow. Sępólno. Nie zmobilizowany w 1939 r., mieszkał tam do 1943 r., opiekując się starymi rodzicami. W kwietniu 1943 r. wcielony do armii niemieckiej. Zbiegł w grudniu 1944 r. do Francji,

po czym zgłosił się na ochotnika do PSZ i od lutego 1945 r. służył w 24 batalionie 7. Dywizji Piechoty Bazy II Korpusu. Po przybyciu II Korpusu do Anglii służył od 1947 do 1948 r. w PKPR. Potem pracował do 1953 r. jako robotnik rolny na kilku angielskich farmach. Pracę tę (według własnych wspomnień) musiał porzucić ze względu na wrogie nastawienie pracodawców do wiary katolickiej. Dnia 15 września 1955 r. złożył pierwsze śluby zakonne w Zgromadzeniu Księży Marianów w Hereford, a w trzy lata później śluby wieczyste. Pracował jako ogrodnik i szatniarz w Hereford. Po krótkim pobycie w Rzymie od 1970 r. pracował w biurze w Fawley Court i prowadził szkolny sklepik dla uczniów.

Brat Klemens zmarł w 2002 r., w wieku 98 lat. W zakonie spędził 46 lat.

K. Grodziska, A. Suchcitz, *Zostanie po nich nikły ślad... Polskie groby na cmentarzach w Laxton Hall, Pitsford Hall, Fawley Court i Henley-on-Thames*, Kraków 2007, s. 90.

BRAT JAN ŁOJKO MIC (1904 - 2001)

Brat Jan Łojko, syn Jana i Katarzyny z domu Kuszmar urodził się 10 marca 1904 r. w Mostach na Grodzieńszczyźnie w diecezji wileńskiej. Gdy miał pięć lat, zmarł ojciec, a dziesięć lat później matka. Ukończył cztery oddziały szkoły rosyjskiej, po czym przez cztery miesiące uczęszczał do szkoły polskiej. Do 19 roku życia pracował w rodzinnym gospodarstwie, w latach 1923–1928 uczył się krawiectwa w Mostach. Będąc krawcem, szył garnitury i płaszcze, a po wstąpieniu do Zgromadzenia – sutanny. Do roku 1928 mieszkał w Mostach, w latach 1928–1945 w Wilnie. Po ukończonym kursie zdobył tam uprawnienia czeladnika. Od roku 1945 do 1958 mieszkał i pracował w Łodzi. Pisał o sobie, że w 14 roku życia zrodziło się w nim powołanie kapłańskie, nie miał jednak warunków materialnych, by móc zrealizować swoje pragnienie. Przeszkodą był także brak wykształcenia w zakresie szkoły średniej,

wybuch wojny światowej i zajęcie się wychowaniem dzieci swojego rodzonego brata po jego śmierci. W 1948 r. starał się o przyjęcie do Zgromadzenia Księża Sercanów w Poznaniu, nie został jednak przyjęty ze względu na wiek. W 1958 r. przeczytał ogłoszenie o przyjmowaniu kandydatów do naszego Zgromadzenia bez względu na wiek i wykształcenie. Natychmiast poprosił o przyjęcie. Prośbę swą motywował „gorącą miłością do Serca Jezusowego i Matki Najświętszej”. Dnia 1 listopada 1958 r. rozpoczął postulat w Skórcu. Tam też pod kierunkiem ks. Stanisława Kurlandzkiego MIC odbył w latach 1959–1960 nowicjat. Dnia 15 sierpnia 1960 r. złożył pierwszą profesję na ręce ks. Czesława Fajkowskiego MIC. Po zakończeniu nowicjatu został skierowany do domu w Skórcu, potem przeniesiony na Bielany, a następnie do Rzepisk. Profesję wieczystą złożył 15 sierpnia 1963 r. w Głuchołazach na ręce ks. Feliksa Żurni. W latach 1961–1967 przebywał w Grudziądzu, a w latach 1967–1978 ponownie był członkiem domu bielańskiego. W połowie kwietnia 1978 r. został przeniesiony do domu w Górze Kalwarii. Przebywał w nim aż do śmierci, która nastąpiła 13 czerwca 2001 r., w 41 roku życia zakonnego.

Brat Jan odznaczał się wielkim nabożeństwem do Chrystusa Pana i Jego Matki. Napisał wiele listów do Pana Jezusa. Świadczą one o jego głębokim życiu wewnętrznym. Przez wiele lat oczekiwał na śmierć w soboty; w ostatnim czasie za bł. papieżem Janem XXIII powtarzał, że każdy dzień jest dobry do tego, aby się urodzić, każdy też jest dobry, aby umrzeć.

Zmarł w miesiącu czci Serca Jezusowego, w dniu odpustu parafialnego św. Antoniego, w dniu fatimskim, o godzinie, kiedy pierwszymi Nieszporami rozpoczynano uroczystość Bożego Ciała.

Oprac. ks. Antoni Skwierczyński MIC

Immaculata, 2001, nr 4–5, s. 24.



[...] Brat Jan Łojko od 14 r. życia pragnął zostać kapłanem i poświęcić się służbie Bogu i bliźnim, ale nie mógł zrealizować swego pragnienia, ponieważ podjął się wychowania do pełnoletności córek swego zmar-

łego brata. Po wydaniu ich za mąż w 56 roku życia wstąpił do naszego Zgromadzenia. W nowicjacie – jak relacjonował magister nowicjatu – odznaczał się cichością, łagodnością, wyrozumiałością, ofiarnością, wielką wrażliwością na dobro i piękno moralne, niezwykłą prawością, szlachetnością, uczciwością, prostotą i bezinteresownością oraz współczuciem wobec ludzi biednych czy skrzywdzonych. W rozumieniu spraw Bożych i ludzkich nie ustępował nowicjuszom ze średnim czy wyższym wykształceniem. Ogromnie pragnął świętości i pełnienia tylko woli Bożej. Był niezwykle skupiony na modlitwie i poświęcał jej długie godziny wieczorne.

Z czasu jego pobytu w nowicjacie i na Bielanych pamiętam jego wielogodzinne adoracje Jezusa w Najświętszym Sakramencie w kaplicy zakonnej i w kościele ojców jezuitów przy ul. Świętojańskiej w Warszawie. Udawał się tam po południu a wracał wieczorem. W latach siedemdziesiątych pewnego dnia został napadnięty przez sześciu młodych zbirów, którzy go mocno pobili na ulicy i uciekli. Z trudem wrócił do domu i powiedział, że Pan Jezus upodobił go w cierpieniu choć trochę do siebie. Zapytany, czy nie nosi w sercu żalu do tych oprawców, odpowiedział: „Kiedy jeden z nich siedział mi na piersiach i bił pięściami w głowę, prosiłem Jezusa, by mu przebaczył. I gdybym go mógł jeszcze spotkać, to bym go uścisnął i przytulił do serca, bo albo jest on sierotą, albo pochodzi z nieszczęśliwej rodziny, w której nie zaznał ojcowskiej miłości”.

Z upływem lat coraz trudniej było mu uczestniczyć we wspólnych modlitwach. Dlatego zrobił sobie w pokoju kapliczkę, w której adorował Pana Jezusa Miłosiernego i Matkę Bożą Ostrobramską. Czczył ją od najmłodszych lat, ponieważ przez 17 lat mieszkał w Wilnie. Modlił się niemal nieustannie, a zwłaszcza w przerwach w szyciu sutann dla księży i kleryków oraz podczas reperowania ubrań. W swojej pracy był niezwykle solidny, dokładny i z dużym poczuciem estetyki. Nigdy nie pozwalał sobie na bylejakość – z miłości do Jezusa i Maryi. Potrafił rozmawiać na tematy życia duchowego ze znajomością rzeczy, która była owocem jego zjednoczenia z Jezusem. Wydaje mi się, że wziął na serio do serca radę: „Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię. Weźcie Moje jarzmo na siebie

i uczcie się ode Mnie – nie od kogo innego – bo jestem łagodny i pokorny sercem, a znajdziecie ukojenie dla serc waszych. Albowiem jarzmo Moje jest słodkie, a Moje brzemię lekkie”.

Brat Jan nigdy nie narzekał. Jarzmo choroby, starości czy życia zakonnego było dla niego słodkie i jego brzemię lekkie. Jest to znak ogromnej dojrzałości duchowej. W moim przekonaniu jest to wyraz autentycznej świętości. Dlatego możemy odnieść do niego słowa św. Pawła: „Nie poddajemy się zwątpieniu, chociaż bowiem niszczyje nasz człowiek zewnętrzny, to jednak ten, który jest wewnątrz, odnawia się z dnia na dzień. Niewielkie bowiem utrapienia nasze obecnego czasu gotują bezmiar chwały przyszłego wieku dla nas, którzy wpatrujemy się nie w to, co widzialne, lecz w to, co niewidzialne” [...].

ks. Stanisław Kurlandzki MIC

<><><>

Dnia 6 listopada 1977 r. grupa chuliganów napadła i mocno poturbowała br. Jana, który wracał z adoracji Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie, wystawionego w kościele ojców jezuitów w Warszawie przy ul. Świętojańskiej. Napad miał miejsce na skwerku blisko przystanku linii tramwajowej nr 6, za skrzyżowaniem ulic Wendów i Zakroczymskiej, około godziny 6 wieczorem. W prezentowanym poniżej opisie napadu br. Jan ujawnia, obok swego ewangelicznego stosunku do wykolejonej młodzieży, znamienne podejście do zjawiska grożącej mu śmierci, swoje życie wewnętrzne, głęboką więź z Chrystusem i Jego Miłosierdziem oraz ducha prawdziwie apostołskiego.

Brat Jan wręczył mi swój rękopis w Wielki Piątek 24 marca 1978 r.

ks. Stanisław Kurlandzki MIC

<><><>

Cud łaski Bożej – br. Jan Łojko MIC

Wypadek z chuliganami w dniu 6 listopada 1977 r. opinia przyjęła z oburzeniem. Zostałem przez wszystkich potępiony. Czego ten stary tam chodzi? Przecież w sąsiednim pokoju mieszka ten sam Jezus.

Przebywa w tabernakulum. A on chodzi tak daleko, bo aż do kościoła Matki Bożej Łaskawej.

Zostałem potępiony przez wszystkich, a najbardziej przez tych, którzy cieszą się wyższą inteligencją, wyższym rozumem. Nie mam nikogo po swojej stronie, bo jeżeli z delikatności niektórzy mi życzliwi nic nie mówią, to jednak w duszy potwierdzają, że nie powinienem tam chodzić. Nie ma rady. Skoro wszyscy tak twierdzą, to trzeba się zgodzić, przynajmniej zewnątrz, bo w duszy ta prawda wygląda inaczej. I dlatego sam dla siebie powtarzam, sam dla siebie i dla Jezusa szukam usprawiedliwienia, bo to powstało z inicjatywy Jezusowej, bo sam nie zdobyłbym się na to. Tyle już lat jestem w Warszawie i nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby chodzić po innych kościołach i szukać Boga, szukać Chrystusa, kiedy za ścianą, tuż obok, w sąsiedztwie mieszka w jednej osobie Chrystus, jako Bóg, Ojciec, Brat, Przyjaciel i Towarzysz, Sąsiad. Dobrze mieszkać z takim Sąsiadem, do którego można zejść i spocząć w każdej porze dnia i nocy.

Ojciec przełożony wciąż mi przypominał o wyjeździe na urlop, ale ja broniłem się i nie chciałem go brać. Nie czułem się przemęczony ani przepracowany. I tak było przez wszystkie lata. Aż dopiero w tym roku naraz poczułem się wyczerpany fizycznie i duchowo. Zaprzagnąłem odpoczynku, oderwania się od pracy. Chciałem się odprężyć nerwowo i zaznać i pokoju duchowego. Postanowiłem wziąć urlop, ale chciałem go spędzić sam na sam z Chrystusem, bardziej zbliżyć się do Niego duchem i sercem. Trwając sercem przy sercu Jezusowym, zaczerpnąć siły fizycznej i duchowej. Zaplanowałem, że przez trzy tygodnie nie będę pracował, ale też nigdzie nie wyjadę: ani do rodziny, ani do drugiego domu zakonnego, ale stąd, z Bielan, będę wychodził na cały dzień na adorację do kościoła Matki Bożej Łaskawej, gdyż tam wystawiony jest Pan Jezus w monstrancji do publicznej adoracji. Chciałem sercem przy Sercu Jezusa spędzić czas urlopu. Myśl ta – jak mi się zdaje – powstała z natchnienia miłości Serca Jezusowego. Stała się ona moim „grzechem”, przyczyną potępienia mnie przez współbraci. Dlatego nie chcę brać tylko na siebie tego „grzechu” i winy, bo to jest wspólny „grzech” – a nawet ośmielałem się twierdzić, że to jest Jego „grzech” i wina, bo Jezus w swojej dobroci chciał mi życie umilić, chciał mnie uszczęśliwić, chciał do duszy

mojej wlać słodycz miłości Ducha Świętego, napełnić mnie niebieską rozkoszą.

Bogu niech będą dzięki za ten „grzech”, za ten cud łaski Bożej, za miłosierdzie nade mną! Łaska to nadzwyczajna i z wielką mocą działała w mojej duszy. Gdy usłyszałem w tym natchnieniu to wołanie, to nie mogłem doczekać się dnia, kiedy będę mógł oderwać się od pracy, a pragnienie bliższego obcowania z Jezusem potęgowało się z każdym dniem. Słowa Pana Jezusa: „Pójdźcie do Mnie wszyscy utrudzeni i obciążeni, a Ja was ochłodzę” stały się żywym faktem, bo stwierdzam to na sobie, a dusza z nadmiaru łaski i szczęścia chciałaby z wdzięczności krzyżeć, aby wszyscy usłyszeli o dobroci Jezusa. Ale nie ma takiego słowa na całym świecie, które mogłoby wyrazić to, co czuje dusza. Dusza czując i widząc nadmiar miłości w zachwycie olśniona, może tylko w cichości, szeptem powiedzieć: Dziękuję Ci Jezu!

To, co dotąd powiedziałem, nie jest jeszcze tym moim grzechem, ale prowadzi do niego, do tej winy, w której widzę przeważający udział Jezusa, Jego litościwego Serca. Prawie trzy miesiące trwało to pragnienie. Dopiero po Bożym Narodzeniu, przed Nowym Rokiem, przyszedł oczekiwany dzień. Parę dni wychodziłem z rana o godz. 10 lub 11, potem jeszcze później w samo południe, a nawet o pierwszej a wracałem z kościoła oo. jezuitów przed godz. 22, bo adoracja kończy się o 19:45. O godz. 20 jest Msza św., tak że wychodziłem z kościoła kilka minut po godz. 21. W ten sposób miałem spędzić swój urlop przez trzy tygodnie. Ale zaszła zmiana i tylko półtora tygodnia wykorzystałem. Natomiast później w każdą niedzielę, kiedy w naszym domu nie było wspólnych modlitw wieczornych, chodziłem do kościoła na Świętojańską.

Tak było przez niemal cały rok, bo aż do 6 listopada. W listopadzie w naszej domowej kaplicy było wspólne nabożeństwo za zmarłych o godz. 19. Dlatego wyszedłem z kościoła Matki Bożej Łaskawej za kwadrans 18. Do tramwaju szedłem szybko, może z 10 min., żeby zdążyć na nasze nabożeństwo. Jakież 50 m od tramwaju przechodziłem przez mały skwerek ścieżką dla pieszych, bo samochody z jednej i drugiej strony kursują ulicami, które przy skwerku łączą się w jedną szeroką ulicę. Normalnie ruch na niej jest dość duży. Kiedy wszedłem na tę ścieżkę na skwerku, kilkanaście kroków od tych połączonych ulic, zauważyłem

grupę chłopców, może z 10, w „wieku wojskowym”. Gdy ich wymijałem nagle jeden z nich wyskoczył i błyskawicznym ruchem uderzył mnie w głowę. Uderzenie było tak bardzo silne, bo jego pięść była chyba uzbrojona w jakieś żelazo, że odbijało się echo. Walił mnie w głowę raz po raz bez słowa. Trzymałem się jeszcze na nogach, chociaż zupełnie oglupiałem. Potem podskoczyli jeszcze inni i zaczęli mnie bić pięścią, w okolicę serca. Przewrócili mnie i dalej tłukli w moją pierś na leżąco. Wtedy oprzytomniałem i zrozumiałem, że chcą mnie zabić. Nareszcie przyszła mi świadomość, że trzeba krzyczeć. Ale gdy krzyknąłem, od razu zakneblowali mi usta. Szybko odciągnęli mnie parę kroków w krzaki, a raczej za mały dekoracyjny żywopłot.

Oto ten „grzech”, za który zostałem potępiony. Wpadłem w szatańską sieć. Zasłabłem, a raczej udawałem zemdlonego. W tym czasie oni szukali chyba mego portfela, bo powywracali kieszenie. Wsadzili dłonie do tylnej kieszeni moich spodni. Wsadzali ręce do marynarki. Patrzyli mi po rękach. Widocznie szukali zegarka. Jednak go nie znaleźli. Biedacy. Tylko natrudzili się a nic nie zarobili. Potem naradzali się, co ze mną zrobić. Gdy sam herszt na mnie siedział, to jeden z nich zapytał: „Co teraz zrobić?” On zaś powiedział spokojnie: „No, trzeba coś zrobić”. Myślałem w tej chwili, że mnie zabiją. Dziękowałem Bogu, że śmierć zaskoczyła mnie w takim momencie. Zdarli ze mnie płaszcz ortalionowy, związali nim moje ręce. Najpierw położyli twarzą do ziemi, ręce założyli do tyłu i zawiązali płaszczem. Zostawili związanego i odeszli. Tak wyglądał mój „grzech”.

Teraz wypada opisać „grzech Jezusa”. Grzech miłości, który pokryje złość szatańską. Dobry Jezus szybko przyszedł mi z pomocą. Uczynił cud miłości. Uczynił cud swego miłosierdzia. Dał mi zakosztować słodczy śmierci ludzi, którzy umierają w Bogu. W obliczu śmierci poczułem w duszy działanie Ducha Świętego. Pokój Chrystusowy ogarnął mnie całego. Doznałem także cudu przebaczenia, bo oto kiedy herszt mnie bił tak silnie i siedział na mnie, szukając po kieszeniach, nie czułem w tej chwili do niego urazy ani nienawiści czy wstrętu, co jest normalne w takich chwilach. Wręcz odwrotnie, w moim sercu wzbudziła się miłość do jego osoby, jakby był to najmilszy mój brat, przyjaciel, co rany zawiąza i pielęguje, a nie morderca zadający rany. W tym ponurym momencie przeżyłem wielki cud dobroci Bożej. Poznałem miłość Pana Jezusa cierpiącego na krzyżu, wypowiadającego słowa modlitwy, słowa prze-

baczenia: „Ojczy, odpuść im winy, bo nie wiedzą, co czynią”. Pan Jezus dał mi poznać taką swoją miłość do grzeszników, że gdybym mógł poznać owego herszta i go odnaleźć, to bym poszedł i 100 km, aby go uściskać i ucałować miłością ojca do syna marnotrawnego i powiedzieć mu słowo przebaczenia: „Bracie drogi, porzuć tę drogę szatańską, nacechowaną złością i okrucieństwem, a wejdź na drogę miłości Chrystusowej!”

Przez cały tydzień modliłem się bez przerwy za niego. A i teraz wciąż w dialogu z Panem Jezusem mówię Mu o nim. Bogu niech będą dzięki za ten „grzech miłości!” A dusza moja w porywie szczęścia z obfitości łaski chce nieprzerwanie śpiewać z Matką Najświętszą dziękczynny hymn „Uwielbiaj duszo moja Pana, bo wielki cud miłosierdzia swego uczynił nade mną!” W rozmowie z Panem Jezusem mówię Mu o swoim życiu i swoich uczynkach dla zbawienia świata. Chciałbym coś zrobić i przyczynić się do nawrócenia grzeszników i siebie, aby cały świat był bardziej święty. Szczególnie zaś młodzieży chuligańskiej, która zesłała na szatańską drogę zbrodniarzy tego świata. Sam ze siebie nic nie mogę i nic nie mam, bo jestem cały Twój. Tylko Ty, mój Boże. Posłuż się moją osobą i nie zostawiaj mnie na uboczu, ale włącz do swego dzieła odkupienia. Naucz mnie cierpieć i włącz do swoich sług cierpiących, bo tylko to mogę. Widocznie zbrodnie tego świata potrzebują ofiary zadośćuczynienia. Skoro wybrałeś cierpienie i krzyż, swoją krew przełałeś za nie. Niech i ja pomogę Ci trochę moją krwią, mym cierpieniem. Włóż na mnie choć trochę ciężaru swego Krzyża, tak jak uczyniłeś to Cyrenejczykowi. Niech choć trochę Ci ulę.

Oto właśnie wielki cud uczynił mi Jezus. Posłużył się moją osobą. Kto wie, może dzięki temu, że mnie napadli, Pan Bóg uratował komuś życie? Bo gdyby w tym czasie przechodził tamtędy jakiś ojciec od dzieci, a nie ja, to mogliby go zabić. Dzieci zostałyby sierotami. Pomyślałem o tym, bo po paru minutach, gdy chuligani odeszli ode mnie, a jeszcze leżałem związany, przechodził tamtędy mężczyzna z kobietą. Dla tych chłopców zabić znienacka nic nie znaczyło. Bogu niech będą dzięki, że właśnie na mnie natrafili. Mnie nic nie zrobili, bo z nimi nie walczyłem. Ktoś inny mógłby walczyć, a wtedy zbrodnia byłaby większa.

Po kilku minutach wstałem, bo ręce związane płaszczem łatwo było rozluźnić. Rozplątałem płaszcz. Odnalazłem książkę, która była w płaszczu. Przeszkadzała im więc ją wyrzucili. Potem znalazłem beret. I tak powoli ubrałem się. Tylko krew lała się ciurkiem z rozciętych warg, bo bili po twarzy i w zęby. Zatomowałem trochę krew i wsiadłem do tramwaju. Na szczęście był prawie pusty. Jechałem nieprzytomny, bo ból był nie do wytrzymania piekący. Rozcięte wargi, głowa strzaskana, pierś zmiażdżona i serce poturbowane. Całe ciało paliło ogniem. Paliłem się sam w sobie, zarazem odczuwałem jakiś duchowy pokój. Czułem się dobrze. Cud wielki uczynił mi Pan Bóg w swoim miłosierdziu! Duch Święty pokrył w duszy wszystko! Ponure wydarzenie stało się dla mnie cudem łaski, bo najbardziej krytyczny moment, kiedy zbrodniarz siedział mi na grzbiecie, nie przeszkadzał przeżywać szczęścia duchowego. Świadomość tego cudu napełniła mnie radością. Zrozumiałem, że to Pan Jezus posłużył się mną. Może moja krew zahamuje złość szatańską w tych młodych ludziach? Myślę, że oni się nawrócą, bo ta miłość do nich, która zrodziła się w mojej duszy, to jest jak miłość Jezusowa, która przejawiała się przez moje uczucie. Dobry Jezus pozwolił mi w mikroskopijnej części dotknąć się swego Krzyża.

Po powrocie do domu spojrzałem w lustro. Moja twarz była dziwnie zmieniona. Odbijało się w niej ciężkie przeżycie. Wyglądałem na bardzo zmęczonego i wyczerpanego. Ale w swojej twarzy zobaczyłem twarz Jezusową! Ten wielki cud miłości do chuligana w moim sercu nauczył mnie, co znaczą słowa Jezusa, które powiedział do apostołów podczas Ostatniej Wieczerzy: „Pragnąłem spożywać tę Paschę z wami”. Przez te słowa rozumiem, że Jezusowi było pilno, by jak najprędzej dokonać zbawienia ludzkości. Mimo iż ten akt zbawczy był bardzo ciężki i bolesny, to jednak miłość do ludzi zwyciężyła. Teraz jakoś wyraźniej pojmuję, z jak wielką miłością Miłosierdzie Boże pochyla się nad grzesznikiem, bo coś z tej miłości i ja przeżyłem. Nie tylko nie czuję żadnej odrazy do nich, ale gdyby dla nawrócenia tej grupy, która mnie pobiła, było trzeba, to poszedłbym tam powtórnie na to bicie i bolesne cierpienie, na ten piekący ból, byle ich uratować.

Bogu niech będą dzięki, że to ja, a nie kto inny wpadł między zbójców. Ten nowy cud łaski Bożej to jakby ukoronowanie wszystkich łask całego

meo życia: poczucie pełnej wewnętrznej radości, jakbym dokonał wielkiego dzieła!

„Po co ten stary tam chodzi? Dlaczego?” – odpowiadam: „Bo Jezus mnie kocha, a moja dusza pragnie kochać Jezusa.”

Immaculata, 1978, nr 4, s. 30–35.

<><><>

Brata Jana, świątobliwego krawca, poznałem, kiedy pierwszy raz przyjechałem z Brazylii na urlop i zatrzymałem się w klasztorze w Górze Kalwarii. Do końca swego prawie 100-letniego życia (97 lat), starał się pracować w swoim fachu. W jego pokoju, nawet wtedy, gdy już nie mógł pracować, zawsze na stole były rozłożone jakieś płótna, nici, igła, naporstek, kreda... Był człowiekiem modlitwy i kontemplacji. Dużo czytał i medytował. Miewał natchnienia i przecucia duchowe, które uważał za pochodzące od Boga i Najświętszej Maryi Panny. Wszystkie swe myśli zapisywał w zeszycie. Czasami dawał innym do przeczytania i oceny. Opatulał się w swoje jesionki i czapki. Nawet zimą schodził do kościoła na Msze św. Na spotkanie z Panem przygotowywał się solidnie. Pragnął umrzeć w sobotę. Tak się jednak nie stało. Poszedł do nieba w przeddzień św. Antoniego, ale z pewnością Niepokalana wyszła mu naprzeciw.

ks. Marek Szczepaniak MIC

Góra Kalwaria, czerwiec 2016 r.

BRAT KAZIMIERZ MICHALUK MIC (1905 – 1990)

Brat Kazimierz Michaluk urodził się 13 kwietnia 1905 r. w Zaścianku Mazie w parafii Siemiatycze koło Bielska Podlaskiego, miasta leżącego na terenie ówczesnej diecezji wileńskiej. Jego ojciec był gajowym, matka zajmowała się domem i wychowywaniem trójki dzieci. W 1920 r. ukoń-

czył cztery klasy szkoły powszechnej. Przez następne dwa lata był w Preparandzie Nauczycielskiej, a kolejne dwa w Seminarium Nauczycielskim w Siedlcach. Prawdopodobnie rodzice pragnęli, aby został nauczycielem. Jednakże Pan Bóg miał wobec niego inne plany. Dnia 8 września 1924 r. rozpoczął nowicjat w Skórcu pod kierunkiem ks. Władysława Mrocza MIC. W tym czasie generałem Zgromadzenia był biskup wileński Jerzy Matulewicz a obowiązki wikariusza generalnego w Polsce pełnił ks. Kazimierz Bronikowski MIC. Pierwsze śluby br. Kazimierz złożył 8 września 1925 r. w Drui na ręce ks. Andrzeja Cikoto MIC. Od 1 września był uczniem naszego gimnazjum. Jednakże już 15 października 1925 r. pracował w Raśnie jako wychowawca w juwenacie. Dnia 1 grudnia 1925 r. przełożeni posłali go do Warszawy. Pełnił obowiązki zakrystiana w kościele marianów przy ul. Moniuszki 3A do 1927 r. W latach 1927–1946 był zakrystianem i asystentem nauczyciela zajęć praktycznych w kolegium na Bielanych (do 1939 r.) oraz intendentem klasztoru. Od 1 stycznia 1946 r. przebywał w Gierałtowicach koło Głuchołaz, a potem w tym mieście. Troszczył się o zakrystię i ogród. Po powrocie na Bielany 1 września 1947 r. pracował ponad rok (do 27. XI. 1948 r.) jako pomocnik w kancelarii naszego kolegium. Od tego dnia aż do 1960 r. ponownie był zakrystianem w Głuchołazach. Przez następne dwa lata pełnił obowiązki administratora domu zakonnego w Lublinie przy ul. Weteranów, skąd w 1962 r. powrócił na Bielany. W roku 1967 został posłany do Góry Kalwarii w celu zagospodarowania parku przy Wieczerniku. W tę pracę włożył całe swoje serce i umiejętności. Drzewostan doprowadził do rozkwitu. W 1988 r. na własną prośbę zamieszkał w naszym domu zakonnym w Sulejówku. Mimo sędziwego wieku i dolegliwości reumatycznych troszczył się o zagospodarowanie terenów leśnych przy domu i na całej posesji. Pełnił także obowiązki pierwszego radnego domu i zakrystiana przy nowo wybudowanym kościele pod wezwaniem św. Józefa. W ostatnim roku zasadził kilkaset drzewek modrzewiowych (szkółka) pod przyszły las. W kwietniu 1990 r. przełożeni skierowali go do sanatorium w Polanicy Zdroju na leczenie dolegliwości reumatycznych. Po powrocie zajął się ulubioną szkółką drzew i pracował przy niej do ostatniej niemal chwili życia, bowiem 6 czerwca 1990 r. Pan Jezus powołał go do siebie zaraz po kolacji i wspólnych modlitwach w kaplicy zakonnej, gdy sięgał ręką do kieszeni po różaniec.

Brat Kazimierz odznaczał się autentycznym duchem ubóstwa konsekrowanego, pokorą, pogodą ducha, wielką kulturą osobistą, taktem, delikatnością w kontaktach z bliźnimi, pracowitością, zamiłowaniem do pracy umysłowej. Był wybitnym mężem modlitwy i zjednoczenia z Bogiem. Dużo modlił się w głębokim skupieniu. Kochał swoje Zgromadzenie. Z wielką miłością i czcią mówił o naszych Sługach Bożych, zwłaszcza o bł. Ojcu Odnowicielu, który udzielił mu sakramentu bierzmowania. Czczył i kochał Niepokalaną Matkę i Patronkę Zgromadzenia. Troszczył się o dusze w czyśćcu cierpiące i o groby marianów w Warszawie na Wawrzyszewie. Jako samouk zdobył dużą wiedzę w zakresie hodowli drzew i krzewów ozdobnych. Wykorzystał ją przy organizacji zażrzewienia parku w Górze Kalwarii przy Wieczerniku, w sanktuarium w Licheniu i w Sulejówku.

Prowincja straciła świątobliwego brata zakonnego, pełnego prawdziwej pokory, dyspozycyjności i posłuszeństwa, ale zyskała orędownika w niebie.

ks. Stanisław Kurlandzki MIC

Immaculata, 1990, nr 6, s. 35–36.



Każda praca była dla niego modlitwą

Zasłużony dla Marianek (Góra Kalwaria), współtwórca parku przy Wieczerniku, miłośnik przyrody. Brat Kazimierz Michaluk urodził się w 1905 r. w miejscowości Mazie w parafii Siemiatycze koło Bielska Podlaskiego, w diecezji wileńskiej. Jego ojciec był gajowym, matka zajmowała się domem i wychowywaniem trójki dzieci. Ze względu na zdolności i wrodzoną dobroć Kazimierza rodzice pragnęli, aby został nauczycielem. Wybrali dla niego taki profil wykształcenia. Jednak najwyraźniej Bóg miał inne plany. W tym czasie Kazimierz poczuł powołanie do stanu zakonnego. Już 8 września 1924 r. wstąpił do nowicjatu Księży Marianów w Skórcu. Tam zetknął się ze świątobliwym ówczesnym generałem marianów, Ojcem Matulewiczem, biskupem wileńskim, dziś już błogosławionym. Spotkania z biskupem wywarły na

młodym br. Kazimierzowi głębokie wrażenie, które owocowało aż do jego śmierci.

Po złożeniu pierwszych ślubów zakonnych (8. IX. 1925 r.) br. Kazimierz został wysłany do klasztoru mariańskiego w Raśnie (dziś Białoruś). Pracował jako wychowawca w juwenacie. Potem pełnił różne obowiązki, m.in. zakrystiana, ogrodnika, intendenta, administratora w domach mariańskich, także w kilku dużych miastach: w Warszawie przy ul. Moniuszki i na Bielanach, w Głuchołazach i Lublinie. W 1967 r. posłano go do Góry Kalwarii w celu zagospodarowania parku przy Wieczerniku na Mariankach. Brat Michaluk zamieszkał w klasztorze przy ul. Sajny. Każdego dnia powoli człapał w za dużych trochę chodakach do odległego ok. 2 km parku, niosąc szpadel lub motykę do żmudnej pracy. Zajęciu temu oddawał się z pasją i poczuciem odpowiedzialności za powierzone mu zadanie. Wkładał w to swoje serce i umiejętności. Wiedzę z zakresu uprawy krzewów i drzew zdobył jako samouk. Wykorzystał ją też przy zadrzewianiu sanktuarium w Licheniu, a później w Sulejówku. Mimo dużej powierzchni parku (4 ha) drzewostan na Mariankach doprowadził do rozkwitu.

Brat Kazimierz był zawsze pogodny, uśmiechnięty, cierpliwy. W klasztorze, zarówno przy stole, jak i w czasie pracy, dawał wzór dobroci i łagodności. Odnaczał się pokorą, pracowitością, wielką kulturą osobistą, taktem, delikatnością w kontaktach z bliźnimi oraz prawdziwym duchem konsekrowanego ubóstwa i posłuszeństwa. Jako człowiek modlitwy, zaufania i zjednoczenia z Bogiem dużo się modlił w głębokim skupieniu. W kaplicy można go było spotkać bardzo wcześnie rano i późnym wieczorem. Czczył i kochał Maryję Niepokalaną, Patronkę marianów. Zwykle podczas drogi na Marianki szeptał modlitwę różańcową. Wielce zabiegał o zmarłych w czyśćcu cierpiących, ofiarowując za nich Bogu swe modlitwy. Troszczył się o groby zmarłych współbraci marianów w Warszawie na Wawrzyszewie.

W 1988 r., czyli po 21 latach posługi na Mariankach, został przeniesiony na własną prośbę do domu zakonnego marianów w Sulejówku. Tam, mimo już sędziwego wieku i różnych dolegliwości zdrowotnych, troszczył się o zagospodarowanie terenów leśnych przy domu i na całej posesji. Zajął się również ulubioną szkółką drzew i pracował przy niej

do ostatniej niemal chwili życia. Pełnił również obowiązki zakrystiana przy nowo wybudowanym kościele pw. św. Józefa.

Jak święcie żył, tak i święcie umarł. Dnia 6 czerwca 1990 r. wspólnie z ks. Chrycem MIC odmawiał różaniec w kaplicy w Sulejówku. Nagle do kaplicy wpadł przez otwarte okno nieznany ptak i zaczął pięknie śpiewać. Ksiądz Chryc, wiedząc, że br. Kazimierz jest miłośnikiem przyrody, odwrócił się, aby zwrócić jego uwagę na piękny śpiew. W tym czasie br. Kazimierz patrząc w niebo, oddawał Bogu ostatnie tchnienie.

To Pan Bóg dał znak, że przyjmuje swego Sługę do wiecznej chwały...

Na podstawie wspomnień ks. J. Kosmowskiego MIC i ks. S. Kurlandzkiego MIC.

<><><>

Brat Kazimierz Michaluk wyróżniał się dużym skupieniem, opanowaniem, niezwykle pobożnością, pokorą. Nawet niesłuszną ostrą uwagę przyjmował prawdziwie po Bożemu, bez bronienia się, bez przejawu jakiegokolwiek urazy. Cichy, skrzętny, oddany sprawie i braciom bez zastrzeżeń. Pełnił funkcję opiekuna garderoby zakonnej, na zmianę był też zakrystianem wzorowym, lata całe wykonywał obowiązki sekretarza parafii: spisywał akta, sporządzał duplikaty i odpisy. Jeżeli zachodziła potrzeba, oddawał się wszelkim posługom domowym, pielęgnowaniu chorych.

Na podstawie: Ks. Stefan Sydry, *Wspomnienia wychowawcy*, z. 1-2, Warszawa 1972.

<><><>

Kiedy byłem ministrantem w Górze Kalwarii (lata sześćdziesiąte i początek lat siedemdziesiątych XX wieku), prawie co dzień widywałem br. Kazimierza i przyglądałem się jego postawie. Podziwiałem go. Budował mnie jego przykład. Był prawdziwym zakonnikiem, oddanym modlitwie i pracy. Kiedy przychodziłem na poranną Mszę św., on już był w jednym z klęczników znajdujących się w przejściu między zakrystią a ołtarzem. Klęcząc, modlił się w skupieniu lub czytał jakąś książkę.

Pamiętam, że dużo czytał. Zawsze cichy, mało mówiący, zatopiony w modlitwie i medytacji. Potem widywałem go, jak po śniadaniu, często na cały dzień wyjeżdżał na Marianki, aby tam sadzić drzewka, krzewy, kwiaty, kosić trawę – jednym słowem dbać o „zieloną świątynię” okalającą Wieczernik. Był wiernym „stróżem” tego świętego miejsca, tak drogiego nam, marianom. Jego rower zawsze był obładowany narzędziami, sadzonkami, torbami nawozów. Zabierał ze sobą jedzenie i picie na cały dzień. Zakładał na głowę chustkę, zaciskając supły na czterech rogach. Jeszcze różaniec i motyka do ręki – i do dzieła! Identycznego br. Kazimierza spotykałem, kiedy przyjeżdżałem do Góry Kalwarii jako kleryk, a potem jako kapłan. Widziałem, że choć mu lat przybywało, to „nie zniżał lotu”. Zapamiętałem go jako „mariańskiego benedyktyna”, który na serio żył dewizą: *ora et labora*, kochał Niepokalaną, Zgromadzenie, jego Założyciela i Odnowiciela. Prowadził życie ukryte z Chrystusem w Bogu.

ks. Marek Szczepaniak MIC

Góra Kalwaria, czerwiec 2016 r.

<><><>

Od wielu lat nasi teolodzy zgłębiali spuściznę ascetyczną i życie wybitnych marianów, aby wydobyć specyfikę naszego Zgromadzenia i ukazać jego charyzmat.

Ty, br. Kazimierzu, dawno już przełożyłeś teoretyczne wywody na język życia. Byłeś bowiem pomostem między starym pokoleniem, a młodą generacją, gorącą pochodnią Bożej miłości, żagłem nastawionym na czuły podmuch Ducha Świętego. Zakochałeś się do szaleństwa w Niepokalanej. Ona była niejako twoją Damą Serca. Codziennie Ją kontemplowałeś, odmawiając na klęczkach cały różaniec. Przy boku naszej Patronki pełniłeś rolę Opiekuna Świętej Rodziny. Gdy tylko wzięłeś do rąk narzędzia pracy fizycznej, zdawało ci się, że trzymasz na rękach Jezusa. Gdy pielęgnowałeś drzewka, to praca była dla ciebie modlitwą. Za ukazanie nam charyzmatu mariańskiego serdecznie ci dziękuję.

W notatniku nr 11 napisałeś taką modlitwę:

*O Maryjo, Matko moja, naucz mnie tajemnicy
Twego życia wewnętrznego.
Naucz mnie żyć w skupieniu,
W Bogu obecnym w mej duszy.
Naucz mnie Twego milczenia,
Użycz mi Twego ducha adoracji.
Przy Tobie i w Twej szkole chcę być i ja również
Małą świętynią Trójcy Przenajświętszej.*

Bracie Kazimierzu, jesteś wyzwaniem dla obecnego i przyszłego pokolenia marianów. Byłeś wierny do końca przepisom zakonnym. Pomimo zmęczenia i starości, poza refektarzem nic do ust nie brałeś, nawet wody. Udowodniłeś nam, iż siłę fizyczną bardziej daje pokarm z nieba niż chleb z ziemi wzięty. Nigdy nie przekręcałeś gałki radia, a w telewizji oglądałeś jedynie wiadomości i sobotni program o świecie przyrody. Zżyłeś się natomiast z książkami i w nich szukałeś pokarmu dla ducha.

Oddałeś Bogu ducha po odmówieniu *Litanii do św. Józefa*, Patrona domu, i po zrobieniu rachunku sumienia. Klęczałeś wówczas pod ostatnimi stacjami Męki Pańskiej, wzrok skierowałeś na tabernakulum, a z przeciwka spoglądał na ciebie miłosiernym okiem św. Józef. Jak zwykle, wyjmowałeś z kieszeni różaniec. Usłyszałem wokół ciebie trzykrotny śpiew ptaszka. Byłem zdziwiony i zaskoczony. Przypomniałem sobie twoje słowa, iż o tej porze ptaki nie śpiewają. Zawołałem na ciebie. Odpowiedziało milczenie”.

ks. Stanisław Chryc MIC

BRAT STANISŁAW NOWACZKIEWICZ MIC (1925 - 2003)

Magister nowicjatu ks. Edward Rytko 4 listopada 1954 r. w liście do prowincjała pisał, że do domu zakonnego w Lower Bullingham w Herefordzie „zgłosił się Stanisław Nowaczkiewicz, przywożąc z sobą wszystkie potrzebne dokumenty, z prośbą o przyjęcie do postulatu na brata zakonnego”. W *świadectwie moralności* ks. J. L. Dryżałowski z Huddersfield napisał o kandydacie: „Kiedy przybył do tutejszej parafii, aż do chwili obecnej, obowiązki swoje religijne wypełniał dobrze i uchodził zawsze za człowieka spokojnego, opanowanego i dobrego katolika. Przez okres dwóch lat był czynnym i wzorowym członkiem Polskiego Parafialnego Koła Śpiewaczego – Varsovia w Huddersfield”.

Sam kandydat do marianów napisał tak w swoim życiorysie: „Urodziłem się 23 lutego w Warszawie, ochrzczony zostałem 8 marca 1925 r. w kościele Narodzenia Najświętszej Maryi Panny. Ojciec mój był z zawodu szewcem, dzisiaj już nie żyje, a matka moja żyje i zamieszkuje nadal w Warszawie. Mam jeszcze dwóch braci i jedną siostrę. Matka, brat i siostra przeszli obóz koncentracyjny w Oświęcimiu i dzięki Panu Bogu wyszli z niego szczęśliwie. W siódmym roku mego życia poszedłem do szkoły powszechnej, którą ukończyłem w 1940 r. Z początkiem 1943 r. zacząłem zarabiać jako najstarszy syn w rodzinie. Po upadku Powstania Warszawskiego (1944 r.), zostałem przez Niemców wywieziony na roboty do Niemiec, gdzie pracowałem w kamieniołomach i na kolei. Po uwolnieniu przez aliantów umieszczono mnie w obozie cywilnym w Erfurt, w którym przebywałem przez kilka miesięcy. Później alianci przerwali mnie na Zachód do Raine, do obozu, w którym pozostałem aż do chwili wyjazdu do Anglii w 1948 r. Po przybyciu do Anglii pracowałem w kopalni węgla w Barnsley do 1952 r. Następnie zmieniłem miejsce pobytu i pracy, przenosząc się do Huddersfield. Po wzięciu udziału w pielgrzymce do Holywell Pantasaph w lipcu 1954 r. dojrzała moja decyzja i postanowiłem dalsze dni mego życia poświęcić Bogu w Zgromadzeniu Księża Marianów w charakterze brata zakonnego.”

W kilku zdaniach życiorysu br. Stanisława zawarta jest historia całego pokolenia Polaków doświadczających dramatycznych skutków wojny.

Jako 19-letni chłopiec, przemocą wyrzucony z własnej Ojczyzny i oderwany od rodziny, potrafił i na wygnaniu ułożyć swoje życie według zasad wiary zaszczerpionych w domu rodzinnym.

W prośbie o przyjęcie do marianów napisał: „Gorąco i szczerze proszę Przewielebnego Ojca Superiora, aby zechciał mnie zaliczyć w grono braci zakonnych swego Zgromadzenia, w którym, jak mam nadzieję w Bogu, będę mógł pracować dla Jego chwały, dla dobra Zakonu oraz nad własnym uświęceniem i udoskonaleniem pod kierownictwem przełożonych Zakonu, który ma za zadanie szerzyć kult Maryi i zdobywać jak najwięcej dusz do wieczności”. W podpisie dodał: „Pokorny sługa w Chrystusie”.

Brat Stanisław po odbyciu rocznego nowicjatu złożył pierwsze śluby zakonne 15 sierpnia 1956 r. Śluby wieczyste złożył po siedmiu latach, 15 sierpnia 1963 r. W życiu zakonnym pełnił zlecone mu przez przełożonych obowiązki w domach zakonnych w Herefordzie, Fawley Court, Rzymie. A najdłużej, bo przeszło 30 lat w Londynie na Ealingu, w posłudze zakrystiana przy parafii. Kiedy stan jego zdrowia znacznie się pogorszył, dla zapewnienia mu skuteczniejszej opieki został w lutym 2002 r. przeniesiony do domu zakonnego w Fawley Court. Zmarł tam 2 czerwca 2003 r. Pochowany został na mariańskim cmentarzu w Henley-on-Thames.

W prośbie z 20 kwietnia 1963 r. o dopuszczenie do złożenia ślubów wieczystych napisał: „Pragnę przy pomocy łaski Bożej Panu Bogu i Matce Najświętszej wiernie służyć w Zgromadzeniu Księży Marianów aż do śmierci”. Jego prośba została wysłuchana.

ks. Kazimierz Jankiewicz MIC

BRAT JAN MIECZYŚLAW OBRĘBSKI MIC (1938 – 2004)

Brat Jan urodził się 21 listopada 1938 r. w Polsce we wsi Ziomek, parafia Baranowo, diecezja łomżyńska, z rodziców Rozalii i Józefa. W domu było dziesięcioro rodzeństwa: trzech braci i siedem sióstr.

W latach 1945–1952 uczęszczał do szkoły podstawowej w Bakule–Ziomku. Po jej ukończeniu przez rok pomagał rodzicom w gospodarstwie rolnym. W 1953 r. rozpoczął naukę w Zasadniczej Szkole Metalowej w Przasnyszu. Ukończył ją po dwóch latach z dyplomem ślusarza maszyn rolniczych. Przez kolejny rok ponownie pomagał rodzicom w gospodarstwie. Wtedy też odkrył swoje powołanie zakonne. Poszedł w ślady starszej siostry Zofii, zakonnicy, oraz kuzyna, ks. Kazimierza Komora MIC. W roku 1957 wstąpił do Zgromadzenia Księżych Marianów.

Po półrocznym postulacie i rocznym nowicjacie przebywał w Skórcu, 15 sierpnia 1958 r. złożył pierwszą profesję. Członkiem domu skórzeckiego był przez siedem lat. Pracował w klasztorze jako konserwator i pomagał w prowadzeniu gospodarstwa rolnego. Śluby wieczyste złożył 15 sierpnia 1965 r. w Stoczku Klasztornym.

W latach 1965–1984 przebywał w domu lubelskim, gdzie mieści się mariańskie seminarium. Przełożeni zauważyli jego zdolności i skierowali do szkoły średniej. Od lipca 1965 do lutego 1972 r. uczył się w Zaocznym Technikum Mechaniczno-Elektrycznym w Lublinie. Ukończył je z tytułem technika-mechanika w zakresie budowy maszyn. Maturę otrzymał w 1971 r. Jednocześnie pracował zawodowo jako ślusarz w Spółdzielni Inwalidów Niewidomych w Lublinie. Uczył się alfabetu Braille'a (1968 r.). Zaliczył kurs samorządowo-ekonomiczny. Ukończył kurs dla kierowców samochodów ciężarowych. W czasie nauki pełnił funkcje konserwatora domowego i kierowcy-mechanika.

Od 1972 r. przez pięć lat był ekonomem domu lubelskiego. Trzy lata studiował w Instytucie Wyższej Kultury Religijnej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Ciągle pogłębiał swą wiedzę zawodową i religijną, pragnąc realizować idee bł. Jerzego Matulewicza, naszego Odnowiciela, który chciał, żeby mariańscy bracia zakonni byli wykształceni i kompetentni. Wszystko wskazywało na to, iż br. Jan miał wystarczające możliwości intelektualne, by skończyć studia teologiczne i ubiegać się o kapłaństwo. Na sugestie niektórych współbraci, aby został kapłanem, odpowiadał, że nie czuje się do tego powołany ani godny. Pragnął służyć Zgromadzeniu i Kościołowi jako brat zakonny.

W lutym 1984 r. został przeniesiony do domu generalnego w Rzymie. Przeżył tam 20 lat, czyli prawie połowę swego zakonnego życia. Praktycznie od początku pobytu aż do 1999 r. pełnił obowiązki ekonoma domu generalnego. W latach 1987–1993 był też ekonomem generalnym Zgromadzenia. W 1999 r. został drugim radnym domowym. Na ile pozwalało mu zdrowie, pomagał ekonomowi domu.

Przygotowywał się do operacji serca. Była planowana na początek 2004 r. Zaczął odczuwać też silne dolegliwości żołądkowe. Badania lekarskie wykazały nowotwór złośliwy żołądka. Dwie operacje oraz zastosowana terapia nie przyniosły rezultatu. Zmarł 20 lipca 2004 r., po sześćcio-miesięcznym okresie cierpienia i walki z chorobą. Podczas choroby bardzo interesował się sprawami Zgromadzenia. Swoje cierpienie ofiarował za mariańską wspólnotę. Modlił się zwłaszcza o błogosławieństwo Boże dla prac zarządu generalnego.

Ostatnią pracą podjętą z jego inicjatywy było odnowienie i zadanie figury św. Józefa w ogrodzie. Święty Józef – patron dobrej śmierci – szczerze odwdzieczył się bratu, wyprosiwszy mu łaskę pięknej śmierci.

Świadectwo bezgranicznego zaufania Bogu, autentycznej wiary, przejawiającej się w pogodnym przyjęciu cierpienia i gotowości na śmierć, jest najlepszym podsumowaniem całego jego życia, wypełnionego pokorną służbą Bogu.



Dziękuję Bogu za wiele dobra wyświadczonego mi przez br. Jana jeszcze w czasach seminarium w Lublinie, a potem podczas mojej posługi w Rzymie. Był mi drogim pomocnikiem i wiernym współbratem. Służył sprawom Zgromadzenia pełen dobroci serca, pokory i skromności. Swoją wieloletnią posługę ekonoma uważał za obowiązek. Poświęcał braciom wiele serca i czasu. Za przykładem Małej Teresy od Dzieciątka Jezus był wierny drobnym sprawom, które przynosiły wiele pomocy wspólnotom. Nigdy się nie skarżył i nie narzekał, choć wiele cierpiał. Pochylając się nad tymi drobnymi sprawami, był nimi całkowicie pochłonięty i im oddany. Umiał włączać się z ofiarną pomocą w wydarzenia, którymi żyją nasze mariańskie misje.

Pomógł mi w przygotowaniu obrazu Chrystusa Miłosiernego dla misji w Kamerunie na audiencję z Ojcem Świętym. Pieczołowicie robiliśmy do niego ramy, aby godnie przedstawić obraz do papieskiego błogosławieństwa. Był żywą pamięcią dobrych tradycji Zgromadzenia. Pamiętał zwłaszcza o chorych i zmarłych współbraciach.

ks. Franciszek Filipiec MIC



Jan Obrębski był naszym wujkiem

Los prowadził go zawsze gdzieś daleko od rodziny. Ale nam wydawał się najbliższym z wujków. To przez tę jego wrodzoną delikatność i serdeczność. Widywaliśmy go tylko wtedy, gdy pozwalały na to urlopy – jego lub nasze. Ale wujek Janek zawsze wydawał się obecny w naszym życiu. Pierwszy pamiętał o życzeniach urodzinowych czy imieninowych. Wiedział, kto choruje, kto potrzebuje pomocy, kto buduje dom, kto zdaje maturę. I pierwszy zjawiał się z pomocą. Po swojemu – cichutko, nieśmiało. Komuś sprowadził zagraniczne lekarstwo, komuś w czasie urlopowego pobytu naprawił pralkę, pomógł przy budowie dachu. A choćby naoliwił skrzypiące zawiasy przy drzwiach.

Nie potrafił siedzieć beczynn timer. Jedyne chwile wytchnienia – w jakich go widywaliśmy – spędzał pogrążony w modlitwie.

Nigdy nie mówił o sobie, o swoich problemach. Nawet wtedy, kiedy już wiedział, jak poważnie jest chory. Wolał pytać o problemy innych. Skromnej postury, sprawiał wrażenie, jakby chciał się ukryć przed ludźmi. Ale przecież ich nie unikał i nie bał się działania. Wychodził ludziom naprzeciw, zawsze pomocny, zręczny organizator. Przy tym nigdy nie narzucał nikomu swojej woli czy punktu widzenia. Nigdy nie piętnował i nie krytykował.

Prawdopodobnie tylko raz w życiu komuś zdecydowanie się sprzeciwił. Tym kimś był jego ojciec, który w nim – jedynym synu – chciał widzieć dziedzica rodu i majątku. Wujek jednak usłyszał inne życzenie innego Ojca – Najwyższego. Idąc za tym głosem, przeszedł przez życie.

Zawsze bardzo dużo czytał. Uczył się i pomagał innym zdobywać wiedzę. Wielu z nas wędrowało z nim po zabytkowych budowlach Rzymu, o których dużo wiedział i lubił opowiadać. Zawdzięczamy mu mnóstwo najpiękniejszych wspomnień.

Lubił zabawy z dziećmi. Dzieciaki go uwielbiały. Zawsze miał w zanadrzu cukierki, grę zręcznościową, jakąś opowieść lub sztuczkę iluzjonistyczną.

Takiego go zapamiętamy – z promiennym, radosnym uśmiechem. Z serdecznym uśmiechem dla wszystkich. Wierzę, że także tam będzie pamiętał o nas – tam, jak pamiętał o nas tutaj.

Rodzina

Wydruk komputerowy Roma – Biblioteka MIC – 40/V/MIC.

<><><>

Brata Jana poznałem w Seminarium w Lublinie na ul. Weteranów 18. Był wówczas ekonomem i wydatnie pomagał przełożonemu i rektorowi, ks. Waclawowi Makosiowi. Wspominając go z tamtego czasu, zawsze go widzę w niebieskiej „Nysce”, którą robił codzienne zakupy, przewoził nas na budowę nowego Seminarium na Bazylianówce lub wiózł do pracy czy na uroczystości do mariańskich placówek. Zawsze dokładny, punktualny, spokojny. Miał dobry wpływ na nas, kleryków, ludzi młodych, często

niedoświadczonych i narwanych. Oprócz uważnego kierowcy widzę go także w kombinezonie jako konserwatora domów (mieszkałiśmy wówczas w Lublinie w kilku miejscach), naprawiającego zlewy, krany, drzwi, okna, ogrodzenie, etc. Był także okres, jeszcze przed rozpoczęciem budowy na Bazylianówce, że chodził do pracy, na warsztaty mechaniczne, jako normalny robotnik. W ten sposób realizował ideę bł. Ojca Jerzego Matulewicza, który pragnął, aby bracia nie wyróżniający się od świeckich ubraniem, wyróżniali się w środowisku pracy postawą prawdziwie chrześcijańską i byli zacznem Ewangelii w świecie.

Potem spotykałem go w Rzymie, kiedy przejazdem bywałem w naszym domu generalnym, gdyż br. Jan został wybrany na ekonoma domu w Rzymie, a także ekonoma generalnego Zgromadzenia. Wpływ na tę zaszczytną nominację na pewno miał ks. Wacław Makoś MIC, który jako radny generalny zaproponował jego kandydaturę, gdyż w Lublinie dobrze poznał jego zdolności. Zapewniał, że na br. Jana można zawsze i wszędzie liczyć. Także w Rzymie. Ten wybór rzeczywiście był opatrnościowy i bardzo trafny. O tym, jak br. Jan był cenny w Rzymie, lepiej mogą zaświadczyć księża, bracia i siostry – wszyscy, którzy w czasie jego pobytu w Rzymie razem z nim żyli, pracowali i modlili się. Ja przybyłem do Rzymu w 2005 r., prawie rok po jego śmierci. Na własnej skórze – jako nowy i niedoświadczony przełożony domu rzymskiego, odczułem wielki brak br. Jana. Siostry św. Józefa straciły „złotą rączkę”, która wszystko naprawiała! Był człowiekiem solidnym i bardzo odpowiedzialnym, oddanym modlitwie. Zostawił piękny wzór dla młodej generacji braci mariańskich.

ks. Marek Szczepaniak MIC

Góra Kalwaria, czerwiec 2016 r.

BRAT KAZIMIERZ OGŁĘCKI MIC
(1909 – 1994)

Brat Kazimierz Ogłęcki zmarł w Licheniu w 1994 r. Żył 85 lat, w Zgromadzeniu 66. Pracował jako ogrodnik na Bielanych, a następnie w Licheniu, gdzie przebywał przez ostatnie 30 lat.

Poznałam go w Licheniu w 1985 r. Był już w podeszłym wieku. Odbierałam go jako człowieka o radosnym usposobieniu. Tak też był postrzegany przez inne osoby. W licheńskim środowisku szczególnymi względami otaczał tych, którzy „przypadli mu do gustu”. Swych wybrańców obdarowywał na przykład, zebranymi w ogrodzie owocami i warzywami. Starał się czynić to dyskretnie.

Przytoczę pewne humorystyczne zdarzenie dotyczące br. Kazimierza, o którym opowiadały znające go osoby. Brat postanowił popływać sobie na kajaku po Jeziorze Licheńskim. Jednak niedługo radował się spokojnym przebywaniem na tafli. Do br. Kazimierza podpłynęli przedstawiciele odpowiednich służb, żądając okazania określonych dokumentów. Nie posiadając dokumentów, a jednocześnie chcąc uniknąć mandatu, z humorem nakreślił swoją sytuację:

*Panie władzo, panie drogi.
Ja, Kazimierz, brat ubogi.
Mam tylko zdrowe nogi,
mogę przynieść z ogrodu pomidorów kosz.*

s. Bożena Szczepaniak CSNJ

BRAT JAN PELDŽIUS MIC
(1890 – 1964)

Drogi Pańskie nie są drogami ludzkimi. Świat zwykł oceniać sukces według standardu produkcji ilościowej lub popularnego uznania. Ale Bóg ocenia sukces nie według uznania tłumu ani poprzez ilościową lub

jakościową wydajność produkcyjną, ani nawet nie przez materialne i widoczne osiągnięcia, lecz tylko według miary, na jaką dana osoba udziela z siebie darów otrzymanych od Pana w pełnieniu Jego woli na ziemi oraz według siły miłości, z jaką to czyni.

To tylko z uwagi na tę Boską ocenę, że ból rozłąki uczyniony marianom, jego rodzonemu bratu, bliskim i wielu przyjaciółom, przez odwołanie br. Jana do Domu Niebieskiego Ojca w dniu 13 maja 1964 r. może być trochę uśmierzony. Przez całe swoje życie br. Jan zawsze podporządkowywał swoją wolę woli Bożej, czyniąc to z najwyższym oddaniem i miłością.

Urodził się w Bimbai na Litwie 29 października 1890 r., z pobożnych i przykładowych rodziców. Jego ojciec uprawiał rolę i był dobrym kowalem. Kunszt ten przekazał Janowi. Matka zmarła młodo. Jan mając 21 lat wyprawił się na dalekie brzegi legendarnej Ameryki, by tam szukać szczęścia.

Na początku krótko pracował w St. Charles, IL oraz w East Chicago, ID. Wkrótce przeniósł się do Chicago. Zamieszkał tam na stałe. Pracował w fabrykach oraz wykonywał inne prace. Był na przykład zakrystianem w kościele Matki Bożej Wileńskiej. Było to ostatnie miejsce jego świeckiego zatrudnienia, zanim wstąpił do marianów w 1917 r.

Pierwsze śluby złożył 6 sierpnia 1919 r. Jak tylko marianie objęli prowadzenie dziennika *Lithuanian World-Wide Daily*, podjął pracę w drukarni. Wykonywał rozmaite zadania. Po ponad 40 latach zakończył swą pracę i to tylko po to, aby zdać Panu sprawozdanie ze swoich talentów, niezmiennej gorliwości w promowaniu chwały Bożej i dobra bliźniego, oraz ze swojej miłości do Boga – jedyne źródła jego niewyczerpanej energii.

Jego choroba była bardzo ciężka, ale nigdy nie dał poznać po sobie, że cierpi najmniejszy dyskomfort lub złe samopoczucie. Wręcz przeciwnie, był doskonałym przykładem cierpliwości przy nieustannym, przenikliwym bólu. Przyjął to wszystko w tym samym duchu poświęcenia i oddania się woli Boga, jaki animował całe jego życie zakonne, które charakteryzowało się niezwykłą gorliwością, prawdziwą pobożnością,

wiernością obowiązkom, pogodnym spokojem ducha, nieskończoną cierpliwością, chęcią pomocy innym i miłością do Zgromadzenia.

Będzie go bardzo brakowało nie tylko członkom jego wspólnoty, ale przede wszystkim jego współpracownikom i wszystkim tym, którzy go znali.

Niech jego dusza raduje się w Panu, któremu tak wiernie służył na ziemi.

The Marian 1964, nr 161, p. 30–31; tłumaczenie z języka angielskiego Marina Batiuk.

BRAT ALEKSANDER PIASECKI MIC (1907 – 1974)

Brat Aleksander Piasecki zmarł 16 listopada 1974 r. Żył 67 lat, w Zgromadzeniu 48. Pracował jako krawiec na Bielanych i w Skórcu.



Wcześniej nie znałem br. Aleksandra. Poznałem go, kiedy byłem w nowicjacie (1974–1975). Przywieziono go z Warszawy do Skórcza, kiedy już był chory. Wymagał stałej opieki. My, nowicjusze, musieliśmy czuwać przy nim dzień i noc, ponieważ choroba postępowała. Miewał częste ataki psychiczno–depresyjne, podczas których chciał gdzieś jechać. W momentach lepszego stanu zdrowia okazywał swoją naturalną dobroć braterską i nieprzywiązanie do dóbr materialnych. Pamiętam, że któregoś dnia podczas mojego dyżuru przy nim nalegał, abym wziął z szafy jego płaszcz skórzany i używał go, bo jak twierdził, jemu już nie będzie potrzebny. Jakby przewidział swoją śmierć, bo kilka tygodni potem, odszedł do Pana.

Jako młody nowicjusz zapamiętałem ten „obrazek”: dokonuje się przeprowadzka brata zakonnego z Warszawy do Skórcza. Przyjeżdża on do nowego klasztoru z jedną (!) walizką w ręku.

ks. Marek Szczepaniak MIC

Góra Kalwaria, czerwiec 2016 r.

BRAT IZYDOR PIECH MIC (1892 - 1966)

Brat Izidor Piech urodził się 22 marca 1892 r. w Raczkowicach w powiecie Radomsko. Tam też spędził swoje dzieciństwo. Po ukończeniu szkoły podstawowej uczęszczał do Gimnazjum Polskiego w Częstochowie, gdzie ukończył cztery klasy. Potem pracował w Częstochowie jako urzędnik w biurze powiatowym. Jednak dalej marzył o nauce. Przeniósł się do Warszawy, gdzie zaliczył jeszcze V klasę w Gimnazjum Chrupczałowskiego przy ul. Szpitalnej. Dnia 6 maja 1914 r. wstąpił do Zgromadzenia Księży Marianów pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia NMP. We Fryburgu Szwajcarskim rozpoczął postulat. Do Zgromadzenia przyjął go sam Odnowiciel Ojciec Jerzy Matulewicz. Pierwsze śluby zakonne złożył 1 stycznia 1916 r. na ręce ks. Mariana Wiśniewskiego MIC. Jednak nie został dopuszczony do ich odnowienia, ponieważ przełożonym wydawało się, że się nie nadaje do Zgromadzenia. Pozostał jednak w Zgromadzeniu. Nadal był posłuszny, nadal spełniał swoje obowiązki, modlił się i trwał.

Po pewnym czasie ponownie rozpatrzono jego sprawę i przyjęto go do nowicjatu w Skórcu. Dnia 4 maja 1925 r. złożył tam śluby zakonne na ręce ks. generała Władysława Mrocza. Śluby wieczyste złożył 2 czerwca 1931 r. na ręce ks. gen. Władysława Mrocza również w Skórcu.

Pracował w Zgromadzeniu na różnych stanowiskach i w różnych domach, długo i z całym oddaniem.

W latach 1925–1927 przebywał na Bielanach. Pełnił obowiązki urzędnika w kancelarii parafialnej. W roku 1927 został przeniesiony do Raśny. Pomagał w pracach domowych oraz pełnił obowiązki organisty w tamtejszym kościele.

W 1930 r. wrócił do Skórcza, gdzie przez 17 lat był organistą przy tamtejszym kościele parafialnym. Pracował też w kancelarii parafialnej.

W latach 1947–1949 przebywał w Warszawie przy ul. Wileńskiej 69. Pomagał w pracach domowych i częściowo zastępował organistę. Od roku 1949 aż do końca życia był organistą w Licheniu z małą przerwą na Stoczek.

Po ciężkich cierpieniach i długiej chorobie zasnął w Panu 17 października 1966 r.

ks. Jerzy Groszewski MIC

Immaculata, 1966, nr 11, s. 16.

<><><>

[...] Brat Izydor, jak pamiętam, był w całej naszej prowincji bardzo popularny, przez wszystkich lubiany i szanowany dla swej prawości, prostoty, pobożności, dobroci, ofiarności i pogody. Nie tylko swoi oceniali go tak dodatnio i wysoko. Także obcym dał się poznać ze swojej uprzejmości, życzliwości i szacunku dla każdego. Znano też powszechnie jego niewinne słabostki. Dzięki nim był każdemu jeszcze bliższy. Należał do grupy tych „pierwszych”, których przyjął do Zgromadzenia i formował do życia zakonnego jeszcze ks. gen. bp Jerzy Matulewicz. Więcej niż pięćdziesiąt lat przeżył w Zgromadzeniu. Daty jego pierwszych ślubów nie pamiętam, ale łącznie z nowicjatem będzie więcej niż pięćdziesiąt. Więc jubilat.

Kiedyś tam przełożonym zdało się, że zakonne życie nie dla niego, więc nie odnowił swych rocznych ślubów. Ale wtedy br. Izydor w swej prostocie i prawości nic w swej postawie nie zmienił. Tak samo był posłuszny, tak samo się modlił, tak samo trwał w swych obowiązkach i we wspólnym życiu.

Po ponownym zrewidowaniu jego sprawy został po raz drugi przyjęty do nowicjatu i złożył śluby jakby nic. Swoją stanowczością w służbie Bożej, w swym stosunku do Zgromadzenia dał najwymowniejszy dowód powołania. Dla niego wszystko było w życiu zakonnym bardzo proste. Był to człowiek mocnej i żywej wiary. Był sobą. Nie miał żalu do nikogo. Sąd o sobie zostawił innym. Robił, co mógł, co umiał; jak mógł i umiał. Nie miał pretensji, żalu ani nie smucił się, że ktoś lepiej grał, śpiewał czy co innego robił. Owszem, szczerze z tego się cieszył, pomagał. Stosunek swój do otoczenia wszędzie i zawsze pojmował jako służbę. Każdemu zawsze, wszędzie gotów był służyć. Uważał to za całkiem właściwe i oczywiste; że inaczej nie może być. Jego miłość i ufność do Matki Najświętszej oraz gorące do Niej nabożeństwo znane było dobrze wszystkim, którzy go znali. Najchętniej i najwięcej wyśpiewywał na chórze pieśni do Matki Bożej. A ten codzienny różaniec w kościele. Wszystko, co tyczyło Matki Najświętszej, bardzo go obchodziło, interesowało. Swoją pogodną, szczerą usłużność każdemu też chyba przejął od Matki Bożej. Zapatrzył się na usłużność Służebnicy Bożej i Jej Boskiego Syna. Nie miał z tym trudności. Uważał, że on właśnie jest do tego, do służby. Gdzie on się tego i kiedy nauczył? Gdzie zdobył tę umiejętność, tę sztukę? Nie wiem. Niewątpliwie była ona w nim darem Bożym. Nie był on w nim próżny. Nie przyjął go na próżno. Owocował on każdego dnia. Usłużność była bogatą treścią jego całego życia, każdego dnia.

Łatwo przypomnieć sobie jego zakłopotanie, gdy o coś go proszono, a on tego nie mógł zrobić, nie potrafił, nie miał czasu. Jak wtedy szukał wyjścia, proponował, sugerował. Bardziej kłopotał się niż bezpośrednio zainteresowany sprawą. Uważał się za jeszcze bardziej małego, mało wartego, za nic. Bo nie potrafi, nie może usłużyć, pomóc, poradzić. Łysinę swoją wtedy dłonią pocierał, z nogi na nogę przestępował. Zmuszał się do bardziej intensywnego myślenia. Cieszył się, gdy dawało to jakiś pomyslny wynik.

Kłopoty, zmartwienia innych były jego kłopotami. Gdy zetknął się z jakąś biedą, bólem, zmartwieniem, nieszczęściem, od razu przejmował się, współczuł. I to nieraz bardzo głęboko. Widać to było w jego twarzy.

W poważnym zamyśleniu, w zainteresowaniu sprawą. Szczerze też cieszyło go powodzenie i radość bliźnich.

Jeszcze jedno. Tak mało dla siebie potrzebował. Naprawdę najpierw szukał Królestwa Bożego. Gdy wypadło mu o coś dla siebie prosić, nieśmiało przedstawiał swą potrzebę, podawał racje. Wydawał się wtedy, jakby przyłapano go na czymś, co chluby nie przynosi; jakby się gęsto i niezręcznie tłumaczyć musiał. Uważał, że mu się w tym życiu nic nie należy, bo już tyle dobra od Boga otrzymał i otrzymuje każdego dnia. Bardzo jest zadłużony. Ale gdy trzeba było się bronić, wymówić od obowiązku ponad jego siły i możliwości, czy też przedłożyć słuszne i ważne swoje potrzeby, potrafił zrobić to roztropnie, choć nie przychodziło mu to łatwo. Tak było swojego czasu z jego wyjazdem do Stoczka.

Niech go Pan Jezus za wierność w małym nad wieloma ustanowi w niebie.

ks. Czesław Fajkowski MIC

Immaculata, 1966, nr 11, s. 17-18.

<><><>

Brat Izydor Piech MIC i jego wiersze

Brat Izydor Piech przez wiele lat był organistą w domach naszej prowincji, głównie w Skórcu i Licheniu, gdzie zakończył swe doczesne życie i spoczywa na mariańskim cmentarzu.

Oto kilka jego wierszy. Dotarły one do Polski w liście od ks. Stanisława Szymańskiego MIC z Balsamão wraz z odręczną adnotacją śp. ks. Władysława Mrocza MIC, „współkolegi” br. Izydora w nowicjacie fryburskim.

„Wszystkie tu zawarte poezje – wiersze są autorstwa śp. br. Izydora Piecha. Przed swoją śmiercią mi je przysłał”.

ks. Władysław Mroczek MIC

Balsamão, 31 maja 1975 r.

Niech wiersze te, pisane – jak widać – z wielkim wkładem serca, a także z pracowitą troską o poprawność formy, będą dla nas świadectwem nie tylko osobistej pobożności śp. br. Izydora, ale także ducha w jakim był wychowany. Wzrastał i żył w rodzinie mariańskiej, odnowionej przez bł. abpa Jerzego Matulewicza.

Serce Jezusa

*Serce Jezusa cierniem okolone,
Cierniami grzechów – czarnej niewdzięczności,
To Serce dotąd przez wielu wzgardzone –
Przyjmuje wszystkich w przybytkach miłości.*

*Lecz tylu w błocie kala swoje ręce
I chciwie chwyta owoc zakazany,
A zamiast szczęścia żyją wciąż w udręce –
I zamiast leczyć krwawią swoje rany.*

*Od Serca Zbawcy tak stoją z daleka,
Chociaż do siebie wciąż słodko ich woła;
Miał biec do Ojca – od Niego ucieka
I promień światła nie olśni im czoła.*

*A wszak to Serce jest słońcem wolności,
Siedliskiem dobra, rękojmą zbawienia;
W Nim płynie źródło przeczystych radości,
W Nim znajdziesz słodką ostoję wytchnienia.*

*To Serce Boże, tak czułe dla ciebie,
Chciałoby wszystkich przygarnąć do łona,
A chłód serc ludzkich czuje obok siebie,
Przez ich niewdzięczność – najboleśniej kona!*

*O nie bądź zbiegiem od Serca Bożego,
Lecz skryj się cały w słodkiej Jego ranie,
A wielka miłość Serca Ojcowskiego
Skarbem łask wszelkich dla ciebie się stanie.*

W hołdzie Wniebowziętej Niepokalanej Dziewicy

*O Matko moja, Wniebowzięta,
Hołd Ci najgłębszy ja składam,
Całaś bez zmały grzechu poczęta,
Przed Tobą w pokorze padam.*

*Przezczysta Pani, Niepokalana –
Dla Ciebie ofiary małe –
I każdą chwilę, co mi jest dana –
I życie poświęcam całe.*

*Matko Najśodsza, Niebios Królowo,
Gdy klęczę przy Twoim tronie,
Serce się moje budzi na nowo
I całe miłością płonie.*

*Cóż więcej mogę ja, biedne dziecię,
Jakież Ci droższe dam dary?
Jak tylko kochać nad wszystko w świecie,
Jak kochać Ciebie bez miary.*

*I bukiet kwiatów składam ubogi –
W prostocie dziecka przed Tobą;
Choć drobny wprawdzie, lecz Tobie drogi,
Gdy miłość jest mu ozdobą.*

*Ty mną nie wzgardzisz w żadnej potrzebie,
Ale przygarniesz do łona,
Bo serce moje tak pragnie Ciebie,
Z tęsknoty cierpi i kona...*

*Witam Cię, Jasna Gwiazdo Zbawienia,
Na falach wzburzonych morza!
Wygnaniec ziemski – szukam wytchnienia
U Ciebie, Matuchno Boża!...*

Młodzi żeglarze

Na wątlej płyniem łodzi –
Wśród wichrów, gromów, burz,
Płyniem, żeglarze młodzi,
W krainę jasných zórz.

Choć łódź się ciężko toczy
Wśród spienionych fal,
Wśród ziemskiej życia nocy
W promienną płyniem dal.

Przed nami złota zorza
Przecudnym światłem łśni.
Najświętsza Matka Boża –
W niej nasza siła tkwi.

Jej promień ciszę daje
I z nocy spędza cień.
Już dla nas słońce wstaje
I cudny świta dzień...

Więc naprzód wciąż wesoło
Tę ziemską prujmy toń,
A pot, co zlewa czoło,
Matczyna otrze dłoń.

Zmartwychwstał Pan

Zbliżył się dzień, radosny dzień,
Do góry wzniesmy czoło.
Niech smutku wszelki pryska cień,
Bo dziś nam tak wesoło.

Zaszumił las w ten piękny czas,
Spadł echem ponad sioła.
Radośnie zadrgał twardy głaz,
Rozkwitły wonne zioła.

*Weselem tchnie, jak w słodkim śnie,
Natura dzisiaj cała
I pieśń radosna szybko mknie,
Zwycięska pieśń, wspaniała.*

*Że powstał Pan, Władca i Bóg,
Grobową pieczęć zdjęta,
Pobity piekiel wieczny wróg,
Zerwane śmierci pęta.
Zbawca i Bóg ukoił ból –
Krwią swoją – źródłem mocy
I z męki krzyża Chrystus Król
Rozproszył ciemność nocy.*

*O witaj nam u rajskich bram...
W Twojej Krwi, słodkiej ranie
Zwyciężym wszelki fałsz i kłam,
O Wodzu nasz i Panie.*

*Nie oręż, stal, co w ciemną dal
Swej zemsty rzuca gromy,
Lecz pokój Twój ukoi ból,
Rozjaśni słońcem domy.*

Maryja – Matka

*Maryja – Matka droga,
Ku Niej się śmiało zbliż,
Bo Ona – Matką Boga,
Podźwignie ciebie wzwyż.*

*Ta Matka pieści czule
I cieszy dziecko swe,
Łagodzi jego bóle,
Ociera każdą łzę.*

*O biegnij do Jej łona,
Gdy szarpie tobą ból,
Gdy dusza w smutku kona,
Do Serca Jej się tul.*

*A Ona słodko ciebie
Pod skrzydła weźmie swe
I wesprze cię w potrzebie,
Ucieszy serce twe.*

*Jak piękne są Jej dłonie,
Jak czyste stopy Jej!
Jak błogo przy Jej tronie!
Tylko się zbliżyć chcesz...*

*Jej błękit wciąż pogodny
Jak gwiazdy złoty blask,
Jej uśmiech tak łagodny,
W nim pełne źródło łask.*

*Jak czule przy twym zgonie
Schyla się Matka ta;
W Jej sercu miłość płonie
Przezysta jako łąka.*

*O głoś Jej chwałę wszędzie
Wysławiaj z całych sił;
Ona ci Matką będzie,
Byleś Jej dzieckiem był.*

W hołdzie Niepokalanej
*Królowo nasza i Pani,
Twego narodu Patronko,
Prosim Cię dzisiaj ze łzami:
Prowadź nas i bądź hetmanką.*

*O w sercach Twoich żołnierzy
Wskrześ iskry Bożego tchnienia
I zapal obudź w nas świeży
Pod znakiem Twego Imienia.*

*Tyś skałą naszej nadziei –
Gdy serce w zmęczeniu kona,
Wpółśród życiowej zawiei
Do swego przytul nas łona.*

*Swych darów spuść nam promienie
I łaski obfite zdroje.
Niech Twej dobroci wejrzenie
Na dalsze krzepi nas boje.*

*Miłości zapal w nas ognie
Do pracy znoonej wśród ludzi;
Niech wroga grot nas ominie,
Świat widzem szczęścia nie ludzi.*

*Tyś dla nas radości słońcem
Przejasną latarnią wiary,
Zbawienia jedynym słońcem,
Błogością, szczęściem bez miary.*

*O Tyś nam Gwiazdą zaranną,
Co ziemskiej przyświeca nocy,
Rozkoszy – ukrytą manną,
Siedliskiem wszechwładnej mocy.*

*Twe Imię słodyczą samą
Przewonnym zapachem róży –
Twe Imię zwycięstwa bramą,
Otwartym portem wśród burzy.*

*Gdy nas już śmierci twarz sroga
Widmem straszliwym otoczy,*

*Zwróć ku nam, o Matko Boga,
Litością promienne oczy.*

*Racz schylić w śmiertelnym zgonie
Nad czołem swego dziecięcia
Matczyne, przezyste dłonie
I przyjąć w swoje objęcia!...*

Immaculata, 1977, nr 2, s. 25–31; *Róże Maryi*, 1978, nr 9, s. 7.



Brat Idzi – poeta

Wszyscy znali „słabość” br. Idziego. Kwaśne mleko i śledzie, za które oddałby przysłówiowe „pół życia”. Imieniny ks. Aleksandra Bołtucia MIC (4. VI. 1930 r.), magistra nowicjatu w Raśnie, za pasem. Gromada „małojców”, czyli nowicjuszy, w ostatniej chwili przygotowuje przedstawienie. Brak jednak życzeń – wierszy. Trzeba zaangażować tych, którzy nie będą „aktorami”.

Jest „poeta” – br. Idzi (w tym czasie był organistą w Raśnie). Nie było łatwo go skłonić do napisania wiersza. „Braciszku!” bracia proszą, „brat by napisał coś na cześć ks. magistra o św. Aleksandrze”. Był to święty biskup Werony. Resztę brat sam dokomponuje.

Wymawiał się skromny i pokorny br. Idzi, ale gdy bracia „zorganizowali” mu garnek wspaniałego kwaśnego mleka – uległ. Wziął ołówek i papier, za pazuchę schował i poszedł do ogrodu z radłem, żeby coś tam plewić. Natchnienie przyszło. Brat Idzi przystaje, odkłada narzędzie pracy, wyciąga zza pazuchy papier, ołówek. Coś zapisuje, chowa. Znowu bierze się do pracy. Po kilku takich próbach, wykorzystując natchnienie (a duch tchnie kędy chce), napisał ponad 20 strof wiersza o św. Aleksandrze, z dedykacją imieninową: Księdzu Aleksandrowi Bołtucowi.

Czegóż w tym wierszu nie było?! Oczarował nas nim i zachwycił.

Wiersz, na zmianę, recytował nowicjusz Józef Pawlak i kilku innych nowicjuszy.

Na tych imieninach był obecny pan Lewandowski, mecenas, brat ks. Władysława Lewandowicza MIC. O! Czegóż to nie dokona garnek kwaśnego mleka?!...

Och, te ciężkie, duże buty

Kiedyś, na długo przed wojną, pilnował br. Idzi sadu, który pod Warszawą wydzierżawili nasi ojcowie. Pewnej nocy zakradł się do sadu złodziej; szkody narobił, owoców nakradł. Strachem podszyty br. Idzi, by go ów opryszek nie uprowadził lub krzywdy mu nie uczynił, narobił wtedy hałasu i krzyku, gdy złodziej był już daleko, daleko od sadu.

Sprawa oparła się o sąd. Zapytał więc sędzia br. Idziego: „Dlaczego pan, widząc złodzieja, nie gonił go?” „A, bo proszę wysokiego Sądu, miałem za ciężkie i duże buty. A gdybym je zgubił, naraziłbym Zakon na straty”.

Wyprawa br. Idziego po śledzie i co z tego wynikło

Nieba by ci br. Idzi przychylił, gdybyś mu śledzia dał. Nie uszło uwadze br. Idziego (a było to w Licheniu), gdy proboszczował tam ks. Józef Glinka MIC (1949–1957), że do Stefanowa – wioski odległej od Lichenia o 8 km – do sklepu przywieziono beczkę śledzi. Za pozwoleniem księdza przełożonego (a był br. Idzi zakonnikiem bardzo posłusznym) wyrusza rowerem z dużą kobiałką do Stefanowa po śledzie. Gdy kupił pełen koszyk śledzi, zawiesił go na kierownicy i rower prowadził. Droga była błotnista. Prowadziła przez wąską, bagienną groblę, otoczoną z jednej i drugiej strony rowami pełnymi wody. W pewnej chwili na grząskiej grobli br. Idzi potyka się, traci równowagę i wpada z rowerem do wody. Woda sięga mu już do piersi. Rower tonie, a nieszczęsne śledzie zaczynają pływać po wodzie.

Co robić? Z bagniska trudno się wydostać. Sytuacja staje się wręcz tragiczna. Szczęściem wkrótce nadbiegli ludzie zwabieni krzykiem naszego brata. Wydobyli go z wody. Wyglądał jak nieboskie stworzenie. Wyciągnęli rower. Ale jak zebrać drogocenne śledzie?

Po naradzie przynieśli z wioski siatkę na kiju, dzięki której, „metodą podrywki”, udało się wyłowić z wody tylko połowę śledzi.

Biedny i smutny był br. Idzi, bo jak mówił, dom na straty naraził, a siebie na pośmiewisko. Przemoczony i brudny wrócił do klasztoru. Z pokorą zniósł wymówki przełożonego; jakoś je „przełknął”. Najgorszą karą dla niego było to, że tegoż dnia pozbawiony był śledzi, choć kosztowały go one tyle trudu i upokorzeń.

Strzeżonego Pan Bóg strzeże

Wielu już śmiałków, pływaków licheńskie jezioro „wciągnęło”. I to na zawsze. Z wodą żartów nie ma.

Pewnego dnia było bardzo gorąco. Z kąpieli nie sposób nie skorzystać. Stąd br. Idzi do jeziora bieży. Pokusa zbyt wielka, by się nie popluskąć w wodzie. Woda wydaje mu się jednak trochę chłodna. Ale jest na to rada. Jak ongiś bywało, tak i teraz zanim br. Idzi wszedł do wody, najpierw jeden koniec linki konopnej do nogi uwiązał, drugi zaś do drzewa koło jeziora. Teraz czuje się bezpieczny. Za daleko nie pójdzie, a nawet i wtedy, gdy Amur (nie mylić z amorem) za piętę go chwyci, przyciągnie się liną do brzegu. Od wieków wiadomo, że „strzeżonego Pan Bóg strzeże” – co się wyklada w języku współczesnym: „Przezorny zawsze ubezpieczony”.

Kiedyż to będę miał celę dla siebie?

Brat Idzi, Stasio i Piotr (Grad) w jednej spali celi (a było to w Licheniu). W tej też celi br. Idzi w swym kąciku przy stoliku pracował. Nuty pisał, pieśni składał (organistą był), grosiki liczył, w papierki zawijał, akta kościelne pisał. I czegoż to jeszcze nie robił? Aha – porządki w pokoju. Stale łóżko br. Piotrowi słał, boć Piotr – skoro świt – do gospodarstwa szedł. A gdy już br. Piotr do celi wracał, to i zapach łąk i pól, a nade wszystko stajni, niczym kadzidło kościelne, cały pokój wypełniał.

I choć dobrze znał br. Idzi łaćskie porzekadło: *O quam bonum et iucundum – habitare fratres in unum* – tęsknił jednak i wzdychał do własnej celi: „Kiedyż to będę miał celę dla siebie”.

I gdy już, już miały się ziścić pragnienia – bo nowy klasztor w Licheniu prawie był gotów – przeniósł się kochany br. Idzi do ciasnej, lecz własnej celi na cmentarzu licheńskim († 1966). A stamtąd już tylko krok do najwspanialszej celi niebieskiej.

ks. Jan Karbasz MIC

Immaculata, 1982, nr 4, s. 92–95.

BRAT PIOTR RAŻINSKAS MIC (1885 – 1973)

Zwykły w swojej służbie Bogu

Osiągnąwszy piękny wiek – 88 lat – po pięciu tygodniach choroby, 16 sierpnia, w Szpitalu św. Krzyża zmarł członek Zgromadzenia Księży Marianów Piotr Rażinskas. Jego życie, jak wielu przybyłych w te strony młodzieńców z Litwy, było niezbyt widoczne. Nie odznaczał się wielkimi dziełami ani zebrany majątkiem, ale do późnej starości chciał służyć Bogu, ludziom, czynić dobrze bliźnim, aby innym było lepiej. Dlatego już jako dorosły, po wielu latach pracy w fabrykach, stołówkach, w służbie kościelnej jako zakrystian albo doglądając ogrzewania i czystości w kościołach, postanowił wstąpić do Zgromadzenia Księży Marianów, aby swoim pracom nadać nowy duchowy sens.

Brat Piotr urodził się 18 marca 1885 r. we wsi Paužuoles, w parafii i sołectwie Balninkai, w powiecie wiłkomirskim. Jego rodzice, Mykolas i Sofija Pusvaškyte–Ražinskai, wychowali dużą rodzinę: czterech synów i trzy córki. Oprócz niego, zdaje się, że przybył do Ameryki jeszcze jego brat Kazimierz, ale chyba już go nie ma pośród żywych.

W latach 1906–1909 Piotr służył w armii carskiej na Kaukazie. Rok po powrocie z wojska i nabraniu większej odwagi, wybrał się za morze, dokąd w tym czasie przybywało wielu młodych Litwinów w poszukiwaniu lepszego życia. Ale w Ameryce nikt nie czekał na niego z otwartymi rękoma. Jak wielu innych, musiał zaczynać od zera, zarobić na chleb pracą swoich rąk i mięśni a jeszcze oddać dług za podróż i pomoc swoim na Litwie. Ale nie opuścił rąk, nie bał się pracy. Razem z innymi robotnikami odważył się nawet uczestniczyć w nielegalnym strajku z powodu krzywd wyrządzanych robotnikom. Za czyn ten spędził miesiąc w areszcie. To były bardzo mocne przeżycia dla niego, szczególnie często przypominane w starości.

Piotr poznał marianów już w 1924 r. i powoli zaczął przygotowywać się do życia zakonnego, ale dopiero w 1931 r. wstąpił do klasztoru. Pracując w klasztorze, a czasem i poza nim, wciąż próbował swoje powołanie. Był z natury dość wrażliwy i skrupulatny. Niezbyt szybko podejmował decyzje. Dopiero w 1941 r. ostatecznie wstąpił do klasztoru i 16 lipca 1942 r. złożył pierwsze śluby zakonne, stając się członkiem Zgromadzenia Księży Marianów.

Gdy był już zakonnikiem, jakiś czas pracował w domu seminaryjnym marianów w Clarendon Hills. Odpowiadał za wewnętrzny porządek. W starym miejscu „Draugasa” – pełnił różne obowiązki, ale najdłużej przebywał w Marianapolis, gdzie odpowiadał za ogrzewanie i naprawy mechaniczne, porządek w ogrodzie itp. Kiedy miał już 79 lat, poprosił przełożonych o lżejsze prace, gdyż zaawansowany wiek nie pozwalał mu wykonywać cięższych prac. Został skierowany do Chicago, gdzie został zakrystianem w kaplicy domowej. Obowiązek ten wykonywał do ostatniej chwili przed chorobą. Kiedy został całkowicie sparaliżowany, odwieziono go do szpitala św. Krzyża.

Był człowiekiem niezwykle rozmownym. Mógł całymi godzinami opowiadać o swojej przeszłości. Poza tym lubił muzykę i do starości grał na klawirze. Dopóki nie chorował, codziennie jeździł na rowerze. Uważając ten sport za potrzebny dla zdrowia.

Mieszkając we wspólnocie zakonnej, cieszył się ze swoich prostych prac. Oddawał je na chwałę Bogu i traktując jako służbę braciom. Życie

zakończył spokojnie, wierząc – według jego słów, że nadszedł już na niego czas „podróży do domu” – to jest do wieczności, do której przez całe swoje życie świadomie się przygotowywał [...].

A. D.

Draugas 1973, rugpiučio 18 d., l. 5; tłumaczenie z języka litewskiego Paweł Chudzik.

BRAT ANTONI ROMANOWSKI MIC (1915 – 2011)

Brat Antoni Romanowski, syn Władysława i Stanisławy Olewnickiej, urodził się 13 czerwca 1915 r. we wsi Słoszewo koło Płońska. Miał starsze od siebie rodzeństwo: dwóch braci Zygmunta i Eugeniusza – oraz siostrę Irenę. Do roku 1929 ukończył pięć klas szkoły powszechnej w miejscowości Smardzewo i pracował w gospodarstwie rolnym rodziców.

W latach 1938–1939 odbywał służbę wojskową w 11. Pułku Ułanów Legionowych, który został rozgromiony przez siły okupanta niemieckiego. Zdemilitaryzowani żołnierze zostali wysłani do prac przymusowych na terenie Prus Wschodnich.

Do Zgromadzenia Księży Marianów wstąpił 1 kwietnia 1946 r. w Pызdrach. Odbył tam postulat zakonny, a następnie nowicjat w Skórcu, który uwieńczył pierwszą profesją zakonną 8 grudnia 1947 r. Na ręce ks. Czesława Fajkowskiego dnia 8 grudnia 1953 r. złożył profesję wieczystą.

Do roku 1984 pracował w gospodarstwie rolnym domu zakonnego w Skórcu. Potem został przeniesiony do pracy w Sanktuarium Matki Bożej Licheńskiej. Mieszkał tam i pracował do śmierci w dniu 18 marca 2011 r., poprzedzonej długą chorobą.



Najstarszy marianin opowiada

Mija 60 lat od jego wstąpienia do Zgromadzenia Księży Marianów. Jest najstarszy w całej polskiej wspólnocie zakonnej. W czerwcu 2006 skończy 91 lat. Brat Antoni Romanowski – bo o nim mowa – urodził się w Słoszewie na Mazowszu. Do Lichenia przybył 22 lata temu. Przedtem służył w Skórcu. Zanim trafił do Zgromadzenia, był ułanem. O swojej przygodzie z kawalerią, uważaną za wojskową elitę z tradycjami, opowiada bardzo chętnie.

Do wojska został wcielony w 1938 r. Od razu dostał przydział do Szwadronu Karabinów Maszynowych 11. Pułku Ułanów Legionowych im. Marszałka Rydza-Śmigłego. W ciechanowskiej jednostce odmeldował się w dzień Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, czyli 8 grudnia 1938 r. Kiedy w nagrodę za dobre strzelanie dowódca dał mu urlop, mimo mrozu i śniegu poszedł pieszo do domu oddalonego o 25 km. Osiem miesięcy później do ułanów z jego pułku dotarły pierwsze niepokojące informacje o zbliżającej się wojnie. Żołnierzy natychmiast przerzucano pod granicę z Prusami Wschodnimi, do miejscowości Krzynowłoga Wielka. Tam zastał ich wybuch wojny.

Tak początek września wspomina br. Antoni: „Około piątej rano nadleciały niemieckie samoloty. Ogłoszono alarm: «Na koń wsiadź!» Podcinano słupy telegraficzne, aby utrudnić Niemcom ruchy. Pamiętam, jak jakaś kobiecina złapała małe dzieciątko na ręce, krowę za rogi i tak próbowała uciekać. W niedzielę, 3 września, w rejonie Pułtuska był atak lotniczy. Moja bułanka dostała szrapnelem w prawe udo, jak się okazało – w tętnicę. Krew sikała strumieniem. Musiałem ją zostawić. Biedna klacz biegła za mną resztkami sił, a ja nie miałem sumienia skrócić jej cierpień...”

W tym miejscu zacytuję fragment wspomnień rotmistrza Józefa Dworakowskiego, które ustnie zaprezentował podczas I Zjazdu Weteranów 11. P.U., jaki odbył się w Ciechanowie 19 kwietnia 1970 r. Wspomnienia te zawarte są w książeczce mec. Ryszarda Juszkiewicza z Mławy pod tytułem 11. Pułk Ułanów Legionowych im. Marszałka Śmigłego-Rydza (Ciechanów 1999 r.), s. 16: „1 września 1939 r. o godz.

4:45 rano pułk został zaatakowany silnym ogniem artyleryjskim na zajętych stanowiskach a następnie bezpośrednio przez silny oddział broni pancernej w ilości około 1 brygady w okolicy wsi Krzynowłoga Wielka. Wobec takiej sytuacji pułk wysłał rozpoznanie w sile dywizjonu pod dowództwem zastępcy dowódcy pułku majora Wieczorkiewicza. Podjazd przekracza granicę byłych Prus Wschodnich i w odległości około 5 km po stronie nieprzyjaciela napotyka bataliony wojsk niemieckich gotowe do przekroczenia granicy. Wywiązuje się walka, w której wzięto kilku jeńców dla zasięgnięcia języka. Pod naporem przeważających sił wroga po dwóch dniach oporu Pułk wycofuje się w ciągłych walkach zajmując nowe pozycje w rejonie Mchowo-Przasnysz. Nieprzyjaciel wzmaga działania wojenne używając wielkiej ilości czołgów, artylerii i broni zmechanizowanej. Umocnienia nasze nie wytrzymały naporu ognia, tym bardziej, że w wielu gniazdach oporu nawet nie zdążył wyschnąć cement, bowiem budowane były z pospiechem prawie w ostatniej chwili [...].”

„Pułk kierował się na Lublin. Żołnierze maszerowali tylko w nocy, w dzień ukrywali się. *Było bardzo gorąco*. Nie mieliśmy nic do jedzenia. Byliśmy głodni i spragnieni. Żywiliśmy się tym, co znaleźliśmy na polach, i tym, co podrzucali nam chłopci. Około połowy września dotarliśmy w okolice Zamościa, gdzie dowódcy powiedzieli, że każdy na własną rękę musi się ratować. Rozsiodłaliśmy konie i puściliśmy je wolno. Niemcy zabrali nasze szable, spalili broń... Część moich kolegów trafiła do obozu jenieckiego, pozostałym udało się uciec. Przebrałem się w cywilne ubranie i udałem się dalej w kierunku Lublina. Potem zacząłem kierować się na Warszawę. Po drodze żywiłem się marchewką. Czasem dobrzy ludzie coś dali. Byłem głodny, zarośnięty, spragniony i wychudzony. Ominąłem Warszawę i szedłem do Płońska. Wreszcie pod koniec września po długiej tułaczce dotarłem do rodzinnego domu” – opowiada były kawalerzysta.

W domu Antoni spędził blisko rok. Potem został skierowany na przymusowe roboty do niemieckiego gospodarza, do miejscowości Russ nad Niemnem. „Moi gospodarze, ewangelicy, byli dobrymi ludźmi. Dbali o swoich pracowników. Jesienią 1944 r. razem z nimi uciekałem przed nadchodzącym frontem. W marcu 1945 r. wreszcie skończyła się moja

tułaczka i pieszo dotarłem do domu rodzinnego. Przywitali mnie radośnie rodzice i rodzeństwo” – wspomina br. Antoni.

Po wojnie przeczytał w gazecie o Zgromadzeniu Księży Marianów – typowo polskim zakonie. To go zainteresowało. Napisał więc podanie o przyjęcie do wspólnoty zakonnej. Nie powiedział o tym nikomu, bo bał się, że jego prośba może zostać odrzucona. Dopiero kiedy dostał pozytywną odpowiedź, powiedział rodzinie o swojej decyzji. Najpierw trafił do Pызdr koło Wrześni. Pod koniec roku 1946 rozpoczął nowicjat w domu zakonnym w Skórcu niedaleko Siedlec, gdzie zajmował się gospodarstwem. Pierwszego maja 1984 r. został przeniesiony do Sanktuarium Maryjnego w Licheniu. Tu przez 17 lat prowadził kancelarię dla pielgrzymów. Bardzo lubił to zajęcie, bo ciągle miał styczność z ludźmi, a to ceni szczególnie. „Lubię służyć ludziom. Zawsze, gdy tutaj przyjeżdżają, pytam ich, skąd są. I tak gdy troszkę więcej z nimi porozmawiam, to oni się bardziej otwierają, opowiadają o swoich problemach, lękach. Mówię im wtedy, żeby zawierzyli Bogu, żeby wyznali Mu swoje grzechy i zaufali Mu. To pomaga” – mówi z uśmiechem br. Antoni.

Wysłuchał i zapisał w Licheniu Wojciech Józwiak, dnia 3 grudnia 2005 r.
Płock/Białystok, Sanktuarium Maryjne w Licheniu – www.lichen.pl

<><><>

Brata Antoniego Romanowskiego poznałem w Licheniu krótko po powrocie z mojej trzeciej Misji Pokojowej ONZ na Bliskim Wschodzie w roku 2002. Wtedy pracował w kancelarii znajdującej się zaraz obok kościoła pw. św. Doroty, obsługującej pielgrzymów przybywających do Sanktuarium Matki Boskiej Bolesnej. Ujął mnie swoją skromnością i chęcią niesienia pomocy. Zaczęliśmy rozmawiać i wtedy wspomniał o swej przedwojennej przeszłości. Jako że uwielbiam rozmawiać ze starszymi ludźmi, szczególnie pamiętającymi czasy przedwojenne i wojenne, to zawiązała się wtedy między nami bliska znajomość, która z czasem przemieniła się, mam głęboką nadzieję, w przyjaźń.

Kiedykolwiek odwiedzałem Sanktuarium (a zdarzało się to średnio dwa razy w roku), to spędzałem z br. Antonim kilka godzin, rozmawiając

o dawnych czasach, ale nie tylko dawnych. Wiele spacerowaliśmy, gdyż brat uwielbiał „buszować” po alejkach Sanktuarium odmawiając Różaniec i często rozmawiając z nowo poznanymi pielgrzymami. Brat Antoni dał się poznać jako osoba niezwykle skromna, dobra, bardzo dyskretna, nigdy nie oceniająca innych mimo ich wad. Czuł w tym było jego wręcz świętość („Jeśli jesteś bez grzechu, to pierwszy rzuć kamieniem...”).

Wspominał o swojej przedwojennej służbie w 11. Pułku Ułanów Legionowych w Ciechanowie, o „chrzcie bojowym” w Bitwie pod Mławą we wrześniu 1939 r., kiedy to jego ukochana kasztanka została zraniona szrapnelem w tętnicę tylnej nogi i wykrwawiła się na śmierć... Wiele rozmawiałem z bratem o życiu, o konieczności życia w trzeźwości, w czystości. Mogę nieskromnie powiedzieć, że częściowo przyczyniłem się do mianowania br. Antoniego na pierwszy stopień oficerski (podporucznik) po moim powrocie z Misji ONZ w 2002 r., kiedy to odwiedziłem Urząd podlegający MON i zajmujący się mianowaniem na stopień oficerski takich weteranów jak br. Antoni. Moja wizyta i rozmowa z jakimś majorem w tym Urzędzie ponoć przyspieszyła promocję brata.

Nie zapomnę, jak wspominał o wizycie gen. Jaruzelskiego w Licheniu (ponoć ukończył on Gimnazjum Księży Marianów w Warszawie), który wysłuchawszy opowieści wojennych brata, obiecał mu przysłanie szabli. Obiecana „szabla Jaruzelskiego” nigdy nie dotarła do br. Antoniego... Jednak opowiadał o tym bez cienia jakiegoś żalu czy zawodu. Taki był...

Nie zapomnę też mojego nawiedzenia brata, kiedy leżał w szpitalu w Koninie i był już bliski śmierci (było to chyba ok. 3 lat przed jego śmiercią). Doszedł do siebie dzięki lekarzom, aczkolwiek uważam, że głównie dzięki opiece Boskiej Opatrzności i pani Wandy Hypki z Konina, która również opiekowała się przebywającym w tym samym czasie kilka sal obok ks. kustoszem Eugeniuszem Makulskim MIC. Pani Wanda codziennie karmiła br. Antoniego własnoręcznie ugotowanym rosołem, który jak uważam, pomógł postawić go na nogi.

Bóg dał, że zostałem poinformowany o śmierci br. Antoniego (dużo wcześniej spisał listę osób, które należy zawiadomić w przypadku jego śmierci) i mogłem uczestniczyć w jego ostatniej drodze 21 marca 2011 r.

I tak spoczął na cmentarzu zakonnym w Licheniu mój ukochany Złoty Ułan – brat porucznik Antoni Romanowski.

Wojciech Józwiak

Białystok, styczeń 2017 r.

<><><>

Wspominam br. Antoniego z sympatią. Przez długie lata był ogrodnikiem w Skórcu i miał pod swą pieczę szklarnię. A szklarnia, wraz z jej warzywami, szczególnie z wczesnymi pomidorami, była wielką pokusą dla nowicjuszy. Pamiętam, że wokół szklarni br. Antoniego było zawsze masę zabawnego zamieszania i dowcipów. My, nowicjusze, szukaliśmy przeróżnych sposobów, aby się tam „włamać” i przechytryć br. Antoniego. On zaś ze swojej strony, wchodził w naszą grę. Pobłażliwie nas strofował i pouczał, że przyszli zakonnicy i kapłani winni być uczciwi i prawdomówni... Wygłaszał nam „konferencje”. Naprawdę było z tym sporo zabawy. Pogodny, życzliwy, pracowity, dostępny i żyjący w symbiozie z przyrodą, br. Antoni był dla nas naprawdę starszym bratem.

Niech odpoczywa w „szklarni niebieskiej!”

ks. Marek Szczepaniak MIC

Góra Kalwaria, czerwiec 2016 r.

<><><>

Z br. Antonim miałam kontakty podczas mojego dwukrotnego pobytu na placówce w Licheniu, to jest w latach 1985–1988 oraz 1995–2008.

Podczas pierwszego pobytu pracowałam w recepcji Domu Pielgrzyma. Natomiast br. Antoni posługiwał w kancelarii pielgrzymów. Moja z nim współpraca na co dzień była bardzo bliska. Z radością dzielię się moimi spostrzeżeniami na temat jego osoby.

Był człowiekiem bardzo wrażliwym na potrzeby innych. Zauważał różne ludzkie biedy i na miarę swoich możliwości starał się pomagać tym, których Bóg stawiał na jego zakonnej drodze. Bardzo łatwo, wprost spontanicznie, nawiązywał kontakty z młodzieżą męską. Dzielił się z chłopcami swym bardzo bogatym doświadczeniem z przeszłości. Często

zwracając się do swego młodego rozmówcy słowami: „Bratku drogi”, kładł jednocześnie rękę na jego ramieniu w geście zaufania i bliskości.

Pielgrzymi darzyli go wielkim, szczerym zaufaniem. Miał pośród nich swoich przyjaciół. Darzył ich szczególną sympatią.

Gdy wróciłam do Lichenia po kilkuletniej przerwie, br. Antoni ze względu na zdrowie i wiek pracował już tylko w domu zakonnym, wypełniając obowiązki polecone mu przez jego przełożonych. Dużo czasu spędzał na modlitwie, przedstawiając powierzone mu sprawy i prośby Bogu.

Po moim wyjeździe z Lichenia kontaktowałam się z nim telefonicznie, szczególnie z racji świąt, imienin i innych ważniejszych okoliczności. Pod koniec jego życia z powodu stanu zdrowia, kontakt z nim stał się niemożliwy.

s. Bożena Szczepaniak CSNJ

BRAT ANTONI RUTKOWSKI MIC (1911 – 1979)

Antoni Rutkowski (Babino, powiat Lipowiec, województwo kijowskie, 11. VI. 1911 – 29. X. 1979), brat marianin, sierżant WP. Syn Ignacego i Barbary z domu Tyczyńskiej. Do szkół uczęszczał w Krakowie oraz uczył się na kursach dokształcających w Liceum Krzemienieckim. Od 1934 r. służył w Wojsku Polskim, w 2. Pułku Lotniczym w Krakowie, kończąc m.in. Centralny Kurs Mechaników Samolotowych we Lwowie (1936–1937). Podczas kampanii wrześniowej był w obsłudze naziemnej 23. Eskadry Towarzyszącej 2. Pułkowi Lotniczemu Armii „Kraków” pod Przemyślem i pod Rzeszowem. Po przedostaniu się do Anglii służył w 308. Dywizjonie Myśliwskim, następnie w 3107. Eskadrze Technicznej i do zwolnienia z PSP w ramach PKPR w 6316. Eskadrze Technicznej 316. Dywizjonu Myśliwskiego. Odznaczony m.in. BKZ z Mieczami i dwukrotnie Medalem Lotniczym.

Brat Antoni wstąpił do Zgromadzenia w USA. Śluby zakonne złożył w 1952 r. Pracował tam najpierw jako mechanik. Przeniesiony do Anglii, podobne prace wykonywał w Fawley Court.

Zmarł w roku 1979, w wieku 68 lat, w 29 roku powołania zakonnego.

K. Grodziska, A. Suchcitz

Zostanie po nich nikły ślad... Polskie groby na cmentarzach w Laxton Hall, Pitsford Hall, Fawley Court i Henley-on-Thames, Kraków 2007, s. 100.

BRAT MARIAN RZAŻEWSKI MIC (1903 – 1986)

Brat Marian pełnił obowiązki ogrodnika, stolarza i introligatora. Był przykładem pracowitości i ubóstwa. Zmarł w roku 1986 w wieku 83 lat, w 53 życia zakonnego.

<><><>

[...] Brat Marian przybył do Raśny tą samą drogą, co ja, w parę miesięcy po mnie. Radość wielka zapanowała, gdyżśmy go ujrzeli. Ksiądz Bronikowski ucieszył się, że będzie nas więcej. Brat Feliks ucieszył się, że br. Marian, jako człowiek roli, zajmie się gospodarstwem. Ja ucieszyłem się dla obu tych racji i jeszcze że ze Skórcza przyjechał. Siostry cieszyły się naszą radością. Ubolewał tylko br. Marian nad sobą, że słaby jest, że z ciężką pracą nie może się uporać. Miał dużo praktycznej zaradności. Niedomagania fizyczne w dużym stopniu wpływały na jego usposobienie, samopoczucie. Nacierpiał się wiele przez zimę całą, gdy musiał kolejno brać udział w stróżowaniu nocnym na torach kolejowych [...].

ks. Czesław Fajkowski MIC

Było to w Raśnie, Warszawa 1968.

BRAT STANISŁAW SAROSIEK MIC
(1871 – 1941)

Raśna – Nowicjat

Podstawą materialną klasztoru było duże gospodarstwo rolne, zajmujące 104 ha ziemi uprawnej, położonej jednak kilka kilometrów od klasztoru. Przy klasztorze był kilkuhektarowy sad i zabudowania gospodarskie. Na granicy sadu przepływała głęboka i wartka rzeczka, szeroka na około 20 m. Nad nią była łąka o słodkiej trawie. W sadzie rosły stare drzewa, prawie nie owocujące. Natomiast pasieka składała się z 40 uli. Zajmował się nią wytrawny pasiecznik, br. Sarosiek, będący już w podeszłym wieku. Był to cichy, spokojny pracownik, niskiego wzrostu, otyły, o powolnych ruchach. Jako dawny felczer w wojsku rosyjskim, z zamiłowania trudnił się leczeniem braci.

Z pasieki bartnik zbierał rocznie po kilkadziesiąt pudów miodu. Znaczna jego część szła na sprzedaż. W drugim roku mego pobytu na wiosnę wcześniej nastąpiły ciepłe dni. Brat Sarosiek, chcąc oszczędzić cukru na podkarmianie, wystawił ule na dwór. Ale nagle temperatura spadła. W jednym z uli padł cały rój. Zostawił brat ul otwarty, żeby pszczoły z innych uli mogły wybrać z niego resztki miodu. To dało początek rozbójnictwa pszczół. Poczęło się wykradanie miodu z innych uli. Straż w ulu bez litości wymordowała napastników. Co dzień koło ula leżało po kilkadziesiąt zakłutych pszczół–napastników. Bartnik usiłował opanować ten rozbójniczy proceder. Wszystko było bez skutku. Wpadłem na pomysł, żeby ule ponownie wstawić do domu i zasłonić okna. Tak też zrobiono. Okazało się to skutecznym środkiem. Po dokładnych oględzinach brat pasiecznik z rozpaczą stwierdził, że z 40 rojów pozostało mu zaledwie 13, i to słabych. Taka katastrofa spotkała go pierwszy raz w życiu. Dochód z pasieki był przekreślony na parę lat.

Pośród braci opowiadano liczne anegdoty o sposobach leczenia przez br. Sarosieka i sposobach naciągania go na stosowanie do leczenia miodu. Bardzo trudno było go od niego wydostać. Poważniejszego zachorowania przez trzy lata mego pobytu w Raśni nie było. Ale przy gromadzie około pół setki ludzi czasami zdarzały się lekkie zapadnięcia.

Brat Stanisław uznawał tylko dwa lekarstwa: piołun i miód. Tym drugim leczył, gdy się przekonał, że pierwsze nie poskutkowało. Piołunu dawał ponoć ogromne dawki, na szklanki. Po takiej kuracji wątroba mogła zamienić się w kamień. Nasi „chorzy” nie kwapili się do picia piołunu. Potrafili ominąć ten etap kuracji. Wtedy mogli używać miodu, aż „po brodzie kapało”.

Brat Stanisław parę razy towarzyszył ks. Bronikowskiemu MIC w jego objazdach kwestarskich. W klasztorach naszych nie przelewało się. Przełożeni pozwolili br. Sarosiekowi na samodzielne kwestowanie. Postura jego i odzież z czarną piuską na głowie nadawały mu wygląd upodabniający go do dawnych kwestarzy. Wyjeżdżał furą, zaopatrzony w zaświadczenie przełożonych. Po uprzednim uzyskaniu pozwolenia kurii diecezjalnej rozpoczynał kwestowanie. Najpierw zajeżdżał do proboszcza, prosząc go o pozwolenie i wskazanie wsi, w których może kwestować. Proboszcz zwykle w niedzielę powiadamiał o tym z ambony. Przyjechawszy do upatrzonego z góry gospodarstwa, nasz kwestarz zapraszał mieszkańców wsi na zapoznanie do chaty, w której się zatrzymał. Wieczorem o zapowiedzianej godzinie, gdy się zeszli, wygłaszał do zebranych przemówienie, które sam nazywał „drabinkami do nieba”, ponieważ o prawdach katechizmu mówił jak o szczeblach niezbędnych do osiągnięcia szczęśliwej wieczności. Układał je tak, że jedna z drugiej wypływała. Przemawiał z zamkniętymi oczyma. Bracia z tego żartowali. Wypytywali go, dlaczego tak postępuje. Wyjaśniał, że kiedyś, gdy przemawiał, jakaś dziewczyna roześmiała się mu prosto w oczy. Tak go to zbiło z pantałyku, że musiał przerwać, bo nie mógł przypomnieć sobie dalszego ciągu. Brat Stanisław kwestował z dobrym skutkiem.

Na podstawie: Ks. Stefan Sydry, *Wspomnienia wychowawcy*, z. 1-2, Warszawa 1972.

<><><>

[...] Reprimendę dostaliśmy od br. Stanisława Sarosieka, że tacy chłopcy jeszcze nie umieją służyć do Mszy św., to wstyd.

Brat Sarosiek, niegdyś były wojskowy carski, starszy już pan – był wtedy nowicjuszem. Był trochę felczerem, fryzjerem, a przede wszystkim wykwalifikowanym pszczelarzem. Przywiózł do klasztoru w Raśnie pokazną pasiekę, którą opiekował się przez wiele lat. Nazywaliśmy go „panem doktorem”. Bardzo mu to zaszczytne miano schlebiało. W razie potrzeby leczył nas. Gorączkę zmierzył, bańki postawił, opatrunek zrobił. Baliśmy się go trochę. Nie znosił cwaniactwa. Potrafił nieraz boleśnie za uszy wytargać. Nawiedziła go później dziwna choroba. Przesadnie uczulony był na przeciagi. Na głowie, zupełnie łysej, nawet w kościele nosił czarną piuskę. Mówił, że ma na ten wyjątek pozwolenie od biskupa. Zmarł w czasie niemieckiej okupacji w Raśnie. Tam jest pochowany [...].

Brat Stanisław, staruszek już bardzo niedołężny, potrzebował przed śmiercią szczególnej pomocy, opieki. Nie mógł chodzić. Trzeba go było prowadzić. Gdy potknął się, upadł, nie mógł sam wstać. Ksiądz Bronikowski MIC nie mógł mu służyć, bo sam ledwo chodził. Siostry więc staruszkowi służyły, aż oczy na wieki zamknął. W Raśnie pochowany [...].

ks. Czesław Fajkowski MIC

Było to w Raśnie, Warszawa 1968.

BRAT JAN SINKEVIČIUS MIC (1904 – 1973)

Chciał pracować w drukarni

Pracujący w drukarni wiedzą, że potrzeba tam wielu i różnych pracowników. Nie wszyscy tylko piszą i redagują. Nie wszyscy tylko administrują, kierują, ale jedni zbierają czcionkę, inni drukują, jeszcze inni czyszczą maszyny, wysyłają i rozwożą, co wydrukowano. To wspólna praca, w której łączy się różne siły i zdolności.

Kto pracował w drukarni *Draugas* przez wiele lat, widział br. Jana Sinkevičiusa, wiążącego czasopisma do wysyłki, ładującego je do ciężarówki, noszącego prasę codziennie wieczorem na pocztę lub do kiosków i wracającego bardzo późno, nie zważając, czy był deszcz, czy zasypany śniegiem, czy śliskie drogi, czy inne niewygody. To jeszcze nie wszystko. Widziano go, jak przygotowywał klisze, naprawiał urządzenia elektryczne, a nawet silniki samochodowe, czy wykonywał inne prace mechaniczne. To był br. Jan.

Zmarł nagle i nieoczekiwanie we wczesny poranek 16 stycznia 1973 r. Czując się gorzej, jeszcze poszedł do drzwi sąsiedniego pokoju, obudził innego brata marianina i powiedział: „Źle się czuję, umieram”. Po czym wrócił do siebie i zaczął konać. Wezwany przełożony domu opatrzył go sakramentem chorych i modlitwami odprowadził jego duszę. O poranku pracownicy *Draugas* patrzyli na siebie z niedowierzaniem, jakby chcąc powiedzieć: „Wczoraj jeszcze wiozł *Draugas* na pocztę, a dziś już w wieczności”.

Urodził się 23 maja 1904 r. we wsi Biliuniszki, w sołectwie i parafii Smalve, w powiecie Zarasai. Jego rodzice, Antoni i Józefa z domu Dudaite, w małym gospodarstwie wychowali trzech synów i dwie córki. Jan, który odbył służbę wojskową w kawalerii, w 1927 r. na zaproszenie krewnych przybył do Ameryki. Zamieszkał w Lawrence, w stanie Massachusetts. Wkrótce zapisał się do litewskiej parafii św. Franciszka. Najpierw pracował w fabryce żelaza, a ponieważ jeszcze na Litwie nauczył się ślusarstwa, później otrzymał pracę jako mechanik w innych warsztatach.

Po kilku latach pracy i po zaznajomieniu się z celami Zgromadzenia Księży Marianów 13 lipca 1932 r. poprosił o przyjęcie do klasztoru i zgłosił się do pracy w litewskiej prasie, w drukarni *Draugas*. Po odbyciu postulatów, został przyjęty do nowicjatu 15 lipca 1933 r. W następnym roku 16 lipca złożył pierwsze śluby zakonne.

Gdy był już zakonnikiem, najpierw skierowano go do seminarium mariańskiego w Clarendon Hills, w stanie Illinois, jako portiera i mechanika do różnych prac. Na początku 1939 r. został wysłany do Marianapolis. Był tam elektrykiem. W 1941 r. wrócił do seminarium. Znowu został tam elektrykiem i mechanikiem. Gdy w drukarni *Draugas* potrzeba było więcej robotników, ówczesny prowincjał, ks. Reklaitis,

16 marca 1943 r. skierował go do pracy w drukarni. Wykonywał ją aż do śmierci. Dokonywał wszelkich napraw jako mechanik, elektryk, odpowiedzialny za oświetlenie. W 1948 r. został stałym kolporterem *Draugas*. Nie pozostawił jednak mechaniki, którą bardzo lubił. Przejawiał duże zdolności w tej dziedzinie. W ten sposób jego pragnienie wstąpienia do klasztoru zostało spełnione nawet aż nadto. Przepracował w drukarni ponad 30 lat.

Doczekawszy starości wiele cierpiał. Dopadł go bolesny artretyzm. Ale nie lubił się skarżyć. Może dlatego też nie czuł, że serce zaczęło mu szwankować. Już jakiś czas temu miał bóle w piersi. Nic dziwnego, że jego śmierć była tak niespodziewana i nagła.

Gdy czytamy zapiski po zmarłym bracie Janie, znajdujemy przepisane dosłownie całe urywki z *Dziennika św. Teresy od Jezusa*, które zapewne wywarły na nim największe wrażenie i zachęcały do myślenia o fundamentach życia duchowego. W jednym z ostatnich zapisków można przeczytać: „Chcąc zbliżyć się do Jezusa należy być bardzo małym”. Teraz możemy zrozumieć, dlaczego br. Jan najlepiej czuł się z małymi dziećmi. Bardzo je kochał [...].

Draugas 1973, sausio 18 d., l. 7; tłumaczenie z języka litewskiego Paweł Chudzik.

BRAT JAN STEFANOWICZ MIC (1908 – 1986)

Długo myślałem, jak rozpocząć wspomnienia o br. Janie Stefanowiczu. Z kłopotu wybawił mnie on sam, tak pisząc o sobie 30 maja 1954 r.:

Przebieg mojego życia

„Urodziłem się dnia 24 sierpnia 1908 r. jako najmłodszy z rodzeństwa we wsi Bile pod Oszmianą, woj. wileńskie. Śp. rodzice moi, Michał i Marja

z domu Markiel, mieli własne gospodarstwo; pod ich troskliwą opieką spędziłem lata dziecięce i młodzieńcze jako najpiękniejszy okres w moim życiu. Miło mi dziś wspomnieć z tego czasu ustąpienie Niemców i powrót do domu z I Wojny Światowej starszego brata Józefa.

Krótkie jest szczęście ziemskie. Dnia 22 października 1918 r. w czasie epidemii grypy zmarła śp. Mama, a w dwa dni później (24 października) starsza moja siostra Stefanja. W cztery lata później w nocy z 19 na 20 marca 1922 r. w czasie epidemii tyfusu zmarł śp. ojciec, a brat Józef ciężko i długo chorował. Po powrocie do zdrowia kierował gospodarstwem i jako o wiele starszy opiekował się mną.

Pragnieniem za życia śp. ojca było w miarę możliwości podkształcić mnie. Rozumiał też to br. Józef i chciał wolę śp. ojca spełnić. Dnia 24 czerwca 1924 r. złożyłem egzamin na Kurs I-szy Państwowego Seminarium Nauczycielskiego Męskiego w Borowicach, pow. Oszmiana. W roku szkolnym 1924/25 kurs ten ukończyłem.

Trudno było bratu Józefowi z małymi dziećmi borykać się na gospodarstwie i mnie kształcić widziałem to, a nie doceniłem wartości nauki, w następstwie czego opuściłem szkołę i choć ze łzami, wróciłem do domu. Współpracowałem z bratem w domu na gospodarstwie do 1939 r.

Z wybuchem II Wojny Światowej zostałem zmobilizowany. Po klęsce wrześniowej dostałem się do niewoli do Rosji, skąd po odrodzeniu się 2. Korpusu wydostałem się. Po wojnie w r. 1946 przybyłem do Anglii”.

Zakończenie listu br. Jana pt. „*Przebieg mojego życia*” podaję nieco poniżej. Jest ono ciekawe i szokujące.

Możemy zapytać, co się działo z br. Janem od wyjścia z Rosji do przybycia do Anglii. Zagłębmy do książki Karoliny Grodzkiej i Andrzeja Suchcitzza *Zostanie po nich nikły ślad*, „Secesja”, Kraków 2007, s. 103.

„Wzięty do niewoli sowieckiej, po uwolnieniu służył w 18. Pułku Piechoty 6. Dywizji Piechoty, a od listopada 1942 otrzymał przydział do Ośrodka Wyszkozenia Broni Pancernej. Od czerwca 1944 w Ośrodku Zapasowym Broni Pancernej, a od listopada 1944 do zwolnienia z PKPR (Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia) w 7. Pułku Pancernym 2. Korpusu”.

A sam o sobie w wielkim skrócie pisze, że po odrodzeniu się Armii w Rosji wraz z nią przeszedł przez Persję, Irak, Palestynę, Egipt i Włochy – do końca wojny. Po demobilizacji pozostał w Anglii. Początkowo pracował na roli, potem (ok. 10 lat), w różnych fabrykach, najdłużej w Manchester. Ksiądz proboszcz Jan Bas z Manchester wydaje marianom taką opinię o br. Janie:

„Przewielebny Ojcze! Pana Jana Stefanowicza, zamieszkałego pod adresem: 122, Kamilton Rd. Longsight, Manchester, 13, znam osobiście przynajmniej sześć lat. Jest on człowiekiem pracowitym i spokojnym. Jako katolik prowadził życie wzorowe. Przystępuje często do spowiedzi i Komunii św., najczęściej co miesiąc. Jest człowiekiem uczynnym, ofiarnym, przede wszystkim na cele religijne. Jest członkiem Akcji Katolickiej oraz Komitetu Kościelnego i pracuje czynnie w tych organizacjach.

Przy całej swej ofiarności i pracy jest jednocześnie człowiekiem bardzo skromnym. Nie lubi pochwał. Woli, aby mówiono o nim jak najmniej. Dlatego też ogółowi tutejszych Polaków jest raczej mało znany. Ci jednak, którzy go znają, cenią go sobie bardzo.

Dowiedziawszy się, że ma on zamiar udać się do Ojców, z przyjemnością wystawiam mu to niniejsze zaświadczenie, ale jednocześnie i ze smutkiem żegnam jednego z moich najczynniejszych i najlepszych parafian.

Łączę wyrazy głębokiej czci, oddany w Chrystusie,
ks. Jan Bas,

305, Mose Lane East, Manchester, 14. Dnia 20 maja 1954”.

Brat Jan Stefanowicz od chwili mojego pierwszego z nim spotkania w 1958 r. (był już wówczas czteroletnim zakonikiem) dał się poznać jako człowiek pokoju wewnętrznego, głębokiej modlitwy, uprzejmy, pracowity, gotów każdemu pomóc w miarę swoich sił i możliwości, uśmiechnięty i dużej pokory. Był pierwszy w kaplicy i ostatni z niej wychodził. Właściwie wszyscy bracia w Hereford byli wzorowymi zakonnikami, on jednak, tak mi się wydawało, był we wszystkim pierwszy.

A teraz, gdy znamy w grubszych zarysach bogate w przejścia życie br. Jana od września 1939 r. do czasu wstąpienia do marianów w 1954

r. (razem ok. 14 lat), popatrzmy, jak kończy swoje *curriculum vitae*, by się przekonać, co dla niego w tym dość długim okresie jest najważniejsze. Oto co sam pisze. (c.d. cytowanego powyżej listu):

„[...] Z przebiegu dotychczasowego mego życia nic szczególnego nie przypominam, chcę jedynie na tym miejscu wyrazić mój szczerzy żal, że byłem tak hardy względem śp. rodziców i siostry, jak również później we współżyciu ze starszym bratem i jego rodziną. Żałuję również, że będąc w seminarium, nie umiałem docenić nauki i łatwo zrezygnowałem z niej”.

Te dwa ostatnie zdania, własnoręcznie zapisane, dla tych, którzy nie znali br. Jana mogą być niewiarygodne. Przecież mama umiera, gdy miał 10 lat. Siostra odchodzi do Pana dwa dni po śmierci mamy. A ojca pożegnał, gdy miał 14 lat. W tym samym czasie brat jest poważnie chory.

- Dla którego z nas mało ważne byłyby przejścia wojenne 1939 r. i dostanie się do niewoli sowieckiej?
- Kto z nas nie wspomniałby o niewoli sowieckiej?
- Dla wielu ciekawa byłaby trasa z Rosji przez Iran, Irak, Egipt do Włoch.
- A cała kampania włoska pod dowództwem gen. W. Andersa?
- A różne służby po wojnie na terenie pokonanych Niemiec?
- Wreszcie przystosowywanie się do pracy w Anglii, na obcym terenie, bez znajomości języka.

Brat Jan z okresu 15-letniego, tj. od 1940 do 1955 r. niczego sobie nie przypomina. Wyraża jedynie skruchę... Niech to pozostanie jego tajemnicą, którą zabrał ze sobą. Ja natomiast pozwolę sobie opisać jedno niecodzienne wydarzenie, jakie przeżył nasz drogi br. Jan którego byłem świadkiem.

W Lower Bullingham, na przedmieściu Hereford, zarząd miejski postanowił położyć nowy dywan asfaltowy na drodze, przy której znajdował się nasz dom zakonny. Przyjechały odpowiednie maszyny. Ściągały nawierzchnię, wywoziły gdzieś za miasto połamaną starą nawierzchnię. Wyrównywały pozostałą nawierzchnię. Walcowały i kładły świeży, gorący asfalt. A na naszym podwórku było miejsce znacznie niższe, gdzie w czasie deszczu tworzyło się błoto. Ktoś wpadł

na pomysł, by porozmawiać z robotnikami na drodze, by nam dostarczyli kawałki pociętej, starej nawierzchni. Moglibyśmy nimi wyrównać część swego podwórka. Zapytano wpiery br. Jana, czy zgodzi się podjąć tej trudnej i ciężkiej pracy. Przytaknął, a robotnicy z chęcią dostarczyli cały samochód asfaltowych kawałków i nieco żwiru dla wyrównania.

Na drugi dzień br. Jan wziął się sam za robotę, bez pomocy innych braci. Nikt nie miał czasu. Każdy miał swoje zadania domowe do wykonania. Pomijam trzytygodniowy trud br. Jana: rozmiękczenie kawałków asfaltu nad ogniskiem, dopasowywanie ich i wiele innych zabiegów, w tym bądź co bądź trudnym zadaniu jak na jednego człowieka. Cieszył się jednak bardzo, jak pod koniec trzech tygodni praca była ukończona, a ten i ów gratulował mu jej owoców.

Po ukończeniu tej pracy br. Jan został wezwany do Fawley Court. Był tam kilka dni. Gdy wrócił, spotkała go przykra niespodzianka. Zobaczył, że z jego pracy przy wyrównywaniu zapadłej części podwórka nie pozostało nic. Podczas jego nieobecności – jak się potem dowiedział – przedsiębiorstwo odnawiające drogę zgodziło się za kilka funtów fachowo wyrównać ten kawałek podwórka, które on naprawiał. Ściągnęli wszystko do ziemi, podsypali trochę żwiru, wywalcowali i położyli świeży asfalt, walcząc nawierzchnię. Pięknie to wyglądało, a dom zakonny niewiele zapłacił, bo firma budowlana zużyła do tego zbywający materiał, który miał być i tak wywieziony za miasto na gruzowisko wraz ze świeżym, gorącym asfaltem. Kto tu więcej zapłacił? Kto stracił, kto na tym zyskał w oczach Bożych? Brat Jan teraz już dobrze o tym wie. Przeżył to doświadczenie bardzo boleśnie. Chyba nie trzeba o tym mówić, ale na drugi dzień przepraszał księdza przełożonego za złą robotę i że tyle czasu zmarnował, że zawiódł pokładane w nim nadzieje.

Rodzi się pytanie, kto też tu i kogo miał przepraszać? Do końca bowiem nie wiemy, jak się ta rozmowa potoczyła. Nie było przy niej świadków.

Jak już wspomniałem, br. Jan był człowiekiem modlitwy. Lubił długo trwać na cichej modlitwie nawiedzenia Najświętszego Sakramentu. W kościele św. Rafała w Hereford, który był również naszą kaplicą zakonną, na ścianach są umieszczone stacje Drogi Krzyżowej. Nie było dnia, żeby

br. Jan jej nie odprawiał. Zwracano mu uwagę, że w niedzielę, która jest dniem Zmartwychwstania Pana Jezusa, szczególnie w okresie wielkanocnym, powinien dać sobie i Zmartwychwstałemu Panu Jezusowi spokój z tym nabożeństwem. Pewnego dnia ks. L.N., znany liturgista w Herefordzie, przypomniał br. Janowi pieśń wielkanocną, której dokładnie nie pamiętam: „Ustąpcie od nas smutki, żale, gdy Pan Zmartwychwstały triumfuje w chwale. Ojcu swojemu już uczynił zadość, a nam niesie radość, Alleluja!” Co brat na to?

A br. Jan, niewiele się namyślając, z uśmiechem sobie właściwym odpowiedział: „Proszę się nie obrazić, ale nie tak dawno miał ojciec z nami konferencję na temat Eucharystii i przypomniał prawdę katechizmową, że każda Msza św. jest pamiątką Męki, Śmierci i Zmartwychwstania Pańskiego. Jak mamy rozumieć niedzielne Msze św. i te w okresie wielkanocnym? Czy one są tylko pamiątką Zmartwychwstania Pańskiego?”

Odpowiedział ks. liturgista dość ostro: „Brat dobrze wie o co chodzi, proszę nie być złośliwym i tak zarozumiałym,” i wyszedł z pokoju.

Brat Jan pobiegł za nim. Nie znamy, jak zwykle, przebiegu dyskusji, ale znając br. Jana, na pewno przypadł ojcu do nóg i przeproszał. Ale nadal, niedziela czy powszedni dzień, odprawiał Drogę Krzyżową. Jakoś się dogadali.

Brat Jan zmarł 23 maja 1986 r. Kilka dni przed śmiercią byłem u niego. Leżał w łóżku, bardzo słaby, blady na twarzy. Z trudem chciał podać rękę na przywitanie. Uprzedziłem go. Przywitaliśmy się słowem przyjętym od ks. Józefa Jarzębowskiego MIC: *Ave Maryja! Ave Maryja!* Cicho wyraził radość ze spotkania: „Tak się cieszę, że ojciec przyjechał”. „I ja też się cieszę, że brata mogę odwiedzić”. „A ja chciałem o coś ojca zapytać. Proszę mi powiedzieć, jak to się umiera?”

Brat Jan zaskoczył mnie tym pytaniem. Było takie szczere, prawdziwe, wyczekujące odpowiedzi. A nie przychodziła mi ona do głowy. Po jakiejś chwili odezwałem się mniej więcej w te słowa: „Bracie Janie, to ja winieniem pytać brata, jak się umiera, wiedząc, co brat przeszedł w swoim życiu od dzieciństwa: wczesne sieroctwo, przedwczesne pożegnanie Seminarium Nauczycielskiego, utrata niepodległości Ojczyzny

i niewola rosyjska. Ile rozstań, bolesnych rozstań, tyle umierania. Tyle ludzi najbliższych na oczach brata umierających na zesłaniu z głodu, zimna i różnych chorób; a potem przemarsz przez Iran i Irak z szalejącym tam ówczasie tyfusem – wielu rodaków, kolegów tam pozostało, nie doczekało wolności; a potem kilka lat na froncie włoskim w 2. Korpusie pod wodzą gen. Władysława Andersa, kiedy to pod samym tylko Monte Cassino zginęło prawie tysiąc żołnierzy – kolegów... Ginęli, a brat wraz z nimi na swój sposób umierał. Ty to wszystko przeżywałeś. Dlaczego mnie brat pyta, jak się umiera?... Brat przecież umierał z wieloma najdroższymi osobami całe życie, począwszy od tak wczesnej śmierci rodziców i siostry. A w życiu zakonnym też nie było łatwo. Trzeba było umierać każdego dnia przez całe 33 lata, Jezusowe lata. Umierałeś dla bliźnich, dla Jezusa, który nie może się doczekać, by cię objąć ramionami pełnymi miłości i przytulić do swego Serca Miłosiernego. My tylko przechodzimy przez bramę śmierci, za którą czeka sam Chrystus ze swoją Matką i twoją mamą. My nie umieramy. My tylko całe życie przechodzimy ze śmierci do życia, z życia doczesnego do wiecznego. Każde upokorzenie, których tak wiele przeżyłeś wśród swoich najbliższych, czyż nie było umieraniem?"

Przerwałem, żeby nie męczyć utrudzonego życiem i chorobą. Nastąpiła chwila ciszy, która w takich wypadkach jest zawsze czasem intensywnego myślenia, z wielkim wysiłkiem. Po niej br. Jan z trudem zaczął: „Już przeprosiłem chyba wszystkich. Niestety nie mogłem tych przeprosić, którzy już nie żyją. Mam prośbę. Czy ojciec mógłby codziennie aż do mojej śmierci odprawiać Drogę Krzyżową i ofiarować ją za tych, którym wyrządziłem kiedykolwiek jakąś krzywdę?" – Przyrzekłem.

Wrażliwość na konieczność przeproszania była dla br. Jana do końca życia jakąś głęboką koniecznością. Żartowali niekiedy z niego, że nie przeprosił jeszcze nas wszystkich za to, że żyje. A on, nie speszony, odpowiedział: „Słusznie, bo za takie życie, jakie prowadziłem, powinienem już dawno wszystkich przeprosić”.

Jak widzieliśmy w jego liście pt. *Przebieg mojego życia*, mało ważna była niewola rosyjska, wyzwolenie z niewoli przez gen. W. Andersa, przejście przez Bliski Wschód do Włoch, walki na froncie, praca po wojnie w Anglii bez znajomości języka, początkowo na roli, potem w różnych

fabrykach. Ten długi 15-letni okres nie był tak ważny, jak chęć przeproszenia najbliższych z czasów przedwojennych. Przypomnę jego słowa z tego listu. Wnioski każdy sobie powinien sam wyciągnąć: „Z przebiegu, dotychczasowego mego życia nic szczególnego nie przypominam, chcę jedynie na tym miejscu wyrazić swój szczerzy żal, że byłem tak hardy względem śp. rodziców i siostry, jak również później we współżyciu ze starszym bratem i jego rodziną. Żałuję również, że będąc w Seminarium (Naucz.) nie umiałem docenić nauki i łatwo zrezygnowałem z niej”.

Nie długo dźwigałem ten słodki ciężar odprowadzania codziennej Drogi Krzyżowej, przyrzeczony br. Janowi. Za kilka dni br. Jan odszedł do Pana.

A oto aforyzm tak bardzo odpowiedni do br. Jana Stefanowicza, który niedawno usłyszałem: „Jeśli umrzesz, zanim umrzesz, to nie umrzesz, kiedy umrzesz”.

ks. Franciszek Bieniasz MIC

BRAT JÓZEF STIRBYS MIC (1914 – 1954)

Urodzony 6 marca 1914 r. we wsi Gamaliai, parafii Laukuva na Żmudzi, z rodziców Szymona i Barbary Tirunaite. Mając 18 lat, wstąpił do klasztoru księży marianów w Mariampolu. Po rocznym postulacie 14 sierpnia 1933 r. został przyjęty do nowicjatu. Odbił go pod kierunkiem ks. Justyna Novickasa MIC. Dnia 15 sierpnia następnego roku, złożył pierwsze śluby zakonne. Przez rok był kucharzem w Mariampolu. W roku następnym w Kalwarii Żmudzkiej. W latach 1936–1938 znowu przebywał w Mariampolu. Potem ponownie w Kalwarii Żmudzkiej. Jesienią 1939 r. znalazł się w parafii Vytautuva koło Trok, obsługiwanej przez marianów.

Po zajęciu Litwy przez Niemców, latem 1941 r. powrócił do Mariampola, skąd po kasacie klasztoru przez bolszewików w maju 1948 r. odszedł do rodziny.

Od 1949 r. o br. Józefie Stirbysie nie było żadnych wiadomości. Według informacji tajnej policji miał kontakty z antysowiecką partyzantką. Zdołał się uratować. Uciekł 23 października 1954 r. podczas likwidacji oddziału partyzanckiego.

Dnia 25 listopada 1954 r. kołchoźnik Antoni Juška na zamrzniętym polu w pobliżu wsi Vadakules, w rejonie Varniai, znalazł martwego człowieka. Wezwana przez milicję siostra br. Józefa, Konstancja Kornovičiene, i dwie inne osoby z gminy Laukuva rozpoznały w martwym mężczyźnie br. Józefa Stirbysa. Nie było wiadomo, czy zmarł z głodu i zimna, wyglądał bowiem na bardzo wyczerpanego, czy został śmiertelnie pobity. Ciało zabrała milicja i pogrzebała w nieznanym miejscu.

ks. Jan Bukowicz MIC

Świadkowie wiary. Marianie prześladowani przez hitlerizm i komunizm, Wydawnictwo Księży Marianów, Warszawa 2001, s. 271–272.

BRAT BRONISŁAW ŚWISTAK MIC (1916 – 2007)

Brat Bronisław z szafki przy łóżku wyjmuje świecę. Na niej na przyklejonej kartce są dwie daty: 29 września 1952 r. i ten sam dzień i miesiąc trzy lata później. Pierwsza data to dzień pierwszych ślubów zakonnych w Zgromadzeniu Marianów; druga – ślubów wieczystych. „Chcę”, mówi br. Bronisław, „żeby mi podali tę świecę w chwili śmierci. Teraz czasem biorę ją do kaplicy na modlitwę, bo siły są coraz słabsze”.

O służbie Bogu myślał od najwcześniejszych lat. Urodził się w roku śmierci bł. Honorata, który zmarł w Nowym Mieście nad Pilicą. Tam br. Bronisław chodził do kościoła kapucynów. Z biblioteki klasztornej wypożyczał książki. Czerpał z nich wiedzę o życiu duchowym. Pewnie wstąpiłby do klasztoru kapucynów, ale warunki rodzinne na to nie pozwalały. Ojciec był ciężko chory. Jeden z braci zmarł. Trzeba było

pomagać matce w dużym gospodarstwie i pozostałemu rodzeństwu; jeszcze jednemu bratu i siostrze. Kapłan, którego pytał o radę, powiedział, że musi pomagać rodzinie.

Ale w 1939 r. wybuchła wojna. Miał 23 lata, gdy został wezwany do wojska. Po zajęciu Polski przez hitlerowskie Niemcy dostał się do niewoli. Przebywał tam przez całą wojnę. Były to lata ciężkiej niewolniczej pracy w kamieniołomach. Trzy razy próbował uciec z obozu. Udało się za trzecim razem. Dostał się do armii amerykańskiej, a później do polskiego wojska. W lutym 1945 r. został wysłany do Włoch. Po zakończeniu wojny razem z armią przyплыł statkiem do Liverpool, do Anglii. Zanotował, że było to 14 grudnia 1946 r. o godzinie 8 rano. Do komunistycznej Polski wrócić nie mógł ani nie chciał.

O marianach dowiedział się z ogłoszenia w *Gazecie Niedzielnej*. Dnia 21 kwietnia 1951 r. przyjechał do Hereford. Spotkał tam ks. Jarzębowskię. Okazało się, że pochodzą z tych samych stron. Bronisław często widział matkę ks. Józefa, która tak jak on chodziła do kościoła kapucynów w Nowym Mieście. Ksiądz Józef pozostał w pamięci br. Bronisława jako kapłan niezwykle gorliwy w służbie Bogu. Razem z nim, po złożeniu ślubów zakonnych, przyjechał do Fawley Court. Przebywał tam 50 lat. Przeżył wielu przełożonych. Jak mówi, z żadnym nie miał kłopotów. W tamtych latach, gdy w Fawley Court marianie prowadzili szkołę, trzeba było ją utrzymać. Brat Bronisław prowadził farmę, na której było 50 sztuk bydła, ponad 100 świń, stada indyków i gęsi. Teraz została mu tylko pasieka.

W ostatnich latach kilka razy odwiedził rodzinę w Polsce. Rodziców ani rodzeństwa już nie zobaczył. Nie żyli. Ojciec zmarł, kiedy Bronisław był w niewoli, a matka, kiedy przyjechał do Anglii. Pamięta ten dzień. Będąc jeszcze w wojsku, miał służbę i „bez powodu” bardzo mocno płakał. Oficer sądził, że to załamanie nerwowe. Po kilku dniach, otrzymał telegram z wiadomością o śmierci matki. Zmarła w święto Matki Bożej Niepokalanej 8 grudnia. Był to dzień, w którym on „bez powodu” mocno płakał. Matka była kobietą niezwyklej wiary. Do pracy szła z zawieszonym na ręce różańcu. Brat Bronisław pamięta, że w rodzinnej wiosce, nikt bez Michałowej (była żoną Michała; sama miała imię Józefa), nie umarł. Zawsze była obecna przy umierających z modlitwą i ufnością w Boże Miłosierdzie.

„Bogu dziękuję,” mówi br. Bronisław, „że urodziłem się w rodzinie katolickiej.” Wśród wielu prostych zasad przekazanych przez matkę, pamięta te słowa: „Broniek, nigdy nie mów źle o kapłanach. To są sprawy Boga”. To, co powiedziała matka, było święte. I dodaje refleksję: „Jak biedni są ludzie, którzy w domu rodzinnym nie słyszą słowa «Bóg» ani nie nauczyli się modlitwy”.

Zwiastun Miłosierdzia, 2002, nr 4 (22), s. 18.

BRAT CHARLES FREDERIC WELLS MIC

(1927 – 2015)

W dniu 9 września 2015 r. (wspomnienie św. Piotra Clavera) w domu zakonnym księży marianów w Stockbridge, MA, zmarł br. Charles Frederick Wells Jr. MIC w wieku 88 lat. Pokrzepiony sakramentami Kościoła i otoczony modlitwą i opieką swoich współbraci i pielęgniarek, br. Fred spokojnie odszedł do Domu Ojca.

Powołany do wojska pod koniec II wojny światowej, br. Fred opuścił swoją rodzinę w Richmond, VA. Kilka lat później – w roku 1955 – wstąpił do Zgromadzenia Księży Marianów. Po ukończeniu sześciomiesięcznego postulatu i po roku nowicjatu, br. Fred złożył pierwsze śluby zakonne w 1957 r., śluby wieczyste zaś – 2 lutego 1960 r. w święto Ofiarowania Pańskiego.

Zaraz po złożeniu pierwszych ślubów, br. Fred, który był z wykształcenia księgowym, objął stanowisko głównego księgowego centrum SPM w Stockbridge, na którym pracował ponad 24 lata. Dzięki swoim uzdolnieniom muzycznym br. Fred pociągał wiele serc do Boga i wypełniał je pięknem muzyki. Ponadto, jako człowiek praktyczny, a zarazem wrażliwy na sprawy duchowe i duszpasterskie, br. Fred nie tylko służył swojej wspólnocie na różnych urzędach (radny prowincjalny, przełożony domu zakonnego, socjusz mistrza nowicjatu, ekonom domowy), ale także i w jej posługach apostołskich, takich jak praca z ubogimi w biednych dziel-

nicach Waszyngtonu, z osobami obłożnie chorymi, z więźniami i ludźmi w podeszłym wieku.

Będąc z natury towarzyskim, br. Fred pragnął dodawać ludziom otuchy i nieść im nadzieję i radość. Realizując to pragnienie, br. Fred dzielił się z nimi miłością Pana Boga poprzez wrażliwość serca, humor oraz wsparcie materialne i duchowe.

Niech Bóg bogaty w miłosierdzie przyjmie br. Freda do swojego domu, gdzie wraz z Maryją Niepokalaną Poczetą i Jej Oblubieńcem – św. Józefem, którego zmarły czcił w szczególny sposób – stanie się biesiadnikiem uczyty życia wiecznego.

Walcząc z chorobą nowotworową, skup uwagę na życiu w Chrystusie

W roku śmierci br. Freda Wells'a mijało 6. dekad od chwili gdy doświadczył osobistego nawrócenia, które ostatecznie zaprowadziło go do Zgromadzenia Księżych Marianów, aby służyć w nim Chrystusowi i Kościołowi. Tę wspólnotę br. Fred nazywał swoim domem, a Zgromadzenie – swoją rodziną.

Brat Fred mówił, że była to Boża interwencja, która przemieniła jego życie świeckie na życie zakonne. Posługa marianów oraz odkrycie u niego choroby nowotworowej skłoniły go wówczas do ponownego przeanalizowania swojego życia i wiary.

W 1949 r., po demobilizacji i uzyskaniu wykształcenia z zakresu biznesu, ów 23-latek był całkowicie pochłonięty życiem świeckim. Czując się niegodnym duchowo, przestał chodzić do kościoła. Pięć lat później, po przeanalizowaniu kierunku swojej drogi życia, księgowy z Richmond, VA, znalazł się w konfesjonale i zaczął codziennie chodzić na Mszę św. Wkrótce potem został poproszony, aby nauczać katechizmu i śpiewać w parafialnym chórze.

Gdy wyraził pragnienie lepszego służenia Bogu i Kościołowi, jego proboszcz zachęcił go do rozważenia możliwości zostania bratem zakonnym. Fred ostatecznie utwierdził się w swoim powołaniu dopiero latem 1954 r., gdy otrzymał *Marian Helper Bulletin* [Biuletyn Pomocników *Mariańskich*] (obecna nazwa *Marian Helper*).

„*Marian Helper Bulletin* sprawił,” oświadczył kiedyś br. Fred, „iż poczułem jak gdyby Bóg mówił do mnie”. Mówiąc o pracy marianów, br. Fred podkreślał, że jej szczególną cechą był ogólnoswiatowy zasięg prac Zgromadzenia, a jego osobiście pociągało oddanie i nabożeństwo marianów do Matki Najświętszej. „Zgromadzenie Księży Marianów to unikalna wspólnota,” mawiał br. Fred. „Ważnym jest wykorzystać talenty udzielone nam przez Pana Boga, ale daleko bardziej ważnym jest służenie Jemu na wielorakie sposoby”.

Posługa br. Freda dla Zgromadzenia obejmowała pracę w Waszyngtonie na urzędzie przełożonego i ekonoma domu oraz na stanowisku księgowego w centrum SPM i doradcy duchowego. Dużo pracował wśród dzieci i więźniów, uczył katechizmu, był radnym prowincjalnym, oraz angażował się w formację młodych członków wspólnoty i dzielił swoim talentem muzycznym we wspólnocie domowej w Stockbridge. Po wykryciu u niego w 1998 r. choroby nowotworowej, br. Fred poddał się uciążliwej kuracji rentgenowej, a następnie chemicznej.

„Spostrzegłem moją chorobę jako swoiste błogosławieństwo,” wyjaśniał, ponieważ nowotwór został wykryty podczas niezależnego zabiegu chirurgicznego. Powtarzał za swoim chirurgiem, że w chorobie nowotworowej nie chodzi o śmierć tylko o życie. Mówił wtedy, że się bardzo zmienił. Bo gdy u kogoś wykrywa się poważną chorobę, ta osoba zaczyna bardziej cieszyć się życiem i staje się ono bardziej skupione. Wiara i ufność w Jezusa stają się mocniejsze. Uważał także, że na nieszczęście osoby nie mające kłopotów lub problemów zdrowotnych, często nie myślą o Bogu.

„Cierpienie jest rodzajem męki Chrystusa. Do uprzywilejowanych należą osoby, które dostały udziału w tym cierpieniu. Zwalczając cierpienie, nie doznaje się jego owoców,” oświadczył. „Pan Bóg nie zsyła przeciwności losu, ale kiedy one się zdarzają, On poddaje je pod twoją rozwagę. Jestem teraz o wiele bardziej tolerancyjny dla innych i siebie”.

BRAT BOLESŁAW WRÓBLEWSKI MIC (1876 – 1973)

Będąc ostatniego lata w Licheniu na odpoczynku, prosiłem br. Bolesława, by mi o dziejach swego życia opowiedział. Chętnie to uczynił. Jestem przekonany, że nie pogniewa się na mnie, jeżeli tymi wiadomościami podzielę się z innymi.

Bolesław Wróblewski urodził się 30 stycznia 1876 r. we wsi Wróble w pow. Wysokie Mazowieckie w par. Kulesze. Rodzeństwo było dość liczne (dwie siostry i dwóch braci), a gospodarstwo rodziców niewielkie. Stąd nie wszyscy synowie mogli na nim pozostać. Jeden z nich, dla zapewnienia sobie szczęśliwej przyszłości, decyduje się (jak liczni wówczas Polacy) na wyjazd do Ameryki. Drugi z nich zaś, właśnie br. Bolesław, udaje się w poszukiwaniu pracy i lepszej przyszłości do Warszawy. Znajduje zajęcie w niewielkiej restauracji. Gdy ma lat 15, umiera mu matka.

Życie z dala od swoich, nie obfitujące w dostatki, staje się przez to jeszcze cięższe i bardziej przykre. Około roku 1900 otrzymuje powołanie do wojska rosyjskiego. Bolesław zostaje przesłany do garnizonu stacjonującego w miejscowości Opoczka w pobliżu Pskowa, zgodnie z praktykowaną przez dowództwo carskie zasadą, by Polaków wziętych do wojska nie zostawiać na ziemi polskiej, lecz wysyłać w głąb Rosji.

Niemłody i doświadczony już człowiek potrafi życie wojskowe z dala od Ojczyzny i rodziny traktować jako jedną z możliwości własnego rozwoju i doskonalenia. Wykorzystuje swoje zdolności gastronomiczne, a oprócz tego – korzystając z ciągłego towarzystwa żołnierzy Polaków, którzy już zdobyli jakieś wykształcenie – prosi ich o pomoc w pogłębianiu swych umiejętności czytania i pisania. Przyswaja sobie tę wiedzę mimo zajęć wojskowych, dzięki pilności i wytrwałości. Poznaje też dzieje własnego narodu. Po zakończeniu służby wojskowej nie wraca do kraju, lecz ulegając namowom i prośbie jednego z oficerów, zostaje jego ordynansem. Pełni podjęte obowiązki w Odessie aż do upadku caratu.

Odebrawszy głębokie wychowanie religijne, w każdej sytuacji pamięta o swoich obowiązkach wobec Boga. Nie wstydzi się religijnych i katolickich przekonań okazywać na zewnątrz, także w wojsku. Szczere-

gólnie podczas długiego pobytu w Odessie uczęszcza regularnie do jednego z dwóch w tym mieście kościołów katolickich. Często korzysta z sakramentu pokuty i Eucharystii. Tam też, zastanawiając się głębiej nad sobą, dochodzi do przekonania, że jest wolą Bożą, by oddał się życiu zakonnemu. Ponieważ jednak z braku klasztorów katolickich nie może tego zamiaru wykonać w Rosji, w porozumieniu ze spowiednikiem decyduje się poczekać jeszcze z ostateczną decyzją.

Po wybuchu rewolucji nie wraca zaraz do kraju, lecz tam na miejscu przeżywa wszystkie wydarzenia pierwszych lat tworzenia się nowego ustroju. Wreszcie jednak, nie mając już zobowiązań wobec ludzi, którym zgodził się służyć pomocą (przez wiele lat je wykonywał) wraca w 1924 r. do kraju i podejmuje dawne zajęcie, pracę w restauracji, w śródmieściu Warszawy.

Jako miejsce praktyk religijnych obiera sobie pobliski kościół Dzieciątka Jezus przy ul. Moniuszki. Czyni to nie tylko z powodu jego bliskości, ale także dlatego, że można było w nim znaleźć niemal stale spowiednika. Tak nawiązuje się jego znajomość z marianami. Kierownikiem jego sumienia staje się ks. Marian Wiśniewski MIC, który widząc w swym penitencie pragnienie służenia Bogu i prowadzenia głębszego życia religijnego, a równocześnie pozytywnie oceniając przydatność jego kwalifikacji zawodowych w klasztorze, proponuje penitentowi pracę w miejscowym klasztorze mariańskim. Propozycja zostaje przyjęta chętnie. Po niezbyt długim pobycie na Moniuszki dotychczasowy pracownik przekształca się w kandydata i jedzie do Raśny, by rozpocząć nowicjat. Odbywa go między innymi z przyszłymi księżmi marianami: Smolińskim, Perzem i Sulejem, pod kierunkiem ks. Aleksandra Bołtucia MIC. Na jego ręce w 1929 r. składa pierwsze śluby zakonne, w uroczystość Wniebowzięcia Matki Bożej.

Nowy profes zostaje skierowany do pracy w kuchni na Bielanych. Przebywa tam zaledwie kilka miesięcy. Przejeżdżający w tym czasie przez Warszawę ówczesny ekonom generalny, ks. Kazimierz Reklaitis, zainteresowawszy się z miejsca zakonnym kucharzem, przyczynia się do tego, że br. Bolesław niebawem zostaje wezwany przez ks. generała do Rzymu, w celu podjęcia obowiązków kucharza w naszym domu generalnym. Obowiązki te pełni przez sześć lat (1930–1936). Tam też,

w Rzymie, 15 sierpnia 1932 r. składa śluby wieczyste na ręce generała ks. bpa Piotra Franciszka Buczysa.

Od chwili powrotu na Bielany w 1936 r. aż do wybuchu Powstania Warszawskiego zasadniczym zajęciem br. Bolesława jest pomoc w kościele i w zakrystii. Zakosztowawszy z innymi chleba wygnania w czasie wojny, wraca razem z nimi na Bielany, zaraz po uwolnieniu stolicy w 1945 r. Przez kilka powojennych lat służy pomocą panu Marcinowi przy furcie klasztornej. Wywieziony w 1954 r. z Bielan, na krótko zatrzymuje się w Gietrzwałdzie. Stamtąd zostaje skierowany przez ks. Władysława Łysika MIC do Lichenia. Codziennie rano uczestniczy we Mszy św. w kościele, także codziennie po południu odprawia w nim Drogę Krzyżową.

Tu, w Licheniu, 26 października 1973 r. umiera br. Bolesław Wróblewski, w wieku 97 lat, jako najstarszy członek Zgromadzenia.

ks. Jan Bukowicz MIC

Senior polskich marianów – brat Bolesław Wróblewski, [w:] Immaculata, 1973, nr 10, s. 18–20.

<><><>

Equina

Wstąpił do Zgromadzenia gdy był zaawansowany w latach. Dla swego sposobu wyrażania się, nazywano br. Bolesława – „Braciuniem”, a że na kuchni się znał, więc kucharzył. Wysłano go do Rzymu, by w domu generalnym za kucharza był. Kiedyś, gdy do rzymskiego domu przybyło wielu gości „Braciunio” na zakupy się wybrał. Jarzynkę łatwo dostał, ale z mięsem było gorzej. Wreszcie gdzieś tam znalazł piękną, dobrą, smaczną sztukę mięsa i do koszyka włożył. W kuchni stukał, klepał, tasakiem bił, ile wlaźło. Przyprawy dodawał, na oleju smażył.

A gdy na obiad br. Bolesław gościom kotlety podał, oblizywali się wszyscy. Chwalili br. kucharza:

– Byś braciszku za te kotlety 120 lat żył. Niebo po prostu w gębie. A gdzieś – powiedz – takie mięso pyszne znalazł?

– Poszedłem ci ja do miasta – powiedział. Wszystkie jatki obszedłem. Ale nic godnego nie było – wreszcie zrozpaczony na małą jatkę trafiłem. Mimo obfitości mięsa – o dziwo! – klientów nie było.

– A jak ten sklep się nazywał – zagadnął ktoś z gości.

– Dobrze nie doczytałem, ale pisało tak, pierwsza litera „E”, a potem „Qui-na!”, „equina”. Tak! tak!

– Och! Och! Bracie, toś ty nas koniną uraczył! – wykrzyknęli wszyscy.

– Trudno! Stało się! Bo gdyby o tym wcześniej wiedziano, nikt koniny by za żadne skarby nie ruszył.

– Aleś to bracie nas urządził! – zakrzyknęto.

– Wybaczcie, ojcowie! To tak przez pomyłkę wyszło – zresztą, czyż to zwierzę gorsze od innych. Sami osądźcie!

Jak „Braciunio” na księdza się sposobił, do Petersburga się wybierał i skarbów szukał

Dożył 97 lat. Ostatnich kilka przebywał w Licheniu. Zmarł w 1973 r. Z różańcem ciągle chadzał. Mychę, *quasi* piuskę stale nosił. Nawet w kościele. Coś w rodzaju rewerendy nosił. Cieszył się, że obcy ludzie za księdza emeryta go uważali.

Nie wiem, czy to właśnie, czy raczej postępująca skleroza sprawiła, że czasem zjawiał się u księdza przełożonego z żądaniem, że chce być księdzem. Tłumaczono mu, że uczyć się wiele trzeba, łacinę znać!

„Życie mnie już wyuczyło,” mówił, „a co do łaciny, to i tak jej kiedyś nie będzie potrzeba, bo wszystko będzie po polsku. Panu Jezusowi łacina nie jest potrzebna, a i ludzie prędzej z polszczyzną do nieba trafią,” wyprorokował!

A gdy już proces sklerozy postępował, czasami walizkę brał i oznajmiał, że otrzymał w nocy przez sen polecenie od „gienierała”, u którego w carskim wojsku wiele lat za ordynansa służył, by do Petersburga wyjechał. Trzeba tylko prędko zaprzęgać konie.

A kiedyś, znowu wymknął się z klasztoru, łopatkę wziął i u sąsiada w ogródku zaczął kopać. Zjawił się gospodarz i zagadnął:

– Co ty braciszku tu w moim ogródku kopiesz?

– Cicho, sza...! – odparł braciszek – złota szukam, com przed laty tu zakopał, bo gdym na służbie u gienierała ruskiego był, złote ruble i cenne przedmioty do worka zbierałem i tu zakopałem. Teraz się one mogą przydać!

Odprawdzono brata do klasztoru i musiano go pilnować, bo często chyłkiem z klasztoru umykał. Trzeba go było szukać i do domu sprowadzić.

ks. Jan Karbasz MIC

Brat Bolesław Wróblewski „Braciunio”, [w:] Immaculata, 1982, nr 6-7, s. 120–121.

BRAT ADOLF WYSOCKI MIC (1888 – 1958)

GRAJEK BOŻY BR. ADOLF...

Apostoł Podlasia

Brat Adolf pracował przez pewien czas w Warszawie w parafii Księży Marianów na Marymoncie i w kościele na ul. Moniuszki. W naszej pamięci zostanie jednak zawsze jako apostoł Podlasia. Tam bowiem, w Skórcu koło Siedlec, całe swe serce zostawił i tam został pochowany. Z ludźmi Podlasia związany był pracą.

Po ukończeniu nowicjatu na Bielanych w Warszawie przez dwa lata (1929–1931) był organistą. Po dłuższej przerwie w 1945 r. wrócił na Podlasie i pozostał tam do śmierci (1958 r.)

Podlasiak kochał jak własną rodzinę. Był dla nich prawdziwym bratem. Znał ich troski, kłopoty i jak brat interesował się nimi, pomagał w czym tylko mógł. Upodobił się do nich nawet zewnętrznie. Nosił wielkie buty, prosty strój. Dobre spojrzenie, łagodny głos ułatwiały

wszystkim zbliżenie się do niego. Był naprawdę przyjacielem wszystkich. Szczególną troską i staraniem otaczał dzieci. Myślał o ich zdrowiu, ubraniu. Martwił się, że nie mają szkoły, że nie chodzą do kościoła. Wszystkie ścieżki i drogi w parafii przemierzał setki razy pieszo lub na rowerze. Znali go wszyscy. Wydawało się, że jest nieodłączną częścią ich życia, że zawsze z nimi był i będzie.

Spóźnione powołanie

Adolf Wysocki zjawił się u ówczesnego generała marianów na Bielanych latem 1923 r. Miał już wtedy 35 lat. Chodząc po klasztornym ogrodzie, mówił o swym pragnieniu poświęcenia swego życia na wyłączną służbę Bogu. Wyjawiał również swoje wątpliwości. Nie miał mocnego zdrowia. Po przebytych chorobach tylko jedno płuco działało normalnie. „Chyba na nic się nie przydam” – skończył swe wyjaśnienie. Ojciec Jerzy Matulewicz, biskup wileński, spokojnie wysłuchał opowiadań młodego organisty i zapewnił go, że ani wiek, ani zdrowie nie przeszkodzą mu uczynić wiele dobrego dla chwały Boga. Natchnął go odwagą i ufnością. W końcu powiedział, że Bóg nie na darmo daje tak żywe pragnienie. Widocznie sam uzupełni jego braki.

Potem br. Adolf często wspominał tę rozmowę w czasie swych długich wędrówek na rowerze, pedałowując przez piachy, błota, by dojechać do tych, którzy jego oczekiwali. Przez wiele lat rower był mu serdecznym druhem. Chyba tylko Bóg wie, ile kosztowały brata te „sportowe” wyczyny.

Kto śpiewa, podwójnie się modli

Brat Adolf często powtarzał te słowa, bo też jego ambicją było to, aby nauczyć ludzi śpiewać. W kościele niewiele można było zrobić w tym kierunku. Wykorzystywał czas przed Mszą św. i po nabożeństwach. Stawał wtedy przed wiernymi, poddawał słowa, dyrygował. Szybko zorientował się, że to też nie wystarczy. Trzeba iść do tych ludzi, do ich domów. W krótkim czasie miał zajęte nauką śpiewu wszystkie wieczory. Gdy inni współbracia kończyli swe codzienne obowiązki, on szybko

szycował rower i wyruszał na swoje apostołskie podróże. Bywało deszcz zaczął, wicher zatrzymał rower. Nierzadko utykał w błocie lub piachu. Ale nigdy się nie cofał. Tam gdzieś, wśród karłowatych lasków, na podmokłych łąkach, w skromnej, krytej strzechą chacie, zbierali się ludzie i czekali. W oknie zapalano lampę naftową. Zebrani z utęsknieniem wyglądali na brata. Wybiegali mu naprzeciw.

Szczególną miłością darzyły br. Adolfa dzieci. W szarym, tak często smutnym ich życiu był dla nich jasnym promieniem, uśmiechem, radością, a nawet rozrywką. Przywoził nuty, kartki ze słowami pieśni dla starszych, a dla dzieci zawsze zdobyte gdzieś cukierki. Z chwilą, gdy się zjawił życie się nagle zmieniło. Nie było już tak monotonne i nudne. Śpiewali, śmiali się, a w przerwach brat niezwykle ciekawie opowiadał różne zasłyszane wydarzenia. Uczyli się jednej pieśni po drugiej. On zachęcał, ośmielał, by nie bali się usłyszeć własnego głosu. „Głośniej, głośniej!” powtarzał. „Nie akcentować ostatniej sylaby! Nie przeciągać!”

Następnego wieczoru był znowu w innym miejscu i uczył śpiewać. Znowu był... bratem. Często przywoził – oprócz tekstów pieśni – wiersze i krótkie utwory sceniczne. Uczyli się ich z ogromnym zapałem. Cieszyli się z tego, że mogą urządzać małe przedstawienia.

Rezultaty wytrwałej pracy brata szybko się pokazały. Kościół zaczął śpiewać. Ileż to razy okoliczni księża podziwiali rozśpiewanie parafii, w której działał. Przy bracie w kościele lub na chórze zawsze stały dzieci. Byli to jego pomocnicy w śpiewaniu – dziecięcy chórek.

Chór i orkiestra

Wiele trudu włożył br. Adolf w prowadzenie orkiestry i chóru parafialnego. Na próby można było wykorzystać jedynie późne wieczory. Ludzie pracowali całe dni na swych biednych polach. Na próby przychodzili, gdy już zapadł zmierzch. Ileż to razy śpiących mieszkańców skórzeckich budziły w nocy dźwięki trąb. Niestrudzony brat organista umiał zapalać, zachęcać do śpiewu i muzyki, bo sam je kochał. Bywało, że nieraz młody chłopak przychodził, a brat jego jednego cierpliwie uczył. Nie zrażał się okropnym dźwiękiem, jaki początkujący uczeń

wydobywał z instrumentu. Cieszył się, że ludzie śpiewali, że przychodzili na próby orkiestry, organizowali przedstawienie. „Nie będą przynajmniej pili,” mawiał. Po pewnym czasie nie było w okolicy żadnej uroczystości kościelnej, a nawet świeckiej, bez udziału skórzeckiej orkiestry.

Potrzebne były stale nowe nuty, nowe teksty. Toteż br. Adolf spędzał długie godziny w swym małym pokoiku, by je przygotować. Nie było gdzie drukować. Brat wynajdywał przeróżne sposoby, by zwiększyć liczbę kopii, by mieć jak najwięcej egzemplarzy dla śpiewających i grających. To było konieczne.

Ostatnie akordy

Na kilka miesięcy przed śmiercią (br. Adolf miał już prawie 70 lat), reperował organy w Sanktuarium Maryjnym w Licheniu. Robił to z taką gorliwością, że ostrzegano go, by oszczędzał swe siły. Nieuleczalna choroba sygnalizowała już o swych szybkich postępach. Zdawał sobie z tego sprawę. Ofiarował więc tę ostatnią pracę Matce Niepokalanej. Pewnie to Ona uprosiła mu cud, bo w ostatnich tygodniach przed śmiercią nie cierpiał, mimo że umierał na raka. Sam mówił, że to łaska Matki Bożej z Lichenia.

My, marianie, współbracia br. Adolfa, przypuszczamy i ufamy wszyscy, że on już w pełni radości śpiewa i gra w najcudniejszych chórach i orkiestrach w niebie.

BRAT FRANCISZEK ZABOROWSKI MIC
(1921 – 2006)

Brother Francis

Franciszek Zaborowski urodził się 6 września 1921 r. we wsi Mały Klińcz koło Kościerzyny, na Pomorzu. Inne dane zaczerpnąłem z książki *Zostanie po nich nikły ślad...* Karoliny Grodziskiej i Andrzeja Suchcitz, Kraków, 2007 – „Secesja”, s. 104 – 105.

„Zaborowski Franciszek MIC (Mały Klincz koło Kościerzyny, Pomorze, (zmarł 15. II. 2006) brat marianin, kapral Wojska Polskiego. Syn Augustyna i Anny. Przed wybuchem wojny był robotnikiem rolnym w Kościerskiej Hucie na Pomorzu. Wcielony do Wehrmachtu”.

O dalszych losach br. Franciszka na podstawie jego osobistych relacji wspomina Czesław Pisiak MIC, ks. prowincjał Księży Marianów w Anglii:

„W Wehrmachcie br. Franciszek służył w Artylerii. Była to, jak mówił, bezpieczniejsza służba, bo na tyłach frontu, ale z niej trudniej było przejść na stronę Aliantów, o czym to marzyli prawie wszyscy Polacy, na siłę wcieleni do armii niemieckiej. Myślał o tym i nasz Franciszek. Aż wreszcie nadarzyła się okazja. Gdy cofała się linia frontu pod naporem aliantów, cofała się też i jego jednostka artylerii, w której służył Franciszek. Okazało się w tym zamieszaniu, że jeden z oficerów pozostawił ważne dokumenty w jakimś określonym miejscu. Trzeba było, by ktoś po nie wrócił i te dokumenty odzyskał. Wracać się to znaczyło wpaść prosto w ręce aliantów, a tego żaden rodowity Niemiec nie chciał. Zapadł zmierzch. I oto, niespodziewanie, Franciszek zgłasza się do dowódcy, że on pójdzie po te dokumenty, zdając sobie sprawę, że to może ostatnia szansa na przejście na drugą stronę. Ale Niemcy wnet zorientowali się, że Franciszek zaczyna iść w niewłaściwym kierunku, zaczęli wołać by go naprowadzić na właściwą drogę, ale gdy nie posłuchał, zdali sobie sprawę, że chce przejść na drugą stronę. Zaczęli strzelać, ale bezskutecznie. Udało się. I tak znalazł się na upragnionej stronie.

Już od sierpnia 1944 r. zgłosił się do Polskich Sił Zbrojnych i tam służył pod zmienionym nazwiskiem – Okoniewski. Tak robiono z każdym żołnierzem, który przechodził na stronę aliantów. Zmieniano nie tylko nazwiska, ale wszystkie dane, żeby po ewentualnym dostaniu się do niewoli niemieckiej nie zostali rozpoznani jako dezercerzy, bo wtedy „kula w łeb”.

Zagłównijmy raz jeszcze do książki K. Grodzkiej i A. Suchcitz na s. 105: „Od sierpnia stał się uczestnikiem kampanii w północno-zachodniej Europie, w Batalionie Strzelców Podhalańskich 1. Dywizji Pancerniej (gen. Maczka), następnie w oddziałach okupujących w Niemczech. Absolwent szkoły podoficerskiej. W listopadzie 1946 r. odkomenderowany do obozu treningowego dla pięściarzy w Meppen. W latach 1947–1948 służył w Polskim Korpusie Przynsposobienia i Rozmieszczenia (PKPR), zwolniony z Polskich Sił Zbrojnych (PSZ) w stopniu starszego strzelca. W 1961 r. wstąpił do Zgromadzenia Księży Marianów, składając śluby wieczyste 8 września 1968 r. Pracował w domach w Hereford (do 1968 r.) i w Fawley Court w dziale gospodarczym jako konserwator domu i gimnazjum, zakrystian i kierowca, uczestnik prac Apostolatu przy wysyłce wydawnictw oraz opiekując się ogrodem w Fawley Court, a szczególnie różami, które bardzo lubił”.

A teraz moje osobiste wspomnienia

Franciszek Zaborowski do postulatu wstąpił w Hereford 2 lutego 1961 r., nowicjat zaś rozpoczął tamże 8 września 1962 r. Ta początkowa formacja zakonna miała miejsce w Hereford, w naszym domu zakonnym, w którym ja już przebywałem od 1958 r. Tam też do 1968 r. razem ze mną pracował w Apostolacie Maryjnym, nazwanym później Biurem Miłosierdzia Bożego. Dlatego też mało znał ks. Józefa Jarzębowskiego, który miał wielki wpływ na naszych braci zakonnych w Anglii, bo zmarł 13 września 1964 r. Spotykali się jednak, bo br. Franciszek jeździł w różnych sprawach zakonnych do Fawley Court, gdzie ks. Józef pracował w założonym przez siebie Gimnazjum Miłosierdzia Bożego. Od czasu do czasu ks. Józef odwiedzał osobiście Hereford, gdzie oprócz Apostolatu Maryjnego istniał internat dla polskich chłopców im. Stanisława Kostki,

założony również przez niego. Chłopcy z internatu uczęszczali do angielskiej protestanckiej szkoły w Hereford na Berrington Street, a po południu, po powrocie ze szkoły, mieli w internacie naukę religii, języka polskiego, historii polskiej i śpiewu.

Zarówno ks. Józef jak i br. Franciszek byli wysokiego wzrostu. Mieli nieco ponad dwa metry. Gdy kiedyś ks. Bolesław Jakimowicz przywiózł ks. Józefa do Hereford, tak się złożyło, że przy powitaniu obydwaj stanęli obok siebie. Ktoś żartobliwie zapytał: „Kto też tak naprawdę jest większy, czy o. Józef, czy br. Franciszek?”

Wtedy zabrał głos ks. Bolesław i dał wszystkim odpowiedź: „Większym jest na pewno o. Józef, ale kto jest wyższy, trudno na oko osądzić”.

Tymczasem ks. Józef przywitał się bardzo serdecznie z bratem i ucałował tak „z dubeltówki” i powiedział mu: „Każdego z nas Bóg powołał do wielkości, jaką jest świętość, a gdy dążymy do niej, trudno osądzić, kto jest świętszy”.

Wkrótce br. Franciszek dał się poznać jako człowiek o wielkim sercu. Na każdą prośbę, potrzeby, kłopoty drugiego człowieka był pozytywnie nastawiony. Nieraz nie wysłuchał jeszcze do końca sprawy, a już wyrażał chęć pomocy, ale zawsze po uzgodnieniu z księdzem przełożonym. Utańczyło się takie przekonanie i powiedzenie, że do brata „jesmana” (fon. jesmana – czyli „tak człowieka”) śmiało można się zwrócić ze wszystkim o każdej porze. W niniejszym świadectwie chciałem przypomnieć trzy obszary jego pracy, w których ta jego dobroć, wrażliwość i zaradność dały się zauważyć w szczególny sposób: pionierska praca drukarza, uprzedzająca wrażliwość na potrzeby drugiego człowieka, znakomity hodowca bażantów.

Był taki okres w Apostolacie Maryjnym w Hereford w Anglii, w którym pracowali: ks. Jan Przybysz MIC jako dyrektor, br. Franciszek jako drukarz i ja, pomocnik ks. Jana. W dziale angielskim pracowali: państwo Anna i Wiliam Willisowie i br. Patrick, Irlandczyk. W sekcji polskiej dwie panie Polki z Hereford i pan Imiolczyk, organizator techniczny licznych pielgrzymek, jakie w owym czasie organizował Apostolat Maryjny w Hereford. W okresach wysyłkowych doraźnie pomagały panie wychowawczynie i niektórzy chłopcy z internatu.

Przez jakiś czas otrzymywaliśmy z naszego Apostolatu w Ameryce miesięcznik pt. *Róże Maryi*. Był on rozsyłany do naszych czytelników polskojęzycznych przeważnie w Anglii. Czytelnicy ci jednak domagali się jakichś wiadomości z terenu Anglii, a nie tylko z USA. Po dyskusjach i długim namyśle postanowiliśmy redagować najpierw *Dodatek do Róż Maryi*, a potem niezależne pismo *Zwiastun Miłosierdzia Bożego*. Przez długi czas drukowanie odbywało się metodą powielaczową. Artykuły były pisane na woskówkach (matrycach) przy użyciu zwykłej maszyny do pisania. Woskówki te zakładano potem na powielacz i drukowano potrzebną liczbę stron. Druk powielaczowy nie był zbyt czytelny, dlatego szybko zastąpiono go nowoczesną metodą offsetową. Ale jak ją zaprowadzić, skoro nikt z nas nie miał o tej metodzie zielonego pojęcia?

Napisaliśmy w tej sprawie do firmy trudniącej się sprzedażą maszyn offsetowych. Szybko przyjechał przedstawiciel i wyjaśnił nam ogólnie, na czym ta metoda polega. Zaproponował też dla jednej osoby bezpłatny dwutygodniowy kurs obsługi robienia metalowych matryc i drukowania. Ale kogo na ten kurs wysłać?

Problem ten rozwiązał br. Franciszek. Znał wystarczająco język angielski i tak powiedział do ks. Jana: „Ja mogę pojechać i spróbować, ale nie chciałbym, żeby po tym kursie nasz Apostolat musiał obowiązkowo nabyć tę maszynę, bo nie wiem, czy ja to wszystko zrozumieć wystarczająco”.

Ksiądz Jan wyraził obawy przedstawicielowi, jakie ma br. Franciszek, ten odpowiedział: „Kurs nikogo do niczego nie zobowiązuje. Ponadto po kursie na trzy tygodnie dostarczymy maszynę na miejsce do Hereford na próbę. Również bez żadnych zobowiązań. Zainstalujemy ją i w okresie próby będziemy służyć wszelką pomocą na żądanie. Po trzech tygodniach Apostolat sam zdecyduje o wszystkim”.

Za kilka dni br. Franciszek z wielką chęcią pojechał do Birmingham na wspomniany dwutygodniowy kurs. Zamieszkał u naszej dawnej herefordzkiej gospodyni pani Stefanii Kiczmy. Zadzwoił za kilka dni, że powoli wchodzi w te nieznane sobie tajemnice maszyny offsetowej. Wrócił zadowolony, a z nim wysłannik firmy z maszyną, który szybko ją zainstalował w odpowiednim miejscu i bardzo starannie wypozi-

mował. Razem z br. Franciszkiem rozpoczęli drukowanie. Podziwiałem br. Franciszka, jak wiele „załapał” z tej techniki offsetowej. Równocześnie zachował dużo spokoju, cierpliwości i radości. Wnet ukazał się nowy numer *Zwiastuna Miłosierdzia Bożego* wydrukowany nowoczesną metodą. Ksiądz Jan wyraził wielką wdzięczność br. Franciszkowi i zadowolenie za jego odwagę i za tę pionierską robotę. A br. Franciszek zaczął się prawdziwie cieszyć dopiero wtedy, gdy ks. Jan pokazywał mu listy od członków Apostolatu, w których czytelnicy wyrażali radość z tego, że *Zwiastun Miłosierdzia Bożego* jest bardziej czytelnym.

W dziale angielskim Apostolatu Miłosierdzia Bożego, jak już wspominałem, oprócz br. Patricka pracowało małżeństwo Anna i William Willis. Robili to bezinteresownie, dojeżdżając do nas na rowerach lub przychodzili na piechotę. Gdy była potrzeba, pozostawali na dłużej wieczorem. Mieszkali niedaleko od naszego domu, ok. 1 km przy Ross Road. Przy złej pogodzie br. Franciszek wyjeżdżał po nich samochodem. Pamiętał o tym obowiązku zawsze. Mieli mały domek a przy nim ogród warzywno-kwiatowy.

To br. Franciszek zwrócił się kiedyś do ks. Jana z taką propozycją: „Czy nie należałoby pomóc państwu Willisom w uprawie ogrodu, zwłaszcza w okresie wiosennym i jesiennym? Oni przecież tyle czasu poświęcają nam w Biurze Miłosierdzia Bożego. To ludzie starsi, słabowici, nie radzą już sobie z pracą fizyczną w ogrodzie?”

A ks. Jan na to: „Słusznie, bracie Franciszku, musimy kogoś znaleźć, by im pomógł od czasu do czasu w pilnych pracach”.

A br. Franciszek na to: „Ojcie Janie, oni nie zgodzą się, by ktoś obcy wchodził do ich ogrodu. Znam ich dobrze od tej strony... A czy ja nie mógłbym w miarę możliwości podjąć się tej pracy? Znam się trochę na ogrodnictwie”.

Ksiądz Jan odpowiedział: „Oj, bracie Franciszku, bracie Franciszku! Brat by rad wszystkim pomóc, a państwu Willisom nieba przychylić. Ale brat ma drukarnię, ostatnio uruchomiona została przez brata ciemnia fotograficzna do robienia płyt offsetowych, pomaga brat w naszym ogrodzie. Brat często też potrzebny jest w domu jako kierowca, a brat

jest zakonnikiem i ma różne obowiązki stąd wypływające, no i brat potrzebuje też wypoczynku”.

Franciszek na to: „Dziękuję, to może tylko tytułem próby ojciec się będzie przyglądał. Jak będzie za ciężko, ja sam ojcu powiem i zrezygnujemy z tej pomocy. Zresztą już kiedyś mówiłem, że człowiek, przynajmniej ja, najbardziej się męczy, gdy nie ma co robić”. Ksiądz Jan uśmiechnął się, skinął głową i wyrzekł niezbyt chętnie: „No dobrze”.

Ku radości wszystkich ta próba trwała wiele lat. Państwo Willisowie bardzo polubili br. Franciszka i bardzo cenili jego pracę. Uważali go za członka rodziny. Gdy bywałem u nich czasem, zaraz prowadzili mnie do ogrodu i pokazywali, co to nasz brat dokonał. Tym bardziej byli tym zadowoleni, bo wyczuwali, że br. Franciszek robi to dobrowolnie, z miłością i poświęceniem, ze znanstwem i z radością. Cieszył się i ks. Jan, bo zdał sobie sprawę z tego, że był to najlepszy sposób częściowego bodaj spłacania długu wobec państwa Willisów. A jaką radość miał sam br. Franciszek, to wyczuwało się z jego opowiadań. Pan Willis i jego żona siedząc przy herbacie często wspominali o wojnie. Brat Franciszek mówił o drugiej wojnie światowej a pan Willis o pierwszej, w której brał udział. Obaj byli niezadowoleni. Anglia straciła wiele w pierwszej wojnie światowej, Polska w drugiej.

Niestety, po jakimś czasie pan Willis poważnie zachorował. Widać było, że zbliżała się śmierć. Brat Franciszek był pod wrażeniem jego zachowania się przed śmiercią. Zawsze był uśmiechnięty i radosny: „Czy to jest w porządku”, pytał kiedyś ks. Jana w czasie odwiedzin, „że w chwili bliskiej śmierci jestem tak jakoś mało poważny? Wygląda na to, jakbym sobie nie zdawał sprawy, jak jestem wielkim grzesznikiem?”

Ksiądz Jan starał się dać jakąś sensowną odpowiedź, mówiąc mniej więcej tak: „Panie Willis, pracujesz już wiele lat w Biurze Miłosierdzia Bożego. Odpisywałeś często naszym członkom na ich listy pełne problemów życiowych. Jednym z nich to był brak ufności w miłosierdzie Boże. Przytaczałeś w listach często to powiedzenie Jezusa, że *większa jest radość w niebie z jednego grzesznika czyniącego pokutę niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy pokuty nie potrzebują*”.

A pan Willis na to: „Ojcie Janie, o to właśnie chodzi. Czy ja przypadkiem nie poczuwam się na tej ziemi za sprawiedliwego, czy ja nie okłamuję samego siebie i uważam, że to ja nie potrzebuję pokuty? Może ta moja radość jest fałszywa, nieuzasadniona?”

W tym momencie włączyła się jego żona, Anna: „Proszę ojca, ja właśnie mam z nim problem w tej sprawie. Wie ojciec, co mi wczoraj powiedział?”

„Że jeśli po śmierci będzie miał twarz uśmiechniętą, żebym poprosiła tych, którzy przygotowują ciało zmarłego do trumny, by mu zmienili twarz na poważną. Oni to robią na żądanie za małą opłatą”.

Pan Willis umarł za kilka dni w obecności br. Franciszka i swojej żony. Żona jednak go nie posłuchała. Gdy umarł, pozostawiła jego twarz taką, z jaką zasnął: spokojną, radosną, uśmiechniętą. Brat Franciszek był bardzo uszczęśliwiony, bo przed samą śmiercią pan Willis zawołał go bliżej do siebie i podziękował mu za jego serce okazywane jemu i jego żonie w czasie długich lat współpracy. Prosił, by gdy on umrze, pamiętał o jego żonie. Brat Franciszek miał zawsze przy sobie fotografię uśmiechniętej twarzy pana Willisa w trumnie. Dotrzymał słowa i nadal pracował w ogrodzie, a w razie potrzeby podwoził panią Annę do sklepów czy jakichś urzędów, mimo że już nie pracowała u nas w Biurze Miłosierdzia.

„Willisowie byli lepsi niż sami myśleli o sobie”, powiedział kiedyś ks. Jan. A ja mogę powiedzieć dzisiaj podobnie o br. Franciszku, że „i on był lepszy niż myślał o sobie”. Jeśli tak było, w co nie wątpię, to dlatego, że tej czystej miłości Willisów pracujących bezinteresownie w Biurze Miłosierdzia Bożego i br. Franciszka zaangażowanego w pielęgnacji ogrodu Willisów od samego początku towarzyszyła wzajemna miłosierna miłość.

Temat, jaki pragnę poruszyć teraz, zda się mieć mało co wspólnego z życiem zakonnym br. Franciszka, z jego pracą w biurze jako drukarza czy z życiem wspólnotowym domu herefordzkiego. O co chodzi?

Otóż do domu zakonnego w Hereford przyłączone były jeszcze dwa duże budynki, dawna obora dla owiec i magazyn na paszę. Pozostałości z dawnej owczej farmy. Czwartą ścianę ogrodu stanowił mur. W ten

sposób utworzył się mały, dziki ogród. W murze tym była mała bramka, przez którą można było wejść do ogrodu bez potrzeby otwierania głównych, szerokich drzwi od ulicy.

Któregoś roku na wiosnę z okna pierwszego piętra klasztoru ktoś zauważył, że w ogrodzie tym spaceruje bażant – kwoczka, ze stadkiem małych piskląt. Zainteresował się tym od razu br. Franciszek i zgłosił przełożonemu, że stadko to zginie z głodu, bo nie ma żadnego wyjścia na pola. Należałoby się tym zająć.

„Nie będzie to wymagało dużo czasu i pracy. Parę minut dziennie, by rzucić jakiegoś ziarna i dostarczyć w jakimś naczyniu wody”, relacjonował br. Franciszek księdzu przełożonemu.

Zgodę otrzymał. Piękna gromadka dzikich ptaków wkrótce przywiązała się do br. Franciszka. Gdy wchodził codziennie z ziarnem o tej samej godzinie do ogrodu, wychodziły z ukrycia i z każdym dniem coraz bliżej podchodziły do brata. Siadały mu na butach, a potem na rękach i ramionach.

Powstała myśl, by je zatrzymać dla swego użytku. Kończył się już drugi miesiąc od wylęgu piskląt. Zaczęły już podlatywać coraz wyżej w górę. Brat Franciszek założył nad murem dwumetrową siatkę, nie prostopadle, ale jak mu doradził hodowca bażantów w sąsiedztwie, pochyloną w kierunku ogrodu. Następnie poobcinał wszystkim bażantom po trzy najdłuższe piórka w skrzydłach, wskutek czego będą mogły wznieść się w górę najwyżej dwa metry.

Tak więc bażanty, całe stado rodzinne, pozostało w naszym ogrodzie. Ale br. Franciszek myślał już o Bożym Narodzeniu. Dlaczego? Otóż w Anglii jest zwyczaj, że na uroczysty, rodzinny obiad na Święto Bożego Narodzenia (wigilii przed Bożym Narodzeniem w Anglii nie ma) każda rodzina stara się o indyka. Natomiast biedna rodzina o jednego lub dwa bażanty, w zależności od zapotrzebowania. Brat Franciszek był w siódmym niebie, bo po uzgodnieniu wszystkiego z księdzem przełożonym dostał pozwolenie, by złożyć w prezencie na ten czas świąteczny po jednym zabitym bażancie biedniejszym rodzinom, oczywiście najpierw państwu Willisom, dwom paniom pracującym w biurze oraz organiście i innym. Radość obdarowanych była duża, tym większa, że niespo-

dziewana. Najbardziej cieszył się chyba sam br. Franciszek. Starczyło i dla nas. Trzy bażantki wraz z opiekunem bażantem pozostawiono do wiosny, by można było zagwarantować ciągłość hodowli. Tak powstała mała bażancia farma br. Franciszka. Była radością nas wszystkich.

W roku 1968 br. Franciszek został przeniesiony do Fawley Court. Potrzebowano więcej rąk do pracy przy rozwijającym się Kolegium Bożego Miłosierdzia. Pomagał w utrzymaniu domów, przy naprawie różnych instalacji. Najbardziej lubił prace w parku i różnych ogrodach, które przejął po śmierci br. Czesia. Latem 2005 r. po śniadaniu, jak zawsze, wyszedł do ulubionego parku. Zatrzymał się przy różach, które szczególnie uwielbiał. Nagle poczuł się źle. Upadł na alejkę, tknięty paralizem. Znalaziono go wnet i karetka zabrała go do szpitala. Stwierdzono wylew krwi do mózgu. Niestety nie dźwignął się już z tej choroby. Odwiedzali go różni znajomi, bracia zakonni, księża. Wszyscy byli zbudowani jego postawą. Był uśmiechnięty, gotowy na śmierć – na wzór wspomnianego pana Wiliama Williisa, którego fotografię uśmiechniętego w trumnie często ukazywał.

Brat Franciszek zakończył życie 15 lutego 2006 r. Najpierw w 1939 r., gotów był oddać je za wolność Ojczyzny pod sztandarem Białego Orła. Potem – zmuszony do walki pod sztandarem połamanego krzyża – szukał okazji, by jak najszybciej dostać się pod sztandar wolności gen. Władysława Maczka.

Zakończył swe życie, walcząc do końca pod sztandarem Niepokalanej. Z wdzięcznością i radością mógł wyśpiewać ostatnie wersety pieśni ks. Jarzębowskiego MIC „Błękitne rozwińmy sztandary”:

*Siać miłość będziemy wśród burzy i słot,
W zwycięski Ty powiedź nas szlak.
A gdy nam tchu będzie i mocy już brak,
Do nieba pokieruj nasz lot.*

ks. Franciszek Bieniasz MIC

BRAT ANTONI ZACHARUK MIC
(1887 – 1975)

W *Albumie Zmarłych* pod datą 8 kwietnia czytamy: „W 1975 r. zmarł br. Antoni Zacharuk w wieku 88 lat. Przez prawie 25 lat życia zakonnego mieszkając w domu nowicjackim, pracował jako krawiec. Do wspólnoty wnosił ducha pogodnej służby Bogu. Pochowany w Skórcu”.

Brat Antoni urodził się 14 maja 1887 r. w rodzinie rolników Mikołaja i Praksedy z domu Kalinka we wsi Szóstka, pow. Radzyń Podlaski, woj. lubelskie. Kościół w Szóstce, jako unicki, został w 1875 r. zamieniony przez rząd carski na cerkiew. Najprawdopodobniej także przodkowie br. Antoniego byli unitami. Wskazywałyby na to choćby imiona jego rodziców. Murowany kościół parafialny w Szóstce, zbudowany w latach 1889–1890 jako cerkiew prawosławna, po odzyskaniu niepodległości został w 1919 r. przywrócony dla kultu katolickiego jako świątynia parafialna. Można przypuszczać, że rodzice Antoniego nie uczestniczyli w życiu cerkwi prawosławnej, skoro w dokumentach świadectwo chrztu Antoniego znalazło się dopiero z 15 maja 1905 r. (nr 2333). Sakramentu chrztu udzielono osiemnastolatkowi w kościele parafialnym w Międzyrzecu Podlaskim. Brat Antoni miał rodzeństwo: brata Jana i siostrę Mariannę, która po zamążpójściu przyjęła nazwisko Maksymiuk.

Starania o przyjęcie do Zgromadzenia i zbieranie dokumentów podjął w połowie 1949 r. W kwietniu 1950 r., jako 63-latek podczas pobytu w postulacie na Bielanach napisał swój biogram. Dowiadujemy się z niego, że w siódmym roku życia zaczął uczęszczać do rosyjskiej wiejskiej szkoły powszechnej. Nauka trwała „zimową porą”. W lecie pasał bydło. W czternastym roku życia rodzice posłali go na naukę krawiectwa. Po dwóch latach już samodzielnie w okresie zimowym praktykował wyuczony zawód, a w lecie pracował w gospodarstwie. W ankiecie o znajomości języków wymienił polski, rosyjski i ukraiński.

Pielgrzymując do Częstochowy, dowiedział się, że w Nowym Mieście nad Pilicą jest zakon, który prowadzi różne warsztaty rzemieślnicze, m.in. krawiectwo. Pojechał tam. Zapisał się do III Zakonu. Przez pięć miesięcy doskonalił swe umiejętności krawieckie, po czym wrócił do

domu rodzinnego. W 1913 r. z ogłoszenia w prasie dowiedział się, że w Szymanowie jest nabór na *Kursy Handlowe*. W dokumentach znajduje się jako jedyne z jego edukacji świadectwo ukończenia 6-miesięcznych *Kursów Handlowych* w Szymanowie, przeznaczonych dla pracowników spółek wiejskich. Organizowało je Centralne Towarzystwo Rolnicze w Królestwie Polskim.

W 1915 r. został powołany do służby wojskowej i posłany na wojnę. Przebywał na terenie Rosji. Po trzech latach, bez uszczerbku zdrowia, powrócił do wolnej już Polski. Uczestniczył w odzyskaniu kościoła w swej wiosce, przerobionego na cerkiew. Zapisał, że: „Pracy, wyjazdów, przeszkód ze strony prawosławnych było bardzo dużo. Trzeba było wielkiej energii, by to wszystko pokonać. Wtedy byłem w swojej wsi najpotrzebniejszy”.

Zachowało się także intymne wyznanie: „W tym czasie poznałem jedną pannę, której oświadczyłem się, ale niestety, uprzedził Zaciejszy, któremu się oddała, i już dobiega 30 lat, jak się znajduje w Zgromadzeniu Sióstr Urszulanek. Ja po dwóch latach tęsknoty nie szukałem więcej sympatii. Starałem się gdzieś wstąpić do zgromadzenia, ale wszędzie mi mówiono, że «za późno»”.

Podjął więc pracę krawca w domu rodzinnym. Jako krawiec był także zatrudniany w okolicznych wsiach, w domach zamożnych gospodarzy. Swoje życie powierzył Maryi Niepokalanej. W połowie 1949 r., jak napisał, „jakby cudownie” trafił na Bielany i podjął starania o przyjęcie do naszego Zgromadzenia.

Na Bielanach odbywał też swój postulat. W podaniu o przyjęcie do nowicjatu 2 kwietnia 1950 r. napisał: „Z dniem 15 kwietnia bieżącego roku upływa sześć miesięcy, jak się przypatruję temu zakonnemu rodzajowi życia, który w 100% mi się podoba. Toteż utwierdziwszy się w powołaniu i zasmakowawszy, że wyżej wspomniany rodzaj życia jest słodki, piękny, wzniosły i szlachetny, mam zaszczyt pokornie prosić Przewielebnego Ojca Prowincjała, jeśli zasługuję, o przyjęcie mnie do nowicjatu, by już na stałe oddać się na służbę Panu Bogu”.

Mistrz nowicjatu, ks. Czesław Fajkowski, 64-letniego już nowicjusza tak scharakteryzował: „Intencja dobra, aspiracje niezbyt górne. Człowiek prosty, spokojny [...]. Krawiec niezły, pracowity, staranny, ofiarny. Pobożność dewocyjna [...]. We współżyciu łatwy. [...]. Ludzie w takim wieku więcej muszą mieć czasu na przyswajanie nowości”.

W podaniu o złożenie pierwszej profesji z 24 czerwca 1951 r. pisał: „Mam zaszczyt pokornie prosić Przewielebnego Ojca Prowincjała i Jego Radę Prowincjalną o dopuszczenie mnie do złożenia ślubów, rad ewangelicznych w Zgromadzeniu Księży Marianów od Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, abym łatwiej dostał zbawienia wiecznego. Mam nadzieję i ufam, że moja prośba będzie wysłuchana i o ile zasługuję zaakceptowana, o co pokornie proszę”.

W testamencie pisany 14 sierpnia 1951 zapisał: [...] „maszynę do szycia „Singer”, przybory krawieckie, wszystkie książki i pościel zapisuję na Zgromadzenie Księży Marianów. Należną mi spłatę majątkową stosownie do wyroku Sądu Okręgowego Siedleckiego, Wydział Zamiejscowy w Białej Podlaskiej, z dnia 24 lipca 1939 r. Nr 157/39 zapisuję na siostrzenicę Janinę Maksymiukównę”.

Pierwszą profesję złożył w uroczystość Wniebowzięcia NMP 15 sierpnia 1951 r. na ręce ks. Czesława Fajkowskiego, mistrza nowicjatu, a po trzech latach, 15 sierpnia 1954 r., profesję wieczystą, również w Skórcu, i także na ręce ks. Czesława Fajkowskiego. W prośbie o śluby wieczyste napisał:

„Ja, Zacharuk Antoni, mam zaszczyt pokornie prosić Przewielebnego Ojca Prowincjała i Jego Radę o dopuszczenie mnie do złożenia ślubów zakonnych już na zawsze w Zgromadzeniu Księży Marianów od Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny według Konstytucji tegoż, jeśli takowych będę godny uznania”.

Całe swoje życie zakonne, poczynając od nowicjatu, br. Antoni przeżył w jednym domu: w Skórcu. Był chyba też najstarszym nowicjuszem w Prowincji.

Na koniec jeszcze słówko wspomnieniowe po prawie 50 latach od spotkania br. Antoniego w Skórcu.

Bratu Antoniemu, mimo tak późnego startu, dane było przeżyć w Zgromadzeniu prawie 25 lat. Był współbratem przyjaznym, życzliwym, pogodnym, pokornym, pobożnym. Zarówno w okresie życia w świecie, jak i potem w Zgromadzeniu był pracowitym, solidnym krawcem. Opowiadał, że prosił Pana Jezusa i Jego Matkę, aby mimo podeszłego wieku mógł uszyć w Zgromadzeniu 100 sutann. Szył je zwłaszcza dla współbraci, ale pewną część uszył także dla okolicznych księży diecezjalnych. Starannie prowadził rejestr zamawianych i wykonanych sutann. Jego prośba została w dwójnasób wysłuchana. Gdy po zakończeniu nowicjatu w sierpniu 1967 r. zgłosiłem się u niego do miary, zapisując wyniki mierzenia, powiedział mi, że jest to już 197 uszyta przez niego sutanna. A żył jeszcze osiem lat.

Był współbratem pogodnym. Lubił dzielić się radością z młodszymi. (Był wtedy najstarszym członkiem klasztoru skórzeckiego). Miał bogaty repertuar dowcipów: oto jeden z zapamiętanych przeze mnie: dowcip o perkalu. Brat opowiadanie z zasady rozpoczynał długą salwą coraz głośniejszego śmiechu: „Chłop pojechał do miasta na targ i chciał sprzedać swą szkapinę. Szkapina nie wyglądała nazbyt zachęcająco. Było to stworzenie wychudzone. Dwaj handlarze koni rozmawiali. Jeden z nich powiedział: ‘Zażartuję sobie z chłopą’. Ale drugi go powstrzymał: ‘Nie zaczepiaj go, bo może cię zawstydzić’. Jednak ten pierwszy, przechodząc obok kobyły wystawionej na sprzedaż, nie wytrzymał i ciągnąc skórę chudej szkapy, zapytał: ‘Chłopie, a ile kosztuje metr tego perkalu?’ Chłop zaś uprzejmie odchylając ogon konia powiedział: ‘Wejdz pan do środka sklepu i zapytaj sprzedawcę’”.

Tu wybuchał śmiech słuchaczy. Tym lepiej, im głośniejszy i dłuższy, a także serdeczny śmiech br. Antoniego.

Brat Antoni lubił słodką herbatę. Nowicjusze chętnie wyręczali go przy jej słodzeniu. Był zadowolony, gdy do jego kubka wsypano nawet 6–8 łyżeczek cukru.

O pobożności br. Antoniego była już mowa. W kaplicy zwykle pozostawał bezpośrednio po poobiednim nawiedzeniu i odmawiał różaniec. Na jego miejscu były dwie poduszki: na siedzeniu i na klęczniku. Zdarzało się niekiedy, że swój różaniec odmawiał aż do nowicjackiego

nabożeństwa przed kolacją. Korzystał wtedy ze słów pieśni „Wszystkie nasze codzienne sprawy... – niech Cię nawet sen nasz chwali”. Wówczas jeden z nowicjuszy miał zwyczaj pukać w jego ławkę i głośno mówić formułę używaną przez ekscytatora: *Benedicamus Domino*. Oczywiście trudno było dziwić się ówczesnemu osiemdziesięciolatkowi: jego wiek miał swoje prawa.

ks. Antoni Skwierczyński MIC

Wspomnienie o bracie Antonim Zacharuku MIC, Warszawa, 25 lutego 2016 r.



Aby wytrwać w dobrym i otrzymać więcej pomocy na drodze zbawienia, br. Antoni Zacharuk podjął życie zakonne w 63 roku życia. Był jeszcze pełen sił i zapału. Wiele widział i wiele przeżył. Ale był jak kupiec szukający najkosztowniejszej perły. Sądził, że dla niego tą perłą, za którą trzeba oddać wszystko inne, jest życie zakonne. W notesie zapisał słowa św. Magdaleny de Pazzi: „Stan zakonny to droga najkrótsza, najłatwiejsza i najpewniejsza do nieba”. Podkreślone słowa „do nieba” świadczą o nastawieniu jego na życie wieczne, na sprawy ostateczne.

Urodził się na Podlasiu 14 maja 1887 r. Przez długie lata swego życia trudnił się krawiectwem. Odznaczał się gorliwością o sprawy Boże. W młodym wieku zapisał się do tercjarzy. Modlitwa i troska o codzienną wierność Bogu podtrzymywała jego radość i pogodę ducha. Dostrzegł, że pełnię radości i szczęścia daje służba Chrystusowi, który jest *Drogą, Prawdą i Życiem*. Dlatego w 63 roku życia, nadal w pełni sił i zapału wstąpił do Zgromadzenia Marianów. Miłość do Niepokalanej Maryi przywiodła go do Zgromadzenia poświęconego Jej czci. Bo też z dziecięcą prostotą oddawał cześć Matce Najświętszej. W jego ręku często można było dostrzec różaniec. W swym notesie wpisał wszystkie święta Matki Bożej w ciągu roku. Spis ten zakończył krótką modlitwą: „Niech nam błogosławi i sprzyja z Synem swoim Panna Maryja”.

Niemal do ostatka modlił się, wzywał Maryi i Jezusa. Święto Zwiastowania NMP, obchodzone 7 kwietnia, stanowiło wspaniałą okazję do przygotowania się na śmierć. Tego dnia nie tylko odmawiał cały

różaniec, ale spontanicznie przyzywał Matkę Bolesną, prosząc Ją, by wyjednała dla niego wsparcie u swego Syna.

Pod koniec swych notatek w notesie przepisał opowiadanie o Matce Bożej: „Oto Jan Apostoł wziął Maryję do siebie. Po jej chwalebnym wniebowzięciu udał się na miejsce, gdzie miecz boleści przeniknął serce Maryi – na Górę Kalwarię. Pan Bóg wysłuchał tej modlitwy i ukazała mu się Matka Boża w towarzystwie Jezusa. Jan słyszał, jak Maryja prosiła Jezusa, aby Janowi i wszystkim, którzy będą rozpamiętywać Jej boleści, udzielił szczególnych łask.

Jezus miał odpowiedzieć, że czterech spodziewać się mogą czciciele Twoich boleści:

- żalu doskonałego za grzechy przed śmiercią,
- pomocy w utrapieniach, mianowicie w ostatniej godzinie,
- głębokiego zrozumienia Moich i Twoich Maryjo boleści i współczucia dla nich,
- łaski, że wstawiennictwa Twego na ziemi chętnie wysłucham”.

Może właśnie rozważanie boleści Maryi i wielka cześć dla Niej przyczyniły się do tego, że br. Antoni te łaski otrzymał. Umierał świadomie, przez wiele godzin przygotowując się w modlitwie i cierpieniu na śmierć, mówiąc o niej z pogodą ducha i radością. Żałował za swe grzechy i ze spokojem prosił Boga o łaskę miłosierdzia.

Często rozważał Mękę Jezusową. W notesie zapisał wierszowaną modlitwę:

*Pan Bóg wszystko w każdy czas
Widzi, słyszy, czyta w nas.
Rozważ, że za grzechy twoje
Jezus poniósł śmierć, krzyż, znoje.*

Niepokalana Maryja wskazała mu drogę do Jezusa. W notesie miał przepisaną modlitwę, w której są również słowa skierowane do Maryi: „I bezpieczną drogą prowadź nas do celu, wtedy szczęście nasze znajdziem w Zbawicielu”.

Często można było go spotkać w kaplicy nowicjackiej, pogrążonego w modlitwie przed Jezusem w Eucharystii.

Z miłości do Zbawiciela i Jego Matki płynęła jego dobroć i życzliwość do bliźnich. Cieszył się, że modlitwą i żmudną krawiecką pracą może pomagać innym.

Zżymał się nieraz na samego siebie, że nie potrafi całym sercem iść drogą Bożą. Z głęboką pokorą szukał pojednania z Bogiem, pragnąc, aby dalsze życie było bez reszty Jemu oddane.

ks. Zygmunt Proczek MIC

Immaculata, 1975, nr 4, s. 1–4.

<><><>

Brata Zacharuka poznałem podczas mojego nowicjatu w Skórcu (1974–1975). Był wówczas już bratem krawcem „na emeryturze”, bo podeszły wiek nie pozwalał mu na pracę z igłą i nicią. Ale był bratem krawcem zrealizowanym! Spełniło się jego gorące pragnienie, ponieważ kiedy już jako 63-letni mężczyzna wstępował do marianów, to chciał w zakonie uszyć jeszcze 100 sutann. Z dumą nam mówił, że uszył ich 200! Dożył w zakonie do srebrnego jubileuszu ślubów! My, nowicjusze, wszyscyśmy go bardzo lubili, bo był pogodnego usposobienia. Spod wąsa i z lekkim zezem w jednym oku spoglądał na nas pobłaźliwie i z uśmiechem przyjmował nasze żarty. Nie złościł się, kiedy liczyliśmy mu łyżki cukru, przez nas wsypywane do jego szklanki z herbatą.

Po wylewie wymagał stałej opieki. Czuwaliśmy przy nim dniem i nocą. Opowiadał nam wówczas swoje przeżycia ze świata i dziękował Bogu za łaskę życia zakonnego. W klasztorze nowicjackim mieszkał w pokoju najbardziej oddalonym od łazienki. Kiedy w nocy szedł do niej, pociągał nogą po posadzce.

Wszyscy byliśmy przy łożu jego śmierci. Z poddaniem się woli Bożej przyjął ostatnie sakramenty i z gromnicą w rękę, pogodnie odszedł do Pana.

Ta śmierć wryła się głęboko w mojej pamięci. Była dla mnie mocnym momentem formacyjnym, bo po raz pierwszy byłem przy umieraniu człowieka. Razem z ks. Edmundem Grabowskim MIC przygotowaliśmy ciało br. Antoniego do trumny.

W pierwszą noc po jego pogrzebie słyszałem charakterystyczne szuranie po korytarzu klasztornym. Bałem się wyrzeć na korytarz, aby sprawdzić, czy to moje przesłuchanie się, czy to jeszcze jeden z dowiecipów ks. Jana Kosmowskiego MIC. A może rzeczywiście duch naszego drogiego br. Antoniego?

Jedno jest pewne: „duch” br. Zacharuka był ważnym elementem w formowaniu naszego ducha zakonnego.

Dzięki ci bracie Antoni! Odpoczywaj w pokoju!

ks. Marek Szczepaniak MIC

Góra Kalwaria, czerwiec 2016 r.

<><><>

Nie do mnie, bracie, na naukę

Pod sześćdziesiątkę miał, krawcem był, gdy do marianów wstąpił. „Sto sutann uszyję i umierać mogę”, mawiał. Uszył ich o wiele więcej, nim odszedł z tego świata.

Kiedyś nowicjusze puścili niewinną plotkę, jakoby br. Franciszek Ruda za krawca, do Skórcza przyjechał. Przejął się tym i zagrożonym się poczuł krawiec br. Antoni Zacharuk. Gdy br. Franciszek u br. Antoniego się zjawił, nim usta otworzył, tak go brat krawiec przywitał: „To brat tu za krawca przyszedł?” „Ależ nie. Najwyżej maszynę może mi brat sprzeda?”, odparł br. Franek. „Co to, to nie”, oponuje br. Antoni. „Adres zmyliłeś. Nie do mnie na naukę. A jeśli to prawda, że krawcem chcesz być, to do br. Łojko się zgłoś”.

Rozchorował się z tego br. Antoni, i choć już wtedy setną sutannę zaliczył, myślał staruszek, że do dwusetnej dociągnie.

Na głodnego mam umierać

Zachorował br. Antoni. Częściowo sparaliżowało mu rękę i nogę. Cóż poradzić? Jak mówi przysłowie: „Starość nie radość, śmierć nie wesele”. Wyprosił u nowicjuszów, a było to w Skórcu – by go na wózku zawieźli na cmentarz, by tam według gustu dobre miejsce na wieczny spoczynek wybrać. Miejsce wybrał i cieszył się, że przełożonemu z tym nie zrobi w przyszłości kłopotu.

A potem już zległ na dobre. Wiele cierpiał, ale po Bożemu, z humorem. Dni jego były już policzone. Wiedział o tym. I gdy już było po obiedzie, bracia do jego celi przybyli, by go odwiedzić, a właściwie pożegnać na zawsze. Staruszkowi choremu nie przyniesiono obiadu. Stąd też tak przywitał chory wchodzących braci: „Cóż to bracia na głodnego mam umierać?” Obiad przynieść kazał. Zdziwili się wszyscy, bo ostatnimi czasy, br. Antoni nic prawie nie jadł. Obiad z trzech dań nowicjusze przynieśli. Pojadł sobie staruszek, pochwalił, podziękował. Potem do kaplicy kazał się zanieść. A tam się serdecznie rozmodlił Jezusowi, Jego Matce polecił, coś tam długo szeptał, a potem w celi wszystkich czule pożegnał „Pochwalonego” powiedział i umarł. Lat miał ponad 80.

ks. Jan Karbasz MIC

Immaculata, 1982, nr 6-7, s. 118-119.

BRAT BRONISŁAW ZAŁUSKI MIC (1888 – 1963)

Bronisław Jan Załuski, potomek ziemian ze Zbijewka koło Włocławka, urodzony 6 maja 1888 r., od najwcześniejszych lat życia wyróżniał się dużą religijnością. Może działał tak na niego przykład proboszcza, Wacława Bliźnińskiego (słynnego potem działacza społecznego), z którym nawiązał serdeczne więzi? Pewnie tak. Ale – jak sam wyznał kiedyś o sobie – zadatki religijności wziął przede wszystkim z domu. Jednakże jego dzieciństwo, a potem młodość, przypadły na trudny okres niewoli narodowej.

Gdy rodzina opuściła majątek na wsi i przeniosła się do Włocławka, młody Bronisław podjął naukę w Szkole Handlowej, gdzie w całej rozciągłości mógł doświadczyć carskiej polityki rusyfikacyjnej. Był nawet – razem ze swoim starszym bratem Henrykiem – jednym z organizatorów strajku szkolnego, co przypłacił dwutygodniowym aresztem. Okres dojrzewania przyniósł mu jeszcze inne trudności – wewnętrzne, związane z osobistymi problemami i kryzysem wiary. Przed tym drugim obroniła go choroba matki. Okazała się błogosławieństwem. Lęk przed utratą ukochanej osoby spowodował ponowne zwrócenie się do Boga. Pan Bóg stawiał też na jego drodze kolejne osoby, które pomagały mu w duchowym wzroście: ks. M. Owczarka, osobistego spowiednika (późniejszego biskupa), oraz ks. J. Kabatę, szkolnego prefekta.

Po maturze (1907 r.) udał się na studia do Warszawy, gdzie dane mu było spotkać następną osobę, która wywarła na niego duży wpływ – hrabinę Cecylię Plater-Zyberkównę z ukrytego Zgromadzenia Sióstr Pośłanniczek, uznaną działaczkę społeczną i propagatorkę katolickiego wychowania młodzieży. Korzystał z jej pomocy finansowej, ale też czynnie angażował się w działalność zainicjowanych przez nią młodzieżowo-akademickich grup odnowy religijnej. W 1908 r. przeniósł się na studia agrarne na Uniwersytet Jagielloński w Krakowie. Wysłuchał też wielu innych wykładów (m.in. z zakresu filozofii, historii i socjologii). Studia w Krakowie nie zgasiły jego zapału w zakresie aktywności w religijno-społecznych ruchach akademickich. Wstąpił do ruchu odrodzeniowego „Polonia” i stworzył w jego ramach tzw. Seminarium Etyczne, mające na celu zapoznawanie akademików z etyką katolicką oraz formowanie ich życia wewnętrznego. Latem 1914 r. ukończył studia z najwyższymi notami.

Rozbudzona aktywność wewnątrzkościelna Załuskiego wciąż domagała się aktualizacji. Pragnął być w Kościele świeckim apostołem, angażującym się w prace na rzecz duchowej i społecznej odnowy Kościoła i narodu. Przedziwne drogi Opatrzności doprowadziły go już w trakcie studiów do spotkania z Ojcem Jerzym Matulewiczem, który w owym czasie dokonywał potajemnej – w ukryciu przed władzami carskimi – odnowy Zakonu Marianów. W 1914 r., dane mu było po raz kolejny spotkać się z Odnowicielem marianów w Krakowie. Jako że trwał w pewnych rozterkach, co do wyboru własnej drogi (ówczesny Kościół nie miał do zaproponowania zbyt wielu form aktywności dla osób świeckich),

poprosił Ojca Matulewicza (wówczas przełożonego generalnego maria-
nów) o wskazówki. Efektu tej rozmowy nie przewidział ani na jotę –
postanowił wstąpić do marianów. Rzecz o tyle była niesłychana, że nigdy
wcześniej nie brał pod uwagę życia zakonnego. Co zatem było tym „ko-
ronnym argumentem”, przemawiającym za obraniem takiej drogi życia?

Zawsze był niespokojnym, w jakimś sensie „reformatorskim” duchem.
Taka postawa zaś, odpowiednio ukierunkowana, mogła przynieść Kościo-
łowi wiele pożytku. Z ust Ojca Matulewicza usłyszał słowa, które głęboko
zapadły w jego umysł i serce: „Dla Pana Boga trzeba umieć utonąć”.
Z rozmowy z ojcem generałem wywnioskował również, że mariańskie
Zgromadzenie ma w sobie ów walor umiejętnego przystosowania się do
potrzeb współczesnego Kościoła i społeczeństwa.

Nigdy nie myślał o tym, by zostać księdzem. Decydując się na wstą-
pienie do zakonu, chciał być bratem zakonnym. Marianie mogli mu dać
to, o czym zawsze marzył – z jednej strony możliwość własnego
uświęcenia, z drugiej zaś czynnej pracy dla Chrystusa i Kościoła. Ojciec
Odnowiciel wyznaczył bowiem braciom w Zgromadzeniu zaszczytną rolę
pracowników apostołskich na równi z kapłanami, zwłaszcza w śro-
dowiskach niechętnych Kościołowi. Taką posługę miała braciom ułatwić
rezygnacja z noszenia stroju zakonnego; mieli oni chodzić na świecko
i w niczym na zewnątrz nie ujawniać swojego zakonnego powołania.

W czerwcu 1916 r. Bronisław Załuski rozpoczął w Warszawie nowicjat
zakonny. Rok później na ręce ojca generała złożył pierwsze śluby. Po nich
rozpoczął się ciąg aktywnych prac: najpierw działalność w Towarzystwie
Przyjaciół Młodzieży, następnie w Stowarzyszeniu Młodzieży Akademi-
ckiej „Odrodzenie” (założonym przez Władysława Lewandowicza,
późniejszego kapłana, marianina). Zajął się także pracą naukową jako
asystent przy Katedrze Nasionoznawstwa i Uprawy Roślin w Szkole
Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Pisał wiele artykułów
na tematy związane z agronomią. W 1927 r. zdobył tytuł doktora nauk
rolniczych i na tym zakończył karierę naukową. Od 1919 r. był nauczycie-
lem w gimnazjum prowadzonym przez marianów na warszawskich
Bielanach, a w 1921 r. został jego dyrektorem. Praca w Kolegium absor-
bowała go na tyle, że musiał zrezygnować z innych zaangażowań. Oprócz
prowadzenia zajęć (przyroda, geografia, higiena, podstawy wiedzy o Pols-

ce i świecie współczesnym) wiele czasu poświęcał sprawom organizacyjnym. Był też członkiem Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych w Warszawie, co pozwalało mu na podnoszenie kwalifikacji własnych oraz pracującego w gimnazjum grona pedagogicznego. Chciał mieć w szkole fachowców. Wiedział doskonale, że dobrze prowadzona praca wychowawcza i dydaktyczna stanowi świetną inwestycję w dobro kraju i społeczeństwa. Spełniała się więc doskonale jego nadzieja z okresu przed wstąpieniem do Zgromadzenia, żeby móc pracować dla odrodzenia Kościoła i narodu.

Jego niezwykle poświęcenie czynione na rzecz Kolegium Bielańskiego, w połączeniu z ogromną kulturą osobistą i towarzyską ogładą (co też podkreślali wszyscy, którzy mieli z nim do czynienia), owocowało szacunkiem ze strony współpracowników i sympatią wychowanków. Wśród tych ostatnich krążył żartobliwy wierszyk o *Panu Dyrektorze* (jak go wszyscy na Bielanach tytułowali): „Jam nie kozak, ni Skrzetuski – jeno hr. dr br. Załuski”.

Ktoś inny napisał potem: „Imponował wszystkim swoją powagą, swymi umiejętnościami naukowymi, swymi wyczynami sportowymi [...] i tym, że był bratem zakonnym. Nie do wiary: doktor, inżynier, dyrektor i – brat zakonny”.

Nigdy, nawet w zakonie, nie wyzbył się swych hrabiowskich manier. Świadczyła o tym wciąż jego sylwetka i zewnętrzna postawa. Niemniej nikt nie mógł mu nigdy zarzucić świeckości życia. Był zakonnikiem w każdym calu. Współbracia podziwiali jego ogromną gorliwość, wysoki poziom życia wewnętrznego i troskę o rozwój wspólnoty zakonnej. Jego ziemiańskiemu pochodzeniu towarzyszyła postawa pokory i duch autentycznego ubóstwa, a wyniesione z domu wychowanie w Zgromadzeniu owocowało solidnością w pracy oraz umiłowaniem porządku i dyscypliny.

„Zgromadzenie w pełni swojego życia to jak dom doskonale zbudowany, umebłowany i urządzony w najdrobniejszych szczegółach”, takie słowa zawarł br. Załuski w referacie napisanym z okazji jednej z kapituł zakonnych. Osobiście też czynił starania, by dom ten był „doskonale zbudowany”. Żył sprawami Zgromadzenia i analizował jego dokonania oraz braki. Niedociągnięciom wytaczał „wojnę”, czego przykładem były wnioski składane na kolejne kapitule. Dziś stanowią one swoisty

testament br. Załuskiego – człowieka pełnego troski o swą rodzinę zakonną. Gdy zaś – na skutek perfidii władz państwowych – w 1947 r. przyszło mu się rozstać z pracą w Kolegium Bielańskim, podjął skromną pracę w administracji klasztornej na Bielanych.

W 1954 r. władze komunistyczne wypędziły marianów z Bielan. Przełożeni przenieśli br. Załuskiego do klasztoru w Skórcu. Lata swej obecności w Skórcu spędził na zgłębianiu problemów mariańskiej duchowości i charyzmatu. W związku z tym sporządzał pewne opracowania. Nawiązywał w nich do celów postawionych marianom przez ich Założyciela, Ojca Stanisława Papczyńskiego. Umiejętnie starał się łączyć ducha obu ojców: Założyciela i Odnowiciela. Widział dla marianów specyficzną rolę w Kościele, związaną z ich duchowością – pracą nad odnową kultu maryjnego oraz szerzenie prawd o rzeczach ostatecznych.

Nadwyreżone siły br. Załuskiego powoli słabły, tak że w lutym 1963 r. musiał być przewieziony do pobliskiego szpitala w Siedlcach. Dnia 12 lutego odszedł po swoją nagrodę do Ojca Niebieskiego. Umarł „pocziwy, stary, kochany dyro”, jak niegdyś rzekł o nim współbrat z nowicjackiej ławy, ks. Józef Jarzębowski. Uroczystości pogrzebowe odbyły się w miejscu, z którym tak bardzo związał się za życia – na warszawskich Bielanych.

Krzysztof Trojan

„Pan Dyrektor – Br. Bronisław Załuski MIC (1888-1963)”, *Miriam* 2004, nr 15, s. 20-23.



Postać br. Bronisława Załuskiego należy do najpiękniejszych kart mariańskiej historii, która urzeka, zadziwia i fascynuje. Był on człowiekiem, któremu spodobało się zostać, i to w sposób niespotykany, bratem zakonnym. Wszechstronnie wykształcony, ze znajomością kilku języków obcych, z dwoma doktoratami (z filozofii i agronomii), z ponad 30-letnią działalnością wychowawczo-pedagogiczną, a przy tym prostota połączona z niesłychaną uczciwością charakteru, tylko w części odślaniają niezwykle bogactwo jego osoby.

Wszystko zaczęło się tak niewinnie. Pewnego razu (było to w 1911 r. w Warszawie) spotkał on ks. Jerzego Matulewicza. Młody wówczas student Bronisław przeżył olśnienie. Osoba ks. Matulewicza, dziś błogosławionego, zauroczyła go. Na usłyszaną propozycję życia zakonnego, o którym nie myślał, odpowiedział negatywnie. Planował robić co innego. Ksiądz Jerzy zwrócił się wtedy do niego ze słowami: „Dla Pana Boga trzeba umieć utonąć”. Brat Załuski wyznał później: „Słowa te przychodziły mi na pamięć żywo i wyraziście. Rozmyślałem nad nimi, dochodząc do przekonania, że życie nasze w świetle rozumu oświeconego wiarą winno służyć tylko wypełnianiu woli Bożej. Wszystko inne, chociażby samo przez się nie było złe, nie przynosi zadowolenia, a przeciwnie, w chwili krytycznej sprawia niepokój, jakbyśmy życie zmarnowali”.

Bronisław Załuski przychodzi na świat 6 maja 1888 r. w rodzinie ziemiańskiej ze Żbijewka koło Włocławka. Swoją mamę nazywa „aniołem dobroci”, ojcu zawdzięcza prawość sumienia. „Przedmiotem chluby – słyszy – nie mogą być nigdy ani pochodzenie, ani herb, lecz książka i to, co w głowie”. Wzrasta w głębokiej atmosferze patriotycznej. Nieustannie przypomina o tym zawieszony w gabinecie ojca obraz Mikołaja Kopernika. W 1905 r. Bronisław bierze udział w strajku szkolnym. Dwutygodniowy areszt to nieukrywany powód do chluby dla jego ojca. W 1907 r. rozpoczyna studia w Warszawie, a następnie przenosi się do Krakowa. Okres studiów to żywa działalność związkowa, spotkania z ciekawymi ludźmi. Młody Załuski daje się wtedy poznać jako dobry mówca, pisarz, organizator i kolega.

Do Zgromadzenia Księży Marianów wstępuje w czerwcu 1916 r. Umiłowany Ojciec, ks. Jerzy Matulewicz, pełni rolę mistrza nowicjatu. Tam podczas trwającej jeszcze okupacji (I wojna światowa), w warunkach bardzo trudnych – głód, zimno i brak światła – kształtuje się nowe powołanie zakonne.

W 1919 r. Bronisław Załuski rozpoczyna pracę na Bielanych. Oddaje się bez reszty idei powołania gimnazjum i chrześcijańskiego wychowania chłopców. Tutaj przyjdzie mu zostawić serce: najpierw jako nauczyciel i wychowawca, a w dwa lata później już jako dyrektor. Pracuje z taką pasją, iż wkrótce gimnazjum na Bielanych staje się jedną z najlepszych szkół tego rodzaju w międzywojennej Polsce. Po wizytacji

międzynarodowej komisji bielańskie gimnazjum uznano na równi z najlepszymi w Europie: Feldkirchen w Tyrolu i Maredsous w Belgii. System szkoły opiera br. Załuski na etyce i religii. Uczciwość i sumienność, Bóg i świętość to nieustannie obecne wartości w nauczaniu młodzieży męskiej. Załuski stoi na stanowisku realizacji programu sięgającego korzeniami doświadczeń z własnej młodości, celowego kształcenia młodzieży w perspektywie potrzeb kraju. „Imponował wszystkim – pisał jeden z uczniów – swoją powagą, swymi umiejętnościami naukowymi, swymi wyczynami sportowymi (jazda konna, łyżwy – jazda figurowa) i tym, że był bratem zakonnym. Nie do wiary: doktor, inżynier, dyrektor i brat zakonny u Księży Marianów. To zmuszało nawet najbardziej opornych chłopców do szacunku”.

Dyrektor Załuski nieustannie zabiega o podnoszenie kwalifikacji nauczycieli, starannie dobiera grono pedagogiczne. Zdarza się, że jednego roku na staż za granicę wyjeżdża aż 8 nauczycieli. W 1936 r. posądzono go o sprzyjanie tylko bogatym uczniom. W tej sytuacji był zmuszony opuścić ukochane Bielany. Po dwóch latach nieobecności poproszono go o powrót i ratowanie podupadłego mariańskiego gimnazjum.

Brat Załuski był człowiekiem bardzo poważnie traktującym zasady życia zakonnego. Zgromadzenie obdarza miłością, służy mu wszystkimi siłami. Chętnie dzieli się swoim doświadczeniem. Wielokrotnie zgłasza inicjatywy i zabiega o jego rozwój. Ulubione jego tematy to: cześć Maryi, pobożność i formacja braci. Kaplica i kościół to miejsca, w których często i długo spędza czas.

Doniosłość postawy Bronisława Załuskiego polega na wierności powołaniu jako brata. Wszechstronne jego talenty niejednokrotnie przyczyniają się do przyjęcia święceń kapłańskich. On jednak ich nie chce. Broni tożsamości i roli brata w Zgromadzeniu. Odwołuje się do idei Ojca Matulewicza: brak stroju duchownego braci umożliwia wnikanie w różne środowiska społeczne. Narzędziami pracy, o czym jest przekonany, obok właściwej formacji, ma być przede wszystkim przykład własnego życia. Bracia jako łącznicy czy pośrednicy między społeczeństwem i kapłanami mają zabezpieczyć Zgromadzenie przed anachronizmem spełnianych zajęć, przed dezaktualizacją potrzeb Kościoła.

Brat Załuski zmarł 12 lutego 1963 r. w szpitalu w Siedlcach, w czasie kapituły prowincjalnej.

ks. Janusz Zawadka MIC

Brat Bronisław Załuski MIC. Dla Pana Boga trzeba umieć utonąć, [w:] Z Niepokalaną 2002, nr 1 (29), s. 16-17.

<><><>

Ksiądz Robert Wierzejski nie czuł się dobrze na stanowisku dyrektora. Ciężyły mu nadmiernie obowiązki i urzędowa formalistyka, konieczność utrzymywania nieustannego kontaktu z władzami szkolnymi. Zgromadzenie miało upatrzonego na to stanowisko członka Zgromadzenia – br. Bronisława Załuskiego.

Pochodził on z wysoce religijnej i patriotycznej rodziny ziemiańskiej. We wczesnej młodości rozpoczął pracę nad sobą i działalność społeczną. W 1905 r. brał czynny udział w organizowaniu strajku szkolnego. W tym czasie wielki wpływ wywarła na nim książka Cecylii hr. Plater-Zyberk *Na Przełomie*. Ideały autorki trafiały głęboko do przekonań młodzieńca. Odtąd stał się jej żarliwym wielbiciele. Znalazłszy się na terenie Warszawy, wszedł do kręgu działalności hrabianki. Tu zetknął się z jej duchowym kierownikiem, ks. Matulewiczem. Odtąd stał się żarliwym ich współpracownikiem w prowadzeniu działalności odrodzeniowej wśród młodzieży.

Studia wyższe rozpoczął w Akademii Jagiellońskiej, potem przeniósł się do Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, którą ukończył ze stopniem inżyniera.

Trudności materialne zmuszały go w czasie studiów do udzielania korepetycji. W 1909 i 1910 r. uczył w domu książąt Czartoryskich w poznańskim, w 1911 w Końskich u hrabiego Tadeusza Tarnowskiego, następnie u Zygmunta księcia Czartoryskiego. W Kurlandii przygotował do matury Jana, syna Stanisława hrabiego Platara. W 1914 r. administrował majątkiem Czartoryskich. Obcowanie w tych sferach wywarło na jego poglądach i postawie niezatarty wpływ.

Nie zrywał też więzi z Towarzystwem Przyjaciół Młodzieży Polskiej. W 1911 r. przejął kierownictwo należącego do Towarzystwa internatu dla młodzieży w Wilnie. Obowiązek ten spełniał do 1913 r. Wziął też czynny udział w organizowaniu zjazdu młodzieży akademickiej. Na czele Towarzystwa stał Roger hr. Łubiński. Zastępcą był Ignacy Baliński, skarbniczką Cecylia Plater, a jej zastępcą adwokat Władysław Łaszewski, sekretarzem natomiast Bronisław Załuski. Dwaj ostatni to późniejsi marianie. Załuski sekretarzował nawet w czasie, gdy był już od paru lat dyrektorem gimnazjum na Bielanach, bo do 1923 r.

Należy zaznaczyć jeszcze jedno powiązanie. Załuski i Łaszewski do współorganizowania stowarzyszenia akademickiego „Odrodzenie” odwołali ze stanowiska wicedyrektora gimnazjum w Sokołowie Podlaskim, dra Władysława Lewandowicza, który następnie wstąpił do marianów i przyjął święcenia kapłańskie. Byli to więc ludzie bardzo ściśle zespoleni pracą ideową, zmierzający do odrodzenia społeczeństwa przez wychowanie młodzieży w duchu narodowo-katolickim.

O religijnej gorliwości późniejszego dyrektora gimnazjum świadczy fakt, że nawet biorąc udział w balu, potrafił odmawiać różaniec – jak nie raz o tym wspominał. Nie był też wolny od pewnego formalizmu religijnego, płynącego z tradycji i niedostatecznego krytycyzmu.

Najbardziej znamiennej cechą br. Załuskiego było oddanie się całkowite sprawie pomyślniej organizacji Gimnazjum Bielańskiego. Jeszcze jako asystent Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego szczerze wspierał radą i pomocą w poczynaniach dyrektorskich ks. Wierzejskiego MIC. W 1920 r. po opuszczeniu uczelni, objął urząd dyrektora mariańskiego gimnazjum. Temu obowiązkowi poświęcił wszystkie swoje siły.

Trzeba jednak nadmienić, że w tych latach życie młodzieży toczyło się swoim wyrobionym już poprzednio trybem. Dyrektor Gimnazjum, zajęty przestrzeganiem programu naukowego i obowiązujących przepisów, nie wtrącał się do spraw schroniska. Strona wychowawcza ciążyła na kierownictwie schroniska, strona zaś gospodarcza obu instytucji była całkowicie w rękach przełożonego domu zakonnego. Pomagał mu w tym administrator gospodarczy, zwany prokuratorem. Do roku 1922 funkcję tę pełnił sam ks. Jakowski MIC jako autorytet bezapelacyjny. Po jego

wyjeździe do Ameryki urząd przełożonego przejął ks. Łysik MIC – wówczas zaczęto stosować do niego tytuł rektora. W rzeczywistości był on „wszystkim dla wszystkich”.

Początkowo dyrektor miał tak wiele zajęć, że stan ten uważał za naturalny i tolerował to. Z czasem, gdy uporał się z organizacją uczelni, poznał z bliska strukturę bielańską i napotkał trudności finansowe dla swego szerokiego gestu. Zrodziła się w nim chęć sprzeciwu. W latach późniejszych, gdy Gimnazjum stało się prawie wyłącznym źródłem dochodów, gdyż internat, za który pobierało się duże opłaty, powstał tylko dzięki wysokiemu poziomowi nauczania w Gimnazjum, począł sarkać na istniejące stosunki, szczególnie na krępującą go ścisłą zależność finansową. Przełożeni generalni, wizytując Bielany, podzielali słuszność żalów dyrektora. Rzeczywistość jednak nie uległa zmianie. Za takim stanem przemawiała znajomość naszych ograniczonych jeszcze możliwości materialnych.

Niezaprzeczalną zasługą br. Załuskiego było doprowadzenie do wysokiego poziomu naukowego Gimnazjum, jak również wyrobienie całemu Zakładowi szerokiego rozgłosu w społeczeństwie. Te osiągnięcia pozwalały mu wraz z niektórymi księżmi na snucie dalekosiężnych planów rozwoju uczelni bielańskiej. Do ich realizowania dążył wytrwale. Do tego celu służyła szeroka działalność reprezentacyjna, utrzymywanie stosunków z przedstawicielami górnych sfer Stolicy, dbałość o okazałe występy publiczne Zakładu. Z największym nakładem starań gościł, oprowadzał po Zakładzie, wtajemniczał w jego życie. Łączyła się z tym niezwykła pieczołowitość w prowadzeniu biurowości, opracowywaniu wewnętrznych regulaminów, przygotowywaniu sprawozdań, przemówień, artykułów itp.

Na podstawie: Ks. S. Sydry, *Wspomnienia wychowawcy*, z. 1–2, Warszawa 1972.

<><><>

Jedzie, jedzie na kasztance

Słychać z dala koński truchcik, na kasztance. Pan Załuski jeździł z rana po lasku bielańskim na kasztance, zanim chłopcy z łózek wstali (a było to przed wojną na Bielanych). Tylko od czasu do czasu, gdy koń go

ponosił, słyhać było częste i krótkie: „pr.. pr..” Pomagała mu w tym kasztanka – dobrze utrzymana i wykarmiona.

Postrzegły Dyrektora internatowe chłopaki. Podziwiali, zazdrościli. I oto od jakiegoś czasu w Gimnazjum zaczęła odzywać się legionowa śpiewka: „Jedzie, jedzie na kasztance siwy strzelca strój. Witaj, witaj komendancie, miły wodzu mój”. Śpiewano na tę melodię tak: „Jedzie, jedzie na kasztance dyr, hr, br, pr.. Witaj, witaj nam Załuski, miły dyr, hr, br, pr.”

Jak br. Załuskiego za Amerykanina wzięto i co z tego wynikło

Było to w latach 50-tych. Do Skórcza br. Bronisław Załuski zjechał gwoli regeneracji sił duchowych i fizycznych. Nieskazitelno biały garnitur wdział, szeroki, słomkowy kapelusz ze wstążką na głowę włożył, bródkę przycesał, okulary słoneczne włożył, laseczkę do ręki – dalejże w lasy i łąki na spacer podążył.

Laseczką wywijał, co chwilę przystawał, ptaków grania słuchał, piękno lasu wchłaniał, kontemplował, niczym Amerykanin, gdy po wielu latach Ojczyście piękno na nowo odkrywał.

Wtem warkot motoru i „pan władza” – jakby z nieba spada. Minął, lecz zawrócił i tak zagadnął: „A skąd żeście się tu obywatelu wzięli. Dowód osobisty proszę” i od stóp do głowy wzrokiem znawcy br. Załuskiego lustrował. „Cóż za maniery ma ten pan władza”, pomyślał br. Bronisław, po czym głośno, z gestykulacją zaczął się tłumaczyć: „Jestem dyr. dr Bronisław Załuski, a dowód mam w klasztorze”. „Będziecie się tłumaczyli na posterunku. Jedźcie teraz ze mną”, rzekł pan władza.

I tak znalazł się nasz brat na komisariacie, który wtedy znajdował się w narożniku klasztoru w Skórcu, zajęty po wojnie przez organa MO. Zadzwoniono do władz wyższych w Siedlcach, że osobnika podejrzanego, być może Amerykanina – bo na takiego wyglądał – w lesie schwytano. Badania, przesłuchy trwały.

I byłby może br. Załuski nocował w areszcie, gdyby go ks. Czesław Fajkowski nie wybawił z „paki”, wracając po kilku godzinach nieobec-

ności z Siedlec do klasztoru i składając rzeczowe dowody, że schwytyany osobnik jest tym za kogo się podawał.

Co przeżył br. Załuski – to przeżył. Naukę wyciągnął. Bez dowodu ani za próg się nie ruszaj, bo... Najważniejsze zaś to głosi – nie polskie przysłowie: „Ende gut, alles gut. – Koniec (finał) dobry – wszystko dobre”.

ks. Jan Karbasz MIC

Immaculata, 1982, nr 8-9, s. 130-131.

BRAT ANTONI ZAREMBA MIC (1881 – 1967)

Urodzony w 1881 na Litwie, w 1922 r. przeszedł od braci dolorystów do marianów. W Harbinie pracował w misji jako elektrotechnik i specjalista od centralnego ogrzewania. Ponieważ miasto Harbin nie posiadało wodociągów ani kanalizacji, misja musiała własnym sposobem zainstalować powyższe urządzenia. Nad funkcjonalnością tych urządzeń czuwał br. Zaremba. Opieką techniczną obejmował również zakłady urszulanek i franciszkanek. Uważany był za bardzo dobrego fachowca, „złotą rączkę”. W czasie okupacji japońskiej, rosyjskiej i rewolucji chińskiej, gdy mocno dawał się odczuwać brak fachowców, a jeszcze bardziej części zamiennych, br. Zaremba swą pomysłowością zapewniał funkcjonalność wszystkim zakładom i udzielał jeszcze pomocy na zewnątrz. Za swoją życzliwość i usłużność, jak podaje ks. Hermanowicz MIC, był ceniony nie tylko przez zakonników, ale i przez prawosławnych, a nawet niewierzących.

Brat Antoni przebywał w Harbinie wraz z br. Bohowiczem najdłużej, bo aż do 1951 r. Po aresztowaniu księży marianów i likwidacji domu zakonnego, bracia ci, w nowym chińskim reżimie komunistycznym, znaleźli się w bardzo trudnej sytuacji. Trzy lata trwały żmudne wysiłki dyplomatyczne generała marianów ks. Buczysa w celu nawiązania z

nimi kontaktu, dostarczenia pieniędzy i odpowiednich dokumentów. Ostatecznie udało się sprowadzić ich do Rzymu. Brat Antoni zmarł w Rzymie 8 lutego 1967 r. w wieku 86 lat.

ks. Jan Kosmowski MIC

Mariańska misja obrządku bizantyjsko-słowiańskiego w Harbinie (1928–1948), Promic, Warszawa 2011, s. 121.

<><><>

Cicho powędrował do wieczności

Pamiętam, 5 sierpnia 1934 r. w kaplicy klasztoru marianów w Mariampolu odbywały się niezwykle uroczystości: pożegnanie dwóch braci wyjeżdżających na misje na Daleki Wschód. W kaplicy zebrali się wszyscy zakonnicy: biskupi Buczys i Karewicz, księża, bracia. Przy ołtarzu generał marianów Andrzej Cikoto przemawiał:

„Drodzy bracia! Misja to słowo nie nowe. Pierwsze misje czynił sam Zbawiciel, Nauczyciel ludu – Jezus Chrystus. Następnie wysyłał apostołów i tak już od dziewiętnastu stuleci wykonywana jest ta praca. Najbardziej zaangażowane są w tym zakony. I my cieszymy się bardzo, że zostaliśmy powołani do tej pracy. Przed sześcioma laty do Harbinu (Mandżuria) udał się jeden nasz kapłan. Po kilku latach jeszcze jeden ksiądz i jeden brat. Teraz z Litwy udaje się jeden ksiądz (Władysław Mażonas MIC) i ci dwaj bracia. Oto i Litwa wysyła swą część. Bracia, którzy wyjeżdżacie, znajdziecie ciężką pracę, może i spotkanie niebezpieczeństwa, ale prace, które będziecie spełniać ofiarujcie za dusze błędnowierców. Trudno nam się rozstawać, ale jest radość, że rozpoczynacie piękną pracę na chwałę Bożą. Już jest zrobiony dobry początek. Daj Boże, abyśmy po kilku latach mogli posłać nie trzech, ale setki, jak inne narody. Mogłaby i Litwa po zabezpieczeniu własnych potrzeb, wysyłać swoich pracowników, by dodali swoją część w dziele głoszenia nauki Chrystusowej.

Z misji do ojczyzny nie powrócił

Następuje błogosławieństwo Najśw. Sakramentem i generał wzruszonym głosem czytał modlitwę podróżujących: „Boże, który dwanaście pokoleń Izraela przeprowadziłeś suchą stopą przez środek morza i trzem Mędrcom cudowną gwiazdą pokazywałeś drogę, daj nam, aby droga była szczęśliwa, czas spokojny i byśmy prowadzeni przez Twego świętego Anioła szczęśliwie dotarli do miejsca dokąd zmierzamy, a później osiągnęli port wieczności”.

Po wyjściu z kaplicy pożegnanie ze łzami. Jeden z wyjeżdżających powiedział: „Zobaczymy się dopiero w niebie”. To były słowa prorocze br. Antoniego Zaremby, nie powrócił już na Litwę, aby spotkać tych, którzy go tak serdecznie żegnali. Zmarł w Rzymie 8 lutego 1967 r.

Brat Antoni Zaremba urodził się 24 czerwca 1881 r. we wsi Gerčiukai, w parafii Giedrojcie, w rodzinie dość zamożnego rolnika. Skończywszy „ubogą szkołę” przy matczynym kołowrotku, pragnąc się uczyć jako młodzieniec znalazł się w Wilnie. Tu mając zaledwie 18 lat wstąpił do ukrytego Zgromadzenia Dolorystów, gdzie przebywał do 1920 r. W tym Zgromadzeniu troszczono się, by bracia zdobyli jakiś konkretny zawód. Brat Antoni nie tylko nauczył się języka rosyjskiego i polskiego, ale jeszcze został ślusarzem. Po zajęciu przez Polaków Wilna (8. X. 1920 r.), za radą bpa Jerzego Matulewicza, pieszo powędrował do niepodległej Litwy i wkrótce wstąpił do klasztoru marianów w Mariampolu, gdzie po odbyciu nowicjatu, 15 sierpnia 1923 r. złożył śluby zakonne.

Mariampolscy marianie wciąż poszerzając swoją działalność nabyli stację elektryczną. Potrzebne do niej aparaty zakupiono w Niemczech, skąd też przybył młody Niemiec Schat, który jakiś czas przebywał w Mariampolu. Od niego br. Antoni uczył się elektrotechniki. Rozprowadzając przewody, często musiał wspinać się na słupy. Bracia śmiali się wtedy, że Antoni szuka „czy daleka jest droga do nieba”. Brat Antoni wraz ze swoją wiedzą i umiejętnościami był bardzo przydatnym pracownikiem dla klasztoru mariampolskiego.

W stolicy Mandżurii

W stolicy Mandżurii Harbinie (1 169 000 mieszk.), obok miejscowych Chińczyków i prawosławnych Rosjan emigrantów, było niemało Polaków, Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, Niemców, Ormian, Gruzinów i innych uciekinierów z Rosji przed prześladowaniem bolszewików. Najwięcej było Rosjan, którzy mieli tu 30 kościołów. Katolicy mieli w Harbinie 3 kościoły: jeden dla Chińczyków i dwa dla emigrantów. Gdy duchowni łańciscy i prawosławni prosili papieża o przysłanie ojca duchownego, w 1928 r. Stolica Święta mianowała Fabiana Abrantowicza MIC ordynariuszem katolików obrządku wschodniego z tytułem archimandryty. Wkrótce do pomocy przybyli z Drui ks. Józef Hermanowicz MIC i br. Antoni Aniśkowicz. W 1934 r. został formalnie utworzony klasztor marianów w Harbinie, a w 1937 r. otwarto nowicjat. Najważniejszym zaangażowaniem marianów w Harbinie było wychowywanie młodzieży, a przez to apostołowanie pośród niekatolików.

Mandżuria będąc pomiędzy Chinami a Rosją nie była bezpiecznym miejscem dla emigrantów. Gdy w 1929 r. wybuchł konflikt pomiędzy Chinami a Rosją, bandy bolszewików wdzierały się przez granicę Mandżurii mordując ludzi i wywożąc ich na Syberię. Wtedy wielu emigrantów, szczególnie Rosjan, udało się w głąb Chin, głównie do Szanghaju, inni wyjechali na Filipiny lub do Australii.

Opieka nad sierotami

Po wymordowaniu lub wywiezieniu na Syberię przez bolszewików rzesze dorosłych, na pograniczu pozostało wiele sierot bez opieki i dachu nad głową, szczególnie osób pochodzenia rosyjskiego. Dzieci te, pojedynczo lub grupami wędrowały do Harbinu i prosiły w misji mariańskiej o pomoc i opiekę. Misja przyjmując je otworzyła trzy szkoły z internatami: Liceum św. Mikołaja, prowadzone przez marianów dla chłopców, szkoła sióstr urszulanek i franciszkanek dla dziewcząt. Stolica Święta wspomagała te instytucje. W szkole uczono w języku rosyjskim, ale obok niego uczono języka chińskiego i angielskiego. Większość uczniów była Rosjanami (prawosławnymi), ale było też trochę Polaków,

Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, Niemców, Ormian, Gruzinów oraz miejscowych Chińczyków.

Mandżuria, a więc i misja mariańska w swojej historii była pod zarządem kilku władz państwowych. Została utworzona, kiedy przy władzy były Chiny. W 1931 r. Mandżurię okupowali Japończycy, którzy pozostawili jej „niepodległość” z królem Pu-Yi, a sam kraj nazwali Madżukuo. W czasie ostatniej wojny Mandżurię w 1945 r. zajęli Rosjanie, a w następnym roku została przyłączona do komunistycznych Chin. Za tej władzy misja mariańska w Harbinie zakończyła swą egzystencję. Jej likwidację przypadło przeżyć br. Antoniemu Zarembie.

Ochotnik na misji

Po otwarciu domu mariańskiego w Harbinie i wobec większych prac potrzeba było nowych pracowników. Generał zakonu Andrzej Cikoto latem 1934 r. odwiedzając Litwę, zapytał, czy nie znaleźliby się wśród litewskich marianów chętni do wyjazdu do Harbina. Pierwszy zgłosił się br. Zaremba. On bardzo dobrze znał język rosyjski, miał w rękach dobry fach i czuł, że będzie tam użyteczny. Drugim ochotnikiem był br. Bronisław Ivanauskas, krawiec. Z Londynu do Harbina udał się ks. Władysław Mażonas. Ich miejscem spotkania miał być Rzym.

Z Kowna do Berlina braci jadących w kierunku Rzymu odwiózł przełożony ks. K. A. Matulaitis. Po drodze zatrzymali się w Wiłkowyszkach, odwiedzili bpa Karosa i otrzymali od niego błogosławieństwo na dalszą podróż. W Berlinie podróżni natknęli się na pogrzeb Hindenburga.

Z Berlina ks. Matulaitis napisał: „Po przejściu z rzeczami na stację Anhalter, wróciliśmy zobaczyć głośną Unter den Linden – Aleję Lipową. Zdziwiliśmy się bardzo widząc wszędzie dookoła maszerujące grupy nazistów. Weszliśmy do kościoła św. Jadwigi. Ksiądz odprawił Mszę, cały kościół śpiewał. Ksiądz Matulaitis odprawił Mszę przy ołtarzu Matki Bożej Bolesnej, bracia przyjęli Komunię św. Pomodliliśmy się i poszliśmy obejrzeć uroczystości. Poszliśmy wzdłuż Unter den Linden. Doszliśmy do Bramy Brandenburskiej, obeszlśmy Reichstag, Pomnik Wolności – wszę-

dzie ustawieni w brunatnych koszulach żołnierze, policja. Wróciliśmy do pałacu prezydenckiego. Ludzi pełno, choć kropił deszcz. Głośniki obwieszczały przebieg uroczystości, grały smutne pieśni. Naród niemiecki odprowadzał swego bohatera Hindenburga...

Odprowadzały go tłumy ze smutnymi twarzami. Potargane przez wiatr mokre flagi łopotały cały dzień. W oknach wszystkich sklepów były ustawione zdjęcia zmarłego prezydenta, popiersia, które wskazywały na głęboki smutek narodu. Ale to się skończyło. Jego pochowali a inni zajmą teraz jego miejsce. O ustalonej godzinie udaliśmy się na naszą stację. Znaleźliśmy wagon, który jedzie bezpośrednio do Rzymu bez żadnych przesiadek. Pozostało kilkanaście minut. Dawane są ostatnie rady jak sobie radzić w podróży, co robić w Rzymie. Zaopatrzeni w jedzenie na całą podróż (przez pośpiech zapomnieli zabrać), trzeźwo i po męsku pożegnali się ze swoim odprowadzającym. Nie na jeden rok oni dwaj wyjeżdżają z ziemi swoich rodziców na ciężką pracę. Misjonarzom nigdy nie jest łatwo, zwłaszcza wśród obcych. Kraj misyjny wymaga większego ofiarowania się, wyrzeczenia i pracy. Tam będąc przykładem wielkoduszności w wykonywaniu prac domowych i zakonnej pokory bardzo pomogą w apostołowaniu pośród tysięcy dusz”.

Wrażenia z podróży

Swoją podróż do dalekiego Harbinu jeden z braci tak opisał: „Do Rzymu dotarliśmy 7 sierpnia. Tam mieszkaliśmy trzy dni. Zwiedziliśmy katakumby – podziemne cmentarze, gdzie prześladowani chrześcijanie zbierali się na modlitwy. W katakumbach nasi księża odprawili Mszę świętą, do której i my mieliśmy szczęście służyć. Odwiedziliśmy papieża. W tym czasie był w swojej letniej rezydencji. Zatem pojechaliśmy do niego, przyjął nas i udzielił błogosławieństwa... Stamtąd wróciliśmy do Rzymu i zaczęliśmy przygotowania do naszej wielkiej podróży. 12 sierpnia byliśmy już na statku. Płynęliśmy prawie cały miesiąc, choć nasz statek miał moc 18 000 KM. Podróżowaliśmy drugą klasą. To były wakacje, jakich w życiu dotąd nie mieliśmy... Ale więcej radości, niż te wszystkie przyjemności i wygody dawało nam to, że płynęliśmy na misję. Przepłynęliśmy wiele kontynentów i krajów. Widzieliśmy różnych ludzi:

czarnych i żółtych. Po wyjściu na brzeg (w Hong Kongu) odbyliśmy długą podróż pociągiem. Do Harbinu dotarliśmy dopiero 10 września. Pamiętajcie o nas w swoich modlitwach, niech Bóg błogosławi nasze misje”.

Przewodnikiem podróży z Rzymu do Harbinu był sam przełożony misji archimandryta Fabian Abrantowicz, który w tym czasie był w Rzymie, by zdać sprawozdanie z działalności misji. Ponieważ dom mariański w Harbinie był obrządku wschodniego, zatem Litwini tam przybyli musieli przejść na obrządek wschodni i zmienić imiona. Ksiądz Władysław Mażonas MIC otrzymał imię Vladimir, br. Ivanauskas Juozap, a br. Antoni Zaremba Antanaz. Wszyscy wschodnim zwyczajem zapuścili brody. Bratu Zarembie nie było trudno przywyknąć do obrządku wschodniego, ponieważ dobrze znał język rosyjski.

Niebezpieczeństwa na misjach

Zaczęła się codzienna praca. Dom wielki, mieszkańców dużo. Oprócz marianów w gimnazjum było 19 nauczycieli i 95 wychowanków. Brat Zaremba był wszędzie potrzebny, wszędzie wołano go do pomocy. Elektryczne ogrzewanie, wszelkie kanalizacje, wprowadzanie i naprawa elektryczności – to była jego praca. Pomiędzy modlitwą i pracą mijały dni cichej pracy zakonno-misyjnej. Niebezpieczeństw i trudności było aż nadto.

W jednym z listów br. Ivanauskas napisał: „O życiu w Harbinie mogę napisać, że prawie codziennie można tu zobaczyć chińskie pogańskie zwyczaje. Na początku zaś lata pojawiają się wielkie bandy złodziei.

I przełożony naszej misji dostał dziwny list od rozbójników Rosjan albo Chińczyków, w którym grożono i żądano dużej sumy pieniędzy. Napisali, że jeśli nie zapłacimy, wtedy porwą jego samego, lub któregoś z księży lub braci z misji.

Ksiądz Fabian zwołał nas wszystkich i wyjaśnił, że trzeba być ostrożnym, ponieważ – jak mówił, mogą porwać wszędzie, nawet w biały dzień na ulicy. Nadto – wyjaśnił, że kogokolwiek by porwano, przełożonego, czy inną osobę z naszej misji, nikt nie będzie wykupywany i każdy ma

być przygotowany na śmierć za sprawy naszej misji. Tym bardziej, że pieniędzy w ogóle nie ma. Poza tym, bandytom „chunguzams” nie można dać pieniędzy również dlatego, że raz dostawszy okup kolejny raz porywają, by znów otrzymać pieniądze. Lepiej już samemu cierpieć i zostać męczennikiem, niż dać okazję bandytom dalej zajmować się tym zwierzęcym procederem. Opowiedział, że przed dwoma laty bez potrzeby wykupił porwanego młodego człowieka Tanajewa. Zatem – jak widzicie, nie można u nas wyjść na świeże powietrze, ani do lasu; czyniąc krok dalej nie wiesz co cię czeka... Ale z Bożą pomocą działamy, coś tam robimy. Obyśmy tylko byli pożytecznymi robotnikami dla chwały Bożej. Szkoda, że nasze siły są tak słabe, bo pole pracy jest ogromne, ale robotników mało”.

W końcu 1939 r. na misji w Harbinie nastąpiły zmiany. Archimandryta Fabian Abrantowicz tego roku latem wybrał się do Rzymu, stamtąd do Wilna i Nowogródka odwiedzić swoich krewnych. Po wybuchu wojny niemiecko-polskiej przedostał się do Lwowa, gdzie dostał się w ręce bolszewików i ślad po nim zaginął. Gdy nie powrócił, w końcu 1939 r. Stolica Święta ordynariuszem katolików w Mandżurii mianowała archimandrytę Andrzeja Cikoto, który w latach 1933–1939 r. był generałem marianów.

Zniszczenie misji przez komunistów

Pod koniec wojny światowej, w 1945 r. Mandżurię okupowali Rosjanie. W Harbinie, dokładnie na wprost domu mariańskiego zamieszkał dowódca Armii Czerwonej marszałek Malinowski. Choć NKWD przesłuchiwało niektórych nauczycieli i samego Andrzeja Cikoto, to szkoła nadal mogła działać. W krótkim czasie swej władzy Rosjanie wywieźli wiele osób na Syberię, uznając ich za winnych szpiegowania dla Japonii i jej sojuszników. Gdy w 1946 r. Mandżuria przypadła komunistycznym Chinom, szkoły nadal działały, choć wszyscy czuli nadchodzącą burzę. A ta nadeszła 22 grudnia 1948 r.

Tego dnia, według starego kalendarza harbińskiego marianie obchodzili uroczystość Niepokalanego Poczęcia NMP. Po uroczystej Mszy św.,

której przewodniczył sam archimandryta A. Cikoto, marianie zaprosili do siebie na obiad wszystkich nauczycieli z liceum. Radosnemu świętu przeszkadzało jakieś przecucie, że wkrótce wydarzy się coś strasznego.

I rzeczywiście, tego dnia o godz. 6 wieczorem oddział chińskiej policji wdarł się do liceum i natychmiast rozkazano zebrać się wszystkim nauczycielom w gabinecie dyrektora. Przeczytano jakieś pismo w języku rosyjskim, ale nikt jego treści nie zrozumiał. Według posiadanej listy natychmiast aresztowano archimandrytę Andrzeja Cikoto i księży Józefa Hermanowicza i Tomasza Podziawo. Razem z nimi aresztowano księży diecezjalnych: P. Chaley – Francuza i P. Portniagina – Rosjanina. Z nauczycieli świeckich mieszkających osobno, tego wieczoru aresztowano Wiktora Vlasovasa i Piotra Marcyšinasa. Nikomu nie pozwolono zabrać niczego ciepłego, ani czapki, ani ubrania (a mróz był -30°C); wszystkim ręce związane metalowymi kajdankami i zawieszono do więzienia w Harbinie. Następnej nocy wszystkich wrzucono do pociągu i wywieziono do granicy z Rosją, gdzie przekazano agentom NKWD. Ci zabrali ich do więzienia w Czycie, gdzie po wielu przesłuchaniach i torturach wszystkich bez wyjątku skazano na 25 lat ciężkich robót w obozach Syberii za organizowanie w liceum grup terrorystycznych szpiegujących dla Watykanu i agitujących przeciw Związkowi Radzieckiemu.

Po aresztowaniu nauczycieli, Liceum Św. Mikołaja, w którym w tym czasie było 220 uczniów (150 w internacie) zostało zamknięte a uczniowie rozproszeni. Podobny los spotkał szkoły sióstr urszulanek i franciszkanek (u urszulanek było 130 dziewcząt, u franciszkanek 180); szkoły zamknięto, siostry rozproszone. Długi czas tułały się po Chinach bez dachu nad głową i kawałka chleba. W końcu pozwolono im wyjechać do Europy i Ameryki.

Pozwolenie na wyjazd do Europy

Po wywiezieniu księży, w Harbinie zostało dwóch braci: Antanas Zaremba i Stanisław Bohowicz. Obydwóm policja nakazała strzec skonfiskowanego majątku. Po utworzeniu tam instytucji komunistycznych obydwaj zostali zwykłymi robotnikami. Później przeniesiono ich w inne miejsce, gdzie w bardzo trudnych warunkach służyli ko-

munistom. Siostry franciszkanki pozostałe w Harbinie i żyjące z robótek na drutach zatroszczyły się o biednych braci. Dzięki ich pośrednictwu do pomocy włączyli się kapucyni i franciszkanie. Po wielu trudach wydano im pozwolenie na wyjazd z Chin do Hong Kongu. Stamtąd po załatwieniu potrzebnych dokumentów obaj bracia 24 kwietnia 1951 r. szczęśliwie dotarli do Rzymu. Brat Zaremba pozostał w Rzymie, a br. Bohowicz został przeniesiony do mariańskiego domu białoruskiego w Londynie.

Brat Antanas Zaremba, choć tak wiele wycierpiał, mając już 70 lat i w domu rzymskim nie miał czasu na odpoczynek. Nie mógł być bez pracy nawet chwili. A w niemałym domu jej nigdy nie brakowało: tu zepsuła się elektryczność, tam kanalizacja się zapchała, tam nie działał odpływ wody, tu coś znowu nie działa i trzeba naprawić – i tak cały czas. Przed kilku laty br. Antoni w całym domu założył nową instalację elektryczną. Starał się być jak najbardziej przyteczny – i jak sam mówił, zarobić na swój chleb.

Wolny czas przeznaczal na modlitwę, był w kaplicy zawsze pierwszy i ostatni wychodził. Z chęcią posługiwał księżom do Mszy św., pięknie wypełniał obowiązki akolity w czasie uroczystych nabożeństw. Lubił dużo czytać; czytał wszystkie nowe książki litewskie i gazety, orientował się w problemach Litwy. Nieraz, nie otrzymawszy nowej prasy z Ameryki, dopytywał się: jak się odbył jakiś zjazd, kongres, czy inne uroczystości. W życiu codziennym był niesamowicie pokorny, zwykły. Starał się nie być dla nikogo ciężarem i sam dbał o siebie: sam prał bieliznę, naprawiał ubrania, cerował skarpety.

W cichej modlitwie i pracy przeżył 86 lat i nikogo nie obciążając po cichu powędrował do wieczności. Na kilka dni przed śmiercią, naprawiając w jednym z pokojów zepsutą lampę poczuł się źle. Po zawiezieniu do szpitala stracił przytomność i spokojnie zasnął w Panu, odbywając swą ostatnią podróż, po zapłatę dla sług cichych i pokornych sercem, wiernie służących Bogu, Kościołowi i zakonowi. Jego ciało po nabożeństwie żałobnym odprawionym przez bpa Franciszka Brazysa pochowano na cmentarzu Campo Verano w Rzymie.

ks. Juozas Vaišnora MIC

Draugas 1967, balandžio 12-13 d.; tłumaczenie z języka litewskiego Paweł Chudzik.



[...] Brat Antoni pracował w Harbinie od r. 1935 do 1950 r. jako technik elektro i hydro ogrzewania, wody i kanalizacji – to była jego specjalność. Ponieważ miasto nie miało wodociągów, ani kanalizacji, musieliśmy sami pompować wodę i urządzać kanalizację. I br. Zaremba obejmował te wszystkie prace sam jeden na nasz olbrzymi dom (do 200 osób). Również miał on opiekę techniczną nad podobnym urządzeniem u sióstr urszulanek i sióstr franciszkanek. Biorąc pod uwagę czas wojny, a także rewolucji w Chinach, okupację sowiecką (przedtem japońską), potem komunę chińską, można sobie wyobrazić, ile ten braciszek poniósł trudów i niebezpieczeństw dla Bożej chwały. A wszystko znosił w prostocie i pokorze serca. Pobożność jego była tak prostą jak i całe życie: nie widziało się w nim żadnych objawów niewłaściwej dewocji, gdyż był jednakowo człowiekiem Bożym tak w kaplicy, jak przy pracy i w odpoczynku.

Swoje obowiązki spełniał chętnie i cierpliwie, przyjmując i znosząc jarzmo Chrystusowe jak prawdziwy zakonnik i misjonarz. Właśnie to powołanie misjonarza należycie rozumiał i wysoko sobie cenił. W ogóle w Harbinie był znany i uważany za wzorowego zakonnego brata – tak przez zakonników, jak i innowierców i pogan.

P.S. W czasie okupacji rosyjskiej 1945–1946 r. pewnego razu, kiedy br. Antoni Zaremba dyżurował u sióstr franciszkanek (kolejno po tygodniu dyżurowaliśmy – ojcowie i bracia w Zakładzie–Internacie, gdzie było 170 wychowanek), w nocy nadeszła grupa żołnierzy i pod groźbą rewolwerów domagali się, żeby br. Zaremba oprowadził ich po całym domu. Tylko zawdzięczając roztropności brata – przy łasce Bożej – udało się mu nie dopuścić do sypialni starszych wychowanek. Grupa półpijanych żołnierzy wyszła spokojnie, bez żadnej krzywdy i skandalu.

ks. Józef Hermanowicz MIC

BRAT PIOTR ZOMMERS MIC
(1903 – 1988)

Urodzony 2 marca 1903 r. we wsi Puceni, parafia Alsunga, w zachodniej części Kurlandii (Kurzeme), na Łotwie. Był synem Pawła i Hery Kibe. Do szkoły elementarnej chodził przez dwa lata. Pracował w gospodarstwie wiejskim. Mając 25 lat, zgłosił się do klasztoru Księży Marianów w Welonach (Viļāni), gdzie po odbyciu postulatu, dnia 7 grudnia 1930 r. został przyjęty do nowicjatu. Odbył go pod kierunkiem ks. Bronisława Valpitrsa. Pierwsze śluby zakonne złożył 8 grudnia 1931 r. w Welonach. W tym klasztorze pozostał, wykonując prace fizyczne w gospodarstwie. W 1934 r. został przeniesiony do domu zakonnego w Rēzekne, gdzie 8 grudnia złożył profesję wieczystą. Tutaj, wraz z br. Nikodemem Ančansem, pracował głównie przy budowie kościoła i drukarni. Niemal wszystkie cegły do budowy wykonali bracia. W 1938 r., razem z przełożonym ks. J. Karkle, powrócił do Welon, gdzie przeżył także okres wojny, kilkakrotnie przejście frontu i zburzenie przez Niemców dopiero co odbudowanego klasztoru. Pomagał i tu przy ponownej odbudowie budynków.

Dnia 13 stycznia 1949 r. został wezwany do miejscowego urzędu, skąd już do klasztoru nie powrócił. Przebywał w więzieniu w Rydze. Po śledztwie został skazany na 3 lata przymusowej pracy w łagrze. Wywieziono go na Syberię, skąd powrócił na Łotwę w 1952 r. Nie mógł jednak wrócić do klasztoru. Udał się więc do rodzinnej parafii Alsunga w Kurlandii i tam objął obowiązki zakrystiana w miejscowym kościele parafialnym, którego proboszczem był marianin ks. Bernard Mortuks. Brat Piotr pozostał przy kościele w Alsundze także po odejściu stamtąd ks. Bernarda, pracując nadal jako zakrystian przy kolejnych kapłanach diecezjalnych. Wyrwał w swoim powołaniu. Zmarł 18 września 1988 r. i został pochowany na cmentarzu parafialnym w Alsundze.

ks. Jan Bukowicz MIC

BRAT KAZIMIERZ ŻMIJOWSKI MIC (1910 – 1995)

Kazimierz Żmijowski urodził się 15 lutego 1910 r. we wsi Rudniki, pow. Mościska (w rejonie Lwowa) jako syn ubogich rolników Michała i Marii z domu Kowalskiej. Miał starszego brata i pięć sióstr.

Po ukończeniu szkoły elementarnej przez dwa lata odbywał służbę wojskową w Szkole Podoficerskiej. Ukończył ją ze stopniem kaprała w 1934 r. Rok później, po ukończeniu ćwiczeń wojskowych, uzyskał stopień plutonowego. Dwa lata przedtem umarła mu matka, a wkrótce po powrocie z wojska został osierocony też przez ojca. Gdy zaś brat, żeniąc się, odszedł z domu rodzinnego, Kazimierz został w nim z pięcioma siostrami i oddał się pracy na roli.

Powołany wiosną w 1939 r. do wojska dostał się do niewoli bolszewickiej, gdzie przez osiem miesięcy pracował w kopalniach rudy żelaza, później przy budowie dróg. Po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej wstąpił do Armii Polskiej w Rosji, a następnie pod dowództwem gen. Władysława Andersa przeszedł przez Środkowy Wschód i odbył kampanię włoską w II Korpusie. Został odznaczony Krzyżem Walecznych.

Przewieziony do Anglii, po demobilizacji podjął pracę jako robotnik. Mieszkał w Polskim Cywilnym Hostelul Long Marston, Stratford-on-Avon, Warwickshire. Po zapoznaniu się z marianami w Lower Bullingham 30 lipca 1950 r. złożył podanie do generała marianów o przyjęcie do Zgromadzenia. W Anglii odbył nowicjat i 24 maja 1952 r. złożył pierwsze śluby. Tegoż roku został przeniesiony z Lower Bullingham do domu generalnego w Rzymie, w którym zjawił się 12 października 1952 r. Sprawował obowiązki zakrystiana, ale od początku opiekował się też ogrodem koło domu, choć przez dwa ostatnie lata pobytu w Rzymie był głównie pomocnikiem kucharza.

Latem 1956 r. został przeniesiony do Portugalii i włączony do wspólnoty zajmującej niedawno odzyskany klasztor w Balsamão. Pozostał tu prawie 39 lat, aż do śmierci służąc najpierw jako pomocnik ekonomy, później jako mechanik, a od 1970 r. również jako pszczelarz. Przez szereg lat pełnił urząd radnego domowego. Zmarł w Balsamão 7 maja 1995 r.

SPIS FOTOGRAFII

Brat Nikodem Ancāns	207
Brat Czesław Banaszekiewicz	208
Brat Stanisław Bohowicz.....	209
Brat Stanisław Bruc	208-209, 223
Brat Zygmunt Czerwiński	210
Brat Piotr Dunder	210
Brat António dos Reis Fernandes	210
Brat Alphie Gagne	211
Brat Jakub Głębikowski	212
Brat Pius Gudelevičius	213
Brat Feliks Holi	213
Brat Marian Józefiak	213-215
Brat Jan Łojko	215
Brat Kazimierz Michaluk	215
Brat Stanisław Nowaczekiewicz.....	216
Brat Jan Mieczysław Obrębski	216
Brat Aleksander Piasecki.....	216
Brat Antoni Romanowski	217
Brat Antoni Rutkowski	218-219
Brat Jan Stefanowicz	220
Brat Bronisław Świstak	220-221
Brat Charles Frederic Wells	222
Brat Bolesław Wróblewski	223
Brat Franciszek Zaborowski	223-224
Brat Antoni Zacharuk	224
Brat Bronisław Załuski.....	225-229
Brat Antoni Zaremba	230

SPIS TREŚCI

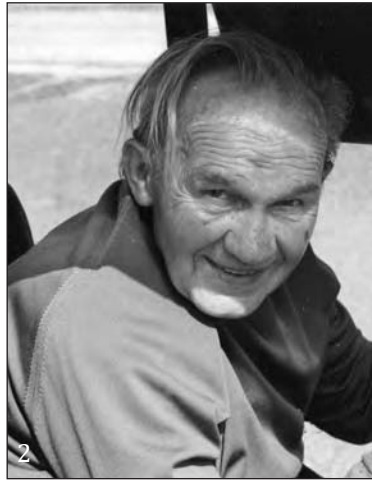
Wstęp	7
Brat Nikodem Ancāns MIC (1901–1989).....	11
Brat Czesław Banaszekwicz MIC (1911–1998)	12
Brat Stanisław Bednarz MIC (1962–2010).....	22
Brat Stanisław Bohowicz MIC (1903–1980)	25
Brat Stanisław Bruc MIC (1927–2010).....	25
Brat Adolf Bulotas MIC (1903–1940)	29
Brat Zygmunt Czerwiński MIC (1905–1985).....	31
Brat Stanisław Dadžāns MIC (1910–1971).....	35
Brat Julian Duchalski MIC (1903–1988)	37
Brat Piotr Dunder MIC (1921–1986).....	39
Brat Antoni Erdman MIC (1859–1944)	51
Brat António dos Reis Fernandes MIC (1930–2018)	52
Brat Alphie Gagne MIC (1909–1998).....	54
Brat Jakub Głębikowski MIC (1875–1954).....	57
Brat Piotr Grad MIC (1908–1985).....	59
Brat Augustyn Grundāns MIC (1845–1928)	62
Brat Pius Gudelevičius MIC (1912–1984).....	63
Brat Feliks Holi MIC (1894–1977)	64
Brat Tadeusz Bonawentura Januszajtis MIC (1906–1987).....	76
Brat Marian Józefiak MIC (1930–1973)	78
Brat Klemens Kiestrzyń MIC (1903–2002)	85
Brat Jan Łojko MIC (1904–2001).....	86
Brat Kazimierz Michaluk MIC (1905–1990)	95
Brat Stanisław Nowackiewicz MIC (1925–2003)	102
Brat Jan Mieczysław Obrębski MIC (1938–2004)	104
Brat Kazimierz Oglęcki MIC (1909–1994)	109
Brat Jan Peldžius MIC (1890–1964).....	109
Brat Aleksander Piasecki MIC (1907–1974)	111
Brat Izidor Piech MIC (1892–1966)	112
Brat Piotr Ražinskas MIC (1885–1973).....	125
Brat Antoni Romanowski MIC (1915–2011)	127
Brat Antoni Rutkowski MIC (1911–1979).....	133

Brat Marian Rzażewski MIC (1903–1986)	134
Brat Stanisław Sarosiek MIC (1871–1941).....	135
Brat Jan Sinkevičius MIC (1904–1973).....	137
Brat Jan Stefanowicz MIC (1908–1986)	139
Brat Józef Stirbys MIC (1914–1954).....	146
Brat Bronisław Świstak MIC (1916–2007)	147
Brat Charles Frederic Wells MIC (1927–2015)	149
Brat Bolesław Wróblewski MIC (1876–1973)	152
Brat Adolf Wysocki MIC (1888–1958)	156
Brat Franciszek Zaborowski MIC (1921–2006)	160
Brat Antoni Zacharuk MIC (1887–1975)	169
Brat Bronisław Załuski MIC (1888–1963)	177
Brat Antoni Zaremba MIC (1881–1967)	188
Brat Piotr Zommers MIC (1903–1988).....	199
Brat Kazimierz Żmijowski MIC (1910–1995)	200
Spis fotografii	201
Fotografie	205

FOTOGRAFIE



1. br. Nikodem Ancāns, 1944
2. br. Nikodem Ancāns, 1945
3. br. Nikodem Ancāns, 1948

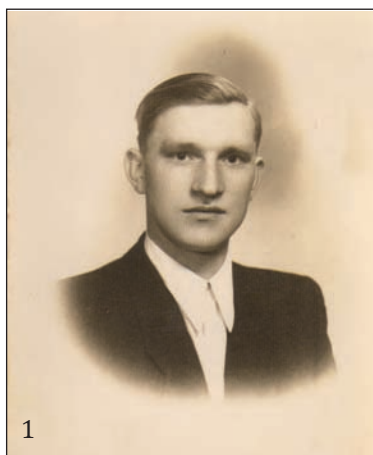


1,2,3 – br. Czesław Banaszekiewicz
4 – br. Czesław Banaszekiewicz i br. Stanisław Bruc, Fawley Court, 1995





1, 2 – br. Stanisław Bohowicz



1, 2 – br. Stanisław Bruc



br. Zygmunt Czerwiński



br. Piotr Dunder



br. António dos Reis Fernandes



br. Alphie Gagne podczas spotkania
marianów ze św. Janem Pawłem II
z okazji beatyfikacji abpa Jerzego
Matulewicza, Rzym, czerwiec 1987



br. Alphie Gagne



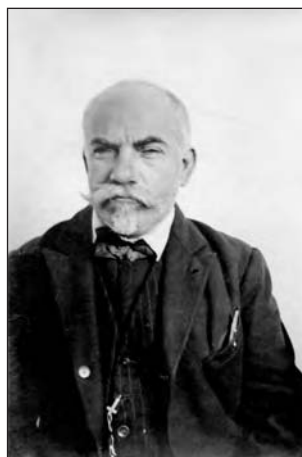
br. Alphie Gagne w pracy przy
sortowaniu tzw. „zielonych znaczków”



br. Alphie Gagne i
ks. Fidelis Grabowski



majster br. Jakub Głębikowski – warsztat szewski,
Bielany, grudzień 1921



1, 2 – br. Jakub Głębikowski



1, 2, – br. Feliks Holi, Puszcza Mariańska, 1972



br. Pius Gudelevičius



br. Marian Józefiak, 1950



br. Marian, Skórzec-Dąbrówka, 1969,
orkiestra gra na prymicach o. Cobaja, karmelity bosego



br. Marian, Góra Kalwaria, 1972



Góra Kalwaria, 1972; od lewej: ks. Kamimierz Śliwiński,
br. Marian Józefiak, ks. Stefan Szwajkowski, ks. Czesław Franciszkowicz



br. Jan Łojko



br. Kazimierz Michaluk



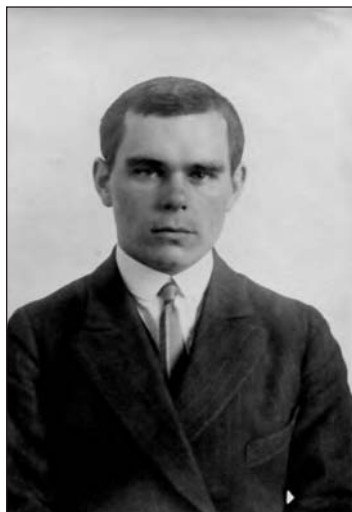
br. Stanisław Nowaczek, 1954



br. Stanisław Nowaczek, 1969



br. Jan Mieczysław Obrębski



br. Aleksander Piasecki



1, 2, 3, 4, – br. Antoni Romanowski



br. Antoni Rutkowski,
Northolt, 1941

br. Antoni Rutkowski
dekorowany medalem
przez prezydenta RP na
uchodźstwie
Władysława
Raczkiewicza,
Northolt [?], 1943



br. Antoni
Rutkowski,
Church Fentar,
czerwiec, 1943





1, 2, 3 - br. Antoni Rutkowski

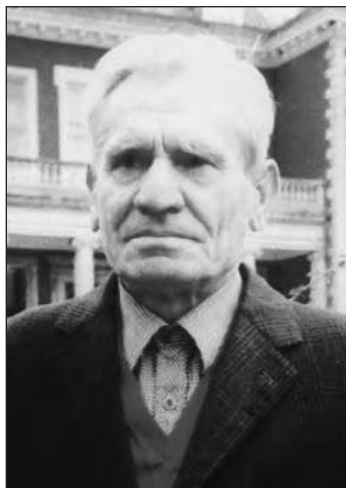


1, 2 – br. Jan Stefanowicz w latach 1942-44

3 – br. Jan Stefanowicz w Asyżu, 28 IV 1946 r.



br. Bronisław Świstak

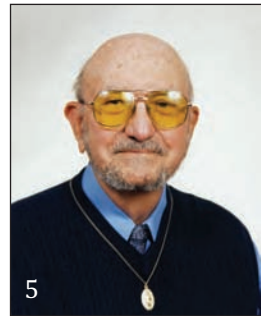


br. Bronisław Świstak

br. Bronisław Świstak, obóz w Trier (Niemcy), 1943



generał Józef Haller (pierwszy od lewej), br. Bronisław (opiekun generała) oraz ks. Józef Jarzębowski, Fawley Court (Anglia)



1, 2, 3, 4, 5 –
br. Charles Frederic
Wells



br. Bolesław Wróblewski



br. Franciszek Zaborowski i br. Stanisław Bruc,
Fawley Court (Anglia), 1995



br. Franciszek Zaborowski



br. Antoni Zacharuk



Józef Pietrzak (siedzący w fotelu), obok niego Bronisław Załuski, za nimi stoi Tadeusz Fopp [?], historyk, Kraków, 1910



Bronisław Załuski podczas kuracji w Otwocku, 1911



Bronisław Załuski
w Rokosowie u Księżąt Czartoryskich
na ogierze arabis „Conversano”, 1915



br. dyrektor Bronisław Załuski
w towarzystwie chłopców ze schroniska, Bielany, 1920



Antosia Żurowska i br. Bronisław Załuski, Poniec, 1931



br. Bronisław Załuski nad Morskim Okiem
podczas pobytu w Zakopanem, 1933



br. Bronisław Załuski,
Bielany, 1938 [?]



br. Bronisław Załuski
przed gmachem Kolegium
na Bielanych, 1939



br. Bronisław Załuski,
Skórzec, 1957



br. Bronisław Załuski,
Skórzec, 1960



br. Antoni Zaremba, Harbin, 1939



1



2

1 – br. Antoni Zaremba
(pierwszy z prawej),
marzec 1964
2 – br. Antoni Zaremba

Jaka powinna być cecha charakteryzująca każdego z nas, po opuszczeniu świata i wstąpieniu do Zgromadzenia? Abyśmy szukali nie siebie, ale Jezusa Chrystusa. *Non quae sua sunt, sed quae Jesu Christi, quaerant.* Abyśmy nie troszczyli się, jak przeprowadzić w Zgromadzeniu własne zamiary, jak osiągnąć swoje uboczne cele osobiste czy narodowościowe, jak zrealizować swoje różnorodne projekty, lecz żebyśmy troszczyli się jedynie o to, jak lepiej podobać się Panu Bogu, co i jak dla Jego większej chwały uczynić, jak lepiej naszemu świętemu Kościołowi usłużyć. Szukając całym sercem służąc Jego Kościołowi, społeczeństwu, narodom i królestwa Bożego i to wszystko będzie wam przydane (Mt 6, 33). Szukając całym sercem służąc Jego Kościołowi, społeczeństwu, narodom i całej ludzkości, gdyż *non data in aliquo alio salus, nisi in Jesu Christo.* Każdy z nas powinien być opanowany tą jedną wielką myślą, aby we wszystkim naprawdę szukał Boga, by spośród różnych środków, choćby i najlepszych, wybierał szczególnie te, które powiększą chwałę Bożą. Obserwując zaś różne instytucje, związki i stowarzyszenia, zwłaszcza te, w których nie ma jeszcze miejsca na Boga, aby się starał wnieść tam Boga, wszystko duchem Chrystusowym ożywić, przeniknąć i odnowić.



Z Dziennika Duchowego
bł. abpa Jerzego Matulaitisa-Matulewicza,
Odnawiciela marianów



MARIAN
HERITAGE
Stoughton, MA, USA
2018

ISBN 978-1-59614-422-4



9 781596 144224